

KAZANIA i HOMILIE

Ks. Aleksander Zienkiewicz

KAZANIA i HOMILIE
NA RÓŻNE OKAZJE

Kraków

© 2006 by Wydawnictwo OO. Franciszkanów „Bratni Zew” spółka z o.o.

ISBN 83-88903-76-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana,
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana
czy powielana mechanicznie, fotooptycznie,
zapisywana elektronicznie lub magnetycznie,
ani odczytywana w środkach publicznego przekazu
bez pisemnej zgody wydawcy.

W sprawie zezwoleń należy się zwracać do wydawnictwa:
„Bratni Zew” sp. z o.o., ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków.

Zamówienia na książki można składać:
Wydawnictwo OO. Franciszkanów „Bratni Zew”
ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków
tel. 12/428 32 40, fax 12/428 32 41
www.bratnizew.pl

Wybrała i przygotowała do druku:
Jadwiga Wartalska

Korekta:
Maria Lubieniecka, ks. Jerzy Witczak

Imprimatur:
Kuria Metropolitalna Wrocławska
L.dz. 66/2005, Wrocław, dnia 22. 01. 2005
biskup Edward Janiak
Wikariusz Generalny

WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW
 „Bratni Zew” spółka z o.o.
ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków
tel. 12/428 32 40, fax 12/428 32 41
www.bratnizew.pl

Druk: „Pracownia AA”, pl. Na Groblach 5, 31-101 Kraków

Spis treści

Słowo ks. Henryka kardynała Gulbinowicza 7

Święta i uroczystości

Okres Bożego Narodzenia

Błogosławiona noc.....	13
Boże Narodzenie.....	19
Chrzest Pana Jezusa.....	21
Pokłon mędrców.....	25

Okres Wielkiego Postu

Grzech—odkupienie—nawrócenie	31
Post, pokuta, umartwienie	41

Zmartwychwstanie

Chrystus zmartwychwstał.....	45
Zmartwychwstanie.....	47

Zesłanie Ducha Świętego

On was wszystkiego nauczy	49
---------------------------------	----

Wszystkich Świętych

Królestwo Wszystkich Świętych.....	55
------------------------------------	----

Sakramenty

Najświętszy Sakrament

Eucharystia	63
Eucharystia jako źródło uświęcenia osoby i wspólnoty kapłańskiej	69

Kapłaństwo

Budowniczy mostów	79
Kapłan we wspólnocie Kościoła	85

Małżeństwo

Małżeństwo to służba	99
Małżeństwo szkołą pracy nad sobą.....	105
Pełnia miłości	111
Stawajcie się godni miłości.....	115

Matka Boża i święci

Królowa Polski.....	123
Królowej Korony Polskiej	133
Męczeństwo siostr nazaretanek.....	141
Święty Wincenty.....	143

Miłość i modlitwa

Jak się modlić?	151
Jak wielbić Boga?.....	159
Jedno „zdrowaś”	161
Módlcie się i nie ustawajcie	171

Wiara i czyn

Dana mi jest wszelka władza.....	179
Królestwo niebieskie.....	181
Kto będzie zbawiony	189
Kuszenie Jezusa i każdego człowieka	195
Miłować Łazarza	197
Największa jest miłość.....	201
Nam nie wolno w miejscu stać.....	207
Nie daj się zwyciężyć złu.....	215
Nie są oni ze świata.....	223
Otwórzcie drzwi Chrystusowi	227
Piękno czystości.....	235
Prawo i duch	241
Sól ziemi i światłość świata	243
Wiara	247
Wolność chrześcijanina	257
Zawierzenie Jezusowi	261
Zło dobrem zwyciężać.....	267
Nota biograficzna.....	275
Nota edytorska	283

Słowo ks. Henryka kardynała Gulbinowicza

Cieszę się i wdzięczny jestem dawnym podopiecznym „Wujka”, śp. ks. prałata Aleksandra Zienkiewicza, długoletniego, znanego nie tylko we Wrocławiu, zasłużonego duszpasterza akademickiego wyższych uczelni Wrocławia, bo dzięki tej pozycji ożyje pamięć odważnego Polaka i oddanego rzetelnie służbie młodzieży akademickiej, gorliwego duszpasterza.

Miałem szczęście znać ks. Aleksandra Zienkiewicza przez trzy ostatnie dziesięciolecia. Spotykaliśmy się na posiedzeniach Komisji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Akademickiego. On reprezentował sprawy młodzieży akademickiej Dolnego Śląska. Mnie zaś przypadł zaszczyt prezentowania spraw młodzieży akademickiej Białegostoku.

Porozumieliśmy się łatwo, choć dzieliła nas data urodzenia, bośmy pochodzili obaj z ziem wschodnich rubieży Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. On urodzony w niewoli 12 sierpnia 1910 roku, a ja już w odrodzonej Rzeczypospolitej. Należał kanonicznie do diecezji pińskiej, gdzie wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego i otrzymał święcenia kapłańskie 3 kwietnia 1938 roku w Pińsku. Mnie zagarnął Bóg w sieć powołania kapłańskiego dopiero jesienią 1944 roku i rozpocząłem moje studia w Wyższym Seminarium Duchownym archidiecezji wileńskiej. Wzrastaliśmy, uczyliśmy się, studiowali i służyliśmy Bogu

i ludziom w tej samej metropolii wileńskiej, która przechowywała szczególnie ciekawe tradycje, jednoczące te rozległe tereny w tej samej wierze, patriotyzmie i pobożności.

Z tego, co krótko wspomniałem, dla ludzi dobrej woli staje się jasne, że o wzajemne zrozumienie nie było trudno.

Ponieważ spodziewam się, że zostanie umieszczony dość obszerny biogram ks. prałata Aleksandra Zienkiewicza, dlatego już nie ma potrzeby więcej wspominać zamierzchłej przeszłości.

Bóg chciał, że dołączyłem do duchowieństwa archidiecezji wrocławskiej decyzją papieża Pawła VI późną jesienią 1975 roku, a ingres mogłem odbyć 2 lutego 1976 roku.

Ziemie Piastów po II wojnie światowej wróciły do Macierzy. Ks. prałat Aleksander Zienkiewicz znał je już dobrze, bo wypędzony z umiłowanej diecezji pińskiej, znalazł się w archidiecezji wrocławskiej już w roku 1946. Pełnił różne funkcje duszpasterskie. Był prefektem szkół świeckich w Sycowie od r. 1946. W roku 1951 powołany na prefekta, a później rektora Metropolitalnego Wyższego Seminarium Duchownego we Wrocławiu, w roku 1972 był już kanonikiem gremialnym Kapituły Archikatedralnej Wrocławskiej. Należał do *Consilium a Vigilantia*, był cenzorem wydawnictw kościelnych, kierownikiem Ośrodka Duszpasterstwa Katechetycznego i referentem Duszpasterstwa Młodzieży Akademickiej oraz rektorem kościoła Św. Piotra i Pawła.

Wymieniłem pełnione przez „Wujka” funkcje, by powiedzieć, że to od niego czerpałem wiele informacji o archidiecezji, której zupełnie nie znałem. Jestem jego wielkim dłużnikiem, bo zawdzięczam mu wiele mądrych rad i wskazówek.

Po 85 pracowitych latach życia, w tym w kapłaństwie lat 57, 21 listopada 1995 roku Bóg zawołał swojego Sługę po wieczną nagrodę.

Minie w tym roku 10 lat, jak nie ma go wśród nas. Ale jego służba duchowieństwu i wiernym, szczególnie młodzieży akademickiej, wpisała się w pamięć w sposób szczególnie godny. Był zawsze dostępny, choć wydawało się, że spieszący się. Miał czas i dobre słowo, radę i pomoc nie tylko duchowa, lecz także materialna, gdy była rzecz-wista potrzeba.

Umiał pracować kolegialnie. Ten wymóg Soboru Watykańskiego II nie był mu za ciężki. Szanował księży z duszpasterstwa akademickiego, tych z Wrocławia i okolicznych miasteczek. Zwoływał ich systematycznie na odprawy duszpasterskie, radził się, wspólnie podejmował decyzje. Jako najstarszy wiekiem i doświadczeniem nie gasił tych, którzy wnosili dobre innowacje. *Prudentia auriga virtutum* była szczególnie piękną cnotą wśród innych darów i talentów, jakie posiadał.

Często wspominał sługę Bożego biskupa Łozińskiego, pierwszego biskupa utworzonej po I wojnie światowej diecezji pińskiej. Brał wzór z jego ofiarnej służby biskupiej, naśladował go w pokorze i poświęceniu.

Na zakończenie napiszę, jak ks. prałat Aleksander Zienkiewicz wspominał biskupa Łozińskiego, jego pokorę, życzliwość, dobroć.

Ktoregoś popołudnia wybrał się bp Łoziński za Pińsk samotnie na spacer. Wędrował wśród opłotków przedmieścia i spotkał tam zapłakanego pastuszka. Zatrzymał się przy nim i zapytał: *Czemu płaczesz?* Wyrostek Poleszuk popatrzył nieufnie na duchownego, ale nabrał odwagi i odpowiedział: *Świnie mnie się rozeszły i nie mogę sobie poradzić,*

wstyd mnie. Biskup zaproponował, że mu pomoże te niesforne zwierzęta zebrać w stado. Ustalili plan działania i sąsiedzi, widząc jak w sutannie jakiś duchowny zgania świnię, zaciekawieni rozpoznali swojego Biskupa.

Pomagać człowiekowi w potrzebie umiał, chciał i dla tej idei żył śp. ks. prałat Aleksander Zienkiewicz, kochany przez młodzież akademicką „Wujek”. Niech Bóg nagrodzi jego życie chwałą w niebie i na ziemi.

+ *Henryk kard. Gulbinowicz*
+ Henryk kardynał Gulbinowicz, emeryt

Wrocław, 4 marca 2005 roku,
w uroczystość św. Kazimierza
z rodu Jagiellonów.

**ŚWIĘTA
I UROCZYSTOŚCI**

OKRES BOŻEGO NARODZENIA

BŁOGOSŁAWIONA NOC

Zrezygnowaliśmy dzisiaj ze snu, aby na głos jakby z zaświatów brzmiących dzwonów zebrać się w głębi nocy przed ołtarzem naszej świątyni. Noc na ogół nie miała i nie ma dobrej sławy u ludzi. Ona osłaniała wiele grzechów i zbrodni, ona czyhała i czyha tysiącem niebezpieczeństw na niewinne i bezbronne istoty.

Ale ta noc, której rocznicę dzisiaj obchodzimy, była zgoła inną nocą niż wszystkie pozostałe. Ona odsłoniła ludzkości przepaść światła Bożego, przepaść miłości Tego, który jest sam z siebie, Najwyższego. Tej nocy spełniły się tęskne oczekiwania niezliczonych pokoleń tonących w czarniejszych niż noc mrokach duszy. To noc błogosławiona przez ludzi i narody 1956 lat naszej ery. To największa i najświętsza noc świata. Przedwieczne Słowo-Bóg „stało się i zamieszkało między nami” (J 1,14) jako Dziecię, jako nasz brat, a potem nauczyciel, kapłan i wódz, a w końcu zwycięzca największych potęg zniewalających duszę człowieka.

Teologowie i myśliciele odrzucali kategorycznie te łaski i dary, które znalazły się w betlejemskim żłobku, ale daremne to były wysiłki. Darów Jezusa nie da się ująć w ramy najuczciwszej statystyki, są one nieskończone. Jeżeli powiemy, że wszystkie

najszczytniejsze ideały zawdzięczamy Chrystusowi Panu, przesady nie popełnimy, ale i wtedy nie sięgamy dna tego skarbcza, bo głębie Ewangelii nie zostały jeszcze i nie zostaną wyczerpane. Bóg bowiem jest nieogarniony i nieogarnione są Jego dzieła i nieprzebrane dary.

Przywołujemy na pomoc symbole. Nieprzebrane bogactwo i różnorodność darów Betlejemskiej Nocy mają wyrażać nasze wdzięcznie jarzące się światłem i obsypane ozdobami choinki i te prezenty gwiazdkowe, i te wyjątkowo suto zastawione stoły.

Wspaniałomyślność Boga i darów unaocznic nam mają wspaniale i odświeżone przyozdobione kościoły – jaśniejące blaskiem świec i lamp, przepelnione wonią choinek, połyskujące bielą szat liturgicznych, osnute dymem kadzideł, rozbrzmiewające głosem dzwonów i cudną melodią kolęd. Ale i te urocze znaki dają nam zaledwie nikły obraz Bożej rzeczywistości.

Może najlepiej tę niepojętą w swej głębi treść odtwarza symbol naszego białego opłatka, którym dzieliliśmy się przed paroma godzinami ze swymi najbliższymi i przyjaciółmi. A oto jego wymowa: Wielki, Nieskończony, Samoistny Bóg dzieli się swoją Istotą, swym Bóstwem, swym Sercem ze swymi grzesznymi stworzeniami. Ten opłatek przemienia się na Ostatniej Wieczerzy w Niego samego i staje się pokarmem ludzkich serc. Bóg stał się człowiekiem, a potem staje się chlebem, aby mnie uczynić dzieckiem swoim, poniekąd Bogiem.

Toteż bez wątpienia najgłębiej dzisiejszą noc przeżywają i pojmują ci, którzy się z Nim tej nocy zjednoczą w tajemnicy Eucharystii. Oni, poprzez przestrzeń wieków, najlepiej ujrzą blask ogarnia-

jący stajnię betlejemską i najlepiej usłyszą owe cudowne „pienia” aniołów.

Ale i wszyscy inni chrześcijanie, nawet zaniedbani i chwiejni, ulegają czarowi tej świętej nocy. A pod jej kojącym i błogim tchnieniem zapalają się w nich iskry światła, odzywa się nuta radości i optymizmu. Jak pod tchnieniem wiosny rodzą się kwiaty, rodzi się w tych sercach pokój, życzliwość, wyciągają się dłonie poważnionych, a w sercach zasmuconych jawią się łzy radości. Ta Noc naprawdę niesie to, co obwieszczali aniołowie: „Chwała na wysokości Bogu”. Pokój! – jedność, życzliwość.

Jeżeli w duszach, nawet obojętnych dla spraw Bożych i ludzkich, rodzą się tak piękne uczucia i prądy, to cóż się wtedy dzieje w sercu kapłana duszpasterza, dla którego chwała Boża i dobro człowieka są codzienną troską, niepokojem i radością. Jeżeli nawet w najbardziej powszednie dni przepelniony bywa najgłębszą życzliwością i oddaniem, to w blasku tej cudownej nocy chciałby wszystkich swych braci przytulić do serca swojego i serca Bożego i wszystkich obsypać Boskim darem wszelkiej pomyślności, radości i szczęścia.

I te kapłańskie – najserdeczniejsze i najgorętsze życzenia – mam dzisiaj dla was, drodzy, także w imieniu Arcypasterza naszego miasta i diecezji.

Życzeniami tymi obejmujemy i was, czcigodni sędziwi staruszkowie; i was, drodzy rodzice; i was, kochane dzieci; i was, droga młodzieży; i was, zdrowi, silni; i was, cierpiący i chorzy; i was, którzy spełniacie swój obowiązek tygodniowy; i was, którzy pokazujecie się w świątyni tylko w wielkie uroczystości. Myślą i sercem ogarniamy cały nasz drogi naród i wszystkie narody świata, a zwłaszcza powiązany z nami węzłami wiary i umiło-

wania wspólnych ideałów, a obecnie tak bardzo cierpiący naród węgierski. Z piersi naszych płyną nurty najżyczliwszych i najserdeczniejszych dla was pragnień i życzeń.

Ale w tej wzruszającej godzinie Pasterki nie można tracić z oczu realnego układu rzeczy. Wiem, że same życzenia nikogo nie uszczęśliwią i że na tym etapie szczęścia osiągnąć nie można. Można jednak i trzeba je do człowieka przybliżyć. Pytacie po raz tysięczny – jak? I po raz tysięczny odpowiadam wam, w imieniu Kościoła, z niezachwianą pewnością: jedyną drogą do szczęścia człowieka, narodów i ludzkości jest praca nad wcieleniem w życie programu Ewangelii z prawem miłości na czele, korzystanie ze źródeł światła i mocy płynących z modlitwy, Mszy świętej i sakramentów świętych. Toteż dzisiaj ze szczególną gorliwością będziemy się modlić o to, by nasze życzenia stały się ciałem, rzeczywistością.

Jeżeli w ostatnich miesiącach i tygodniach zajaśniało nad całym naszym narodem światło ewangelicznych ideałów prawdy, wolności, poszanowania człowieka i świętych tradycji ojczystych, to wiemy, że to była cudowna odpowiedź Nieba na pokorne modlitwy polskiego ludu, to zadziałały siły boskie wcielone w piersi i ramiona Polaków.

Módlmy się pokornie i ufnie dalej, a jednocześnie pracujmy uczciwie na chleb i dostatek dla siebie i naszych braci, ale jednocześnie wchłaniajmy w siebie cudowne dary nocy wigilijnej i pracujmy nad ich wcieleniem w nasze serca i stosunki społeczne – darów pokoju, jedności, sprawiedliwości, miłości Boga i człowieka. A wtedy ujrzymy jeszcze większe cuda w naszym osobistym i społecznym życiu. Oto program naszego dobra i szczęścia – oto szlak wolności i chwały naszej drogiej Ojczyzny.

Pamiętajcie, drodzy, że Chrystus Pan nie tylko na Pasterce i Rezurekcji rodzi się cudownie na ołtarzach naszych świątyń, lecz także każdej niedzieli i każdego dnia. I dla was się rodzi, bracia wątpiący i opieszali. Czyżbyście po tylu doświadczeniach jeszcze sądzili, że godzina Mszy niedzielnej jest czasem bezużytecznie straconym? Tak, drodzy, tam, w te powszednie niedziele, odnawia się błogosławiony sojusz ziemi z Niebem, słabego człowieka z potężnym Bogiem.

Dzisiaj wszyscy chcieliby być w roli pasterzy niosących Dzieciątka i Jego Najświętszej Matce dary ziemskie do żłóbka. Podtrzymujemy ten szlachetny zryw naszego serca, wolę i swoją wierność oraz swój trud podjęty przy warsztacie pracy, wyzwolony w walce o realizację Ewangelii w swojej duszy, w swoim domu i w narodzie. Tam otrzymujemy błogosławioną moc do dalszej pracy. Tam będziemy wchłaniać dary Nocy Betlejemskiej, tworzyć jedność, rozpalać serca. Tam będziemy szukać dobra i szczęścia, którego sobie dzisiaj gorąco życzymy.

Pasterka 1956.

BOŻE NARODZENIE

Wolna wola – wolność ducha – to jeden z największych darów, którym Stwórca obdarzył człowieka i którym upodobił go do siebie. Człowiek tego daru nadużył, uległ pokusie pychy, rzucił Bogu wyzwanie. Nastąpiła katastrofa – odbóstwienie, mroki, poniżenie, zbydlęcenie.

W brzemiennej klęską chmurze zjawia się jednak tęcza nadziei powstania z upadku – „Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiażdży ci głowę” (Rdz 3,15). A więc przyjdzie Odkupiciel, pogromca szatana, by synów grzechu podnieść ku Niebu.

Mijają lata, tysiąclecia. Nad ludzkością przewalają się fale najrozmaitszych potopów, a utęsknione ludzkie serca wołają z nadzieją: „Spuście nam na ziemskie niwy Zbawcę z niebios, obłoki”.

Aż nadchodzi roziskrzona gwiazdami, opromieniona światłem niebieskim wielka, tajemnicza, błogosławiona Noc Betlejemska, której ciszę przerwała cudna, radosna pieśń anielska, zwiastująca kres mroków i poranek nowej ery: „Wstańcie, wstańcie”, „Wśród nocnej ciszy”, „Cicha noc, święta noc”.

Zdumienie ogarnęło ziemię na tę wieść, na tę pieśń Niebios. Wielkie były obietnice Boże, wielkie były nadzieje człowieka. Ale to, co się stało, przeszło wszelkie oczekiwania. Mesjaszem staje się sam Bóg – staje się człowiekiem, towarzyszem, przyjacielem, bratem grzeszników.

Dotąd świat był przekonany, że wszystko, co wielkie, rodzi się w pałacach, jaśniej przepychem, bogactwem materii. A tutaj Największy zjawia się w stajni w postaci kwilącego Dzieciątka. Nie do wiary! I serca nabrzmiałe pychą, i umysły nadęte zarozumiałością, odwróciły się ze zgorzeniem od Boga, który nie zachował salonowych manier.

Ale serca proste i umysły pokorne przez mądrość upadły na kolana przed Panem w stajni – pasterze i mędracy. Tylko mędrków nie było i nie ma.

Po chwili zdumienia rozbrzmiała na ziemi pieśń – odpowiedź na pieśń Nieba – i rosła, potężniała jak pochodnia niesiona przez radość: „Bracia, patrzcie jeno”, „Do szopy, hej pasterze”, „Gdy się Chrystus rodzi”.

W roku 966 wieść o Odkupicielu doszła do naszych pradziadów. I oni padli na kolana przed Chrystusem jak pasterze i mędracy. I oni włączyli swój śpiew do chórów anielskich. Polska rozbrzmiała w ciągu wieków bogactwem tonów przenikniętych uwielbieniem, dziękczynieniem, radością prostych serc.

Lud polski wyraża swe ciepłe i gorące uczucia wobec Zbawiciela w żłobku i śpiewa tak rzewnie, jak dobra matka nad kołyską ukochanego dziecka: „Ach, ubogi żłobie”, „Pójdźmy wszyscy”, „Mizerna cicha”, „Przybieżeli do Betlejem”, „Jezus malusieńki”, „Przy onej górze”, „W dzień Bożego Narodzenia”, „Lulajże, Jezuniu”...

CHRZEST PANA JEZUSA

Pismo święte rozróżnia chrzest z wody i chrzest z Ducha Świętego i ognia. „On was chrzcić będzie Duchem Świętym i ogniem” (Łk 3,16).

Chrzest z wody – jak go nazywamy – był znany u Żydów jako jedna z form pokutnych obok takich jak: składanie ofiar z baranów czy innych zwierząt, pielgrzymki, jałmużny i obmycie się wodą podczas jakiejś modlitwy.

Ten rodzaj chrztu był znany także poza kręgiem kultury żydowskiej. Hindusi odbywają wielokilometrowe pielgrzymki na północ, które są marzeniem ich życia i w nurtach Gangesu czynią ten znak-symbol – obmywają się wodą. Wierzą, że w ten sposób Bóg ich oczyszcza z winy.

Reliktem chrztu z wody mogą być nasze pokropienia, poświęcenia. Przed każdą sumą w kościołach pokrapia się wiernych wodą – piękny znak pokutny, który może budzić pewne refleksje i przeżycia religijne. Właśnie o Jezusie mówi się, że będzie chrzcić Duchem Świętym i ogniem. I dzisiaj Kościół nam przypomina akt pierwszego chrztu z wody, z Ducha Świętego i ognia.

Jezus nie był zobowiązany wchodzić w nurty Jordanu i przyjmować chrztu z wody, ale przyjął go razem z tłumem. Nie chciał się wyróżniać, chciał wejść w ten tłum, aby zbliżyć się do niego także przez spełnienie tego rytu pokutnego. Ale właśnie wtedy, gdy Jezus wszedł do Jordanu, jak relacjonują trzej Ewangelіści, nad Jego głową roz-

blęskło światło, które skoncentrowało się i utworzyło wśród dalszych rozbłysków jak gdyby postać gołębiczy nad głową Jezusa. I dał się wtedy słyszeć głos: „Tyś jest Syn umiłowany, w Tobie mam upodobanie” (Łk 3,22).

Tutaj zachodzi coś nowego, nieporównanie większego niż to miało miejsce przy symbolach pokutnych. Mianowicie zjawia się Duch Święty, zjawia się ogień, ogień oświetlający, ogrzewający, rozplamienający. Jest to więc już chrzest inny, a właściwie pozostała tylko dawna forma, a treść jest już nieporównywalnie bogatsza. Tutaj Jezus pokazuje naocznie, niejako zmysłowo, czym jest, czym będzie dla Jego wyznawców chrzest prawdziwy, sakramentalny, święty. Gdyby Jezus mówił tylko słowami, mógłby się ten znak zagubić gdzieś po drodze, mógłby przez jakąś dialektykę ulec jakiemuś spaczeniu, ale fakty, zwłaszcza o charakterze wizualnym, są bardziej jednoznaczne. I oto Jezus w Ewangelii uczy przeważnie faktami, swoją postawą, zachowaniem, a wtórnie także i słowami. Bo przecież Ewangeliści wszystkich słów nie zanotowali.

Jezus teraz też uczy, czym jest, czym będzie chrzest Nowego Przymierza, Nowego Testamentu, chrzest z wody, ale i z Ducha Świętego i ognia.

Właściwie taki chrzest przyjęliśmy my i przyjmują setki, tysiące dzieci i dorosłych. Już dzisiaj tych zewnętrznych zjawisk nie widzimy przy chrzcie świętym, dość jednak mamy wiary, ażeby uświadomić sobie, że tam dzieje się coś podobnego jak w Jordanie, że otwierają się niebiosy, że Duch Święty zstępuje do duszy takiego człowieka, że rozgrzewa, oświeca i rozplamienia, oczyszcza jego duszę i mówi: Tyś jest moje dziecko umiłowane, tyś jest syn umiłowany, w tobie mam upodobanie.

Dotychczas byłeś tylko człowiekiem naturalnym, złożonym z ciała i ducha, ale przed chrztem nie było w tobie Ducha Świętego, tego ognia, tego światła i ciepła. Jeszcze byłeś cząstką natury, co prawda najwyższego rzędu, a oto przez chrzest włączasz się niejako w życie samego Boga, w życie Trójcy Przenajświętszej. Gdzie jest Duch Święty, tam jest i Ojciec, i Syn, jako że Trójca jest zawsze niepodzielna, zawsze jest jednością w wielości. I o to prosimy przy chrzcie świętym, czasami z zewnątrz bardzo szarym i pustym.

I z nami to się stało. Oczywiście, te wartości możemy znieważać, zabijać, sprofanować, możemy ze świątyni Ducha Świętego w naszej duszy zrobić jaskinię zbójców. Możemy, choć nie powinniśmy. Ale mamy wszelkie zadatki, ażeby nasza dusza była świątynią Ducha Świętego. Warto wspomnieć i to, że jesteśmy ochrzczeni, choć nie pamiętamy tego momentu, że nie możemy zawieść przez te lata tej chwili, której niemal nie mogli dostrzec nasi rodzice i rodzice chrzestni. Coś wielkiego się stało i powinniśmy w ten sposób widzieć także sakrament chrztu, który przyjmują dzieci nasze i naszych przyjaciół.

Należy ubolewać, że często ten znak pozostaje niezrozumiały, czasami sprofanowany. Jak wielu chrześcijan chrzci dzieci, bo taki jest zwyczaj, żeby mieć metrykę. Może wielu chrzci z jakiegoś przekonania religijnego, ale później go nie rozwija, nie stwarza warunków dla Ducha Świętego, Trójcy Przenajświętszej. Już zupełnie zapomina. Wielu po chrzcie świętym urządza ucztę, nawet znieważa go alkoholem i to są bolesne sprawy. Niektórzy z różnych powodów odkładają chrzest. Chcieliby mieć bogaty, ale nie mają na tyle pieniędzy, to znów ktoś nie przyjechał. Wiele jakichś

blahych okoliczności sprawia, że dziecka się nie ochrzci.

Autentyczni chrześcijanie powinni dążyć do tego, aby dziecko jak najszybciej stało się świątynią Trójcy Przenajświętszej.

I wtedy, gdy dziecko zostanie ochrzczone, gdy nikt nie widzi, żeby nie być posądzonym o demonstracyjność czy sensacyjność, należy uklęknąć przed nim, a właściwie przed Bogiem, którego świątynią jest to dzieciątko.

*Wrocław, kościół Św. Piotra i Pawła,
13 stycznia 1980.*

POKŁON MĘDRCÓW

Po narodzinach Chrystusa godny uwagi jest fakt, że pospieszyli doń z hołdem pasterze – ludzie prości i magowie – mędrzy. Najpóźniej i najoporniej poszli za Nim, albo wcale nie poszli, ludzie przeciętnej inteligencji, zajęci i przejęci sprawami doczesnymi i prywatnego bytu. I jeszcze bardziej znamioną rzeczą jest, że ten fakt powtarza się nieustannie w historii chrześcijaństwa.

Że ludzie prości stanowią najwierniejszą rzeszę w Kościele, o tym nikt nie może wątpić. A że za nimi idą mędrzy, to również fakt bezsprzeczny. Przez mędrców rozumiemy takich ludzi, którzy swoim umysłem ogarnęli możliwie najgłębsze i najszersze obszary rzeczywistości i szukali ostatecznych przyczyn i racji faktów i zjawisk.

Któż zaprzeczy, że nie tylko trójkami, jak magowie wschodni, lecz całymi grupami, w ciągu dwudziestu wieków szli do kolebki Chrystusa właśnie ci ludzie, którzy reflektorem swojego umysłu sięgali dalekich gwiazd i głębi ludzkiej natury? Właśnie te gwiazdy, te tajemnicze nurty ludzkiej jaźni prowadziły ich do Chrystusowego żłobka. Któż wskaże głębszego mędrca pierwszych wieków chrześcijaństwa ponad św. Augustyna i większych tytanów myśli ponad Alberta Wielkiego i Tomasza z Akwinu w okresie średniowiecza? A oni właśnie klęczeli u stóp Chrystusa razem z prostakami.

Składali również hołd Chrystusowi najwięksi mędrzy epoki Odrodzenia z tytanem sztuki Mi-

chałem Aniołem na czele. Złożył Mu hołd twórca nowoczesnej myśli filozoficznej Rene Descartes, głęboki myśliciel Błażej Pascal, niemiecki Leibniz. Nawet zagubionemu w konstrukcjach myślowych Immanuelowi Kantowi „niebo gwiazdziste” wskazywało drogę do Boga.

W czasach nam współczesnych zjawisko podobne zachodzi nadal, a nawet się potęguje. Wydaje mi się, że mało kto zaprzeczy, iż filozof francuski Henri Bergson, pochodzenia żydowskiego, należał do największych mędrców współczesnej doby. Otóż nie wszystkim wiadomo, że przyczynił się on do nawrócenia głośnego rewolucjonisty i pisarza Charlesa Péguy i filozofa Maritaina i sam w duchu stał się chrześcijaninem. Za nim poszedł poeta i mędrzec Paul Claudel. Można by podobnych faktów przytoczyć znacznie więcej.

A przyrodnicy? W pewnych kołach dość jeszcze rozprzestrzenia się bajka, jakoby wiedza przyrodnicza oddala od Boga. Fakty mówią o czym innym. Francuski pisarz Eymien zbadał światopogląd 367 największych przyrodników ostatnich wieków i stwierdził wśród nich tylko piętnastu niedowiarków i zdecydowanych bezbożników. To samo dotyczy mędrców artystów. O jednym z nich pięknie wyraża się Romain Rolland: „W jakim kraju można znaleźć artystę rażonego tchnieniem Biblii na podobieństwo purytanina Franciszka Milleta, mędrca przejętego głębiej promienną i pokorną wiarą niż bystry Pasteur korzący się przed ideą nieskończoności?”.

Wśród mędrców składających hołd Chrystusowi w naszym wieku znajdziemy jednego z twórców nowej fizyki – Maxa Plancka i lekarza-myśliciela Alexisa Carrela, i pedagoga Foerstera, i głośnego pisarza-filozofa Poppiniego. A jeszcze ich więcej

odbywa podróż poprzez piaski pustyni do wcielo-nej w postać Chrystusa Absolutnej Prawdy.

Powstaje pytanie: czy zadowolające jest wytlumaczenie tego zjawiska? Wydaje się, że tak.

Jest rzeczą bezsporną, że warunkiem naturalnego poznania Boga jest dobra wola połączona z pokorą, utrzymanie się na gruncie faktów i zjawisk przyrody, sięganie myślą poza fakty, szukanie ich ostatecznych racji i przyczyn.

Warunki te spełniają ludzie prości, którzy w ciągłym obcowaniu z przyrodą nauczyli się dostatecznie pokory, podchodzą do niej bez żadnych oderwanych od rzeczywistości konstrukcji myślowych. Patrzą na przyrodę (na gwiazdy i ziemię) własnymi oczyma, bez pośrednictwa interpretatorów. Sami są odkrywcami w szkole mędrców.

Spełniają te warunki ludzie, którzy ominęli pouczenia popularyzatorskich podręczników, którzy puścili się dalej samodzielnie w nieznanne rejony rzeczywistości, którzy nie tylko rejestrują i szeregują zjawiska, ale sięgają do ich ostatecznej przyczyny, racji i szukając tej ostatecznej, nie odrywają się od faktów czy to przyrodniczych, czy psychologicznych, czy historycznych. Stwierdzając, że oko ich umysłu gubi się w bezkresnych obszarach wiedzy, bez żenady przyznają, że przez ciasne i wąskie okienko patrzymy na bezmiar wszechświata. Tacy mędrzy z łatwością określają swoją właściwą pozycję wobec świata, ludzi i wiedzy, a widzieć siebie we właściwym świetle i we właściwym stosunku do otoczenia – to właśnie pokora, która jest wyrazem prawdy.

W jednym z rozdziałów swych „Myśli” wyznawał Pascal tę prawdę, a zarazem swoją pokorę.

Nie wstydził się wyznać tej prawdy, a zarazem swej pokory, przerażający swym geniuszem umysł

Ampère'a. W okresie swych wielkich sukcesów naukowych przychodził w Paryżu do swego przyjaciela Fryderyka Osanawy, siadał, brał w dłoń swe wielkie czoło i mawiał: „Fryderyku, Fryderyku, jak wielki jest Bóg, a jak mała nasza wiedza!”.

Rzecz jasna, że takie wspaniałe dusze z łatwością znajdują w naturze, w duszy gwiazdę, która ich zaprowadzi do Chrystusa.

Najtrudniej zaś przyjść do Boga ludziom, którzy zatracili dziecięcą szczerłość i pokorę ludzi prostych, a nie doszli na wyżyny mądrości. Ludziom oddanym na pastwę jednostronnej specjalizacji; którzy przyswoili sobie gotowe interpretacje i gotowe formuły; których umysł nie sięga „tam, gdzie wzrok nie sięga”, zadowala się ślizganiem się po powierzchni faktów i zjawisk; którym wmówiono nieograniczony optymizm poznawczy; którzy gubią się w oderwanych już od faktów konstrukcjach myślowych, zadowolają się poznaniem formuł, a nie dbają o treść.

Rzecz jasna, że w takiej sytuacji będzie triumfy święciła ciasna zarozumiałość, a nawet butna arogancja. Taka burżujska, intelektualnie pozorna sytość, prowadzi zawsze do zubożenia, do dwuwymiarowej chudości. Obserwowany na pewnym odcinku fakt werbalnej dialektyki zaniepokoił nawet niekatolickiego pisarza, Jarosława Iwaszkiewicza, który z punktu widzenia kulturowego wyraził obawę, że z takich umysłów mogą powstać jednokomórkowe „tekstochłony”.

Otóż takie nastawienie umysłowe i takie przedmioty poznania nie pozwoliły faryzeuszom widzieć gwiazdy mesjańskiej ani nie pozwoliły słyszeć anielskich chórów.

Zarozumiałość i duma, która u pewnej części ludzi sięga niebywałych wyżyn, nie pozwalały

ujrzeć Boga mędrcom późniejszych czasów ani też nie pozwalają i dzisiaj. Ponieważ Chrystus nie mieścił się jako fakt historyczny w ramach ich myślowych konstrukcji, wyrzucono Go poza nawias rzeczywistości, a w istocie dokonano zbrodni na sobie. Mówiono, że religia obawia się wiedzy. To fałsz.

Jakże musi być dla nas podnosząca świadomość, że znajdujemy się wśród prostaków lub mędrców u stóp Zbawiciela. Nie obawiamy się stać w pokorze.

Powyżej prostaków a poniżej mędrców spotykamy ludzi o bardzo różnych nastawieniach umysłu i woli.

Są tacy, którzy bezkrytycznie korzystają z obcych sądów i sformułowań, nie zadając sobie trudu, by poddać je selekcji i wartościowaniu.

Są tacy, którzy zadowolają się znajomością samych faktów – szeregują je, ujmują w statystyki, analizują i na tym kończą swoje badania, nie sięgają tam, „gdzie wzrok nie sięga”.

Są tacy, którzy odrywają się od faktów i tworzą konstrukcje myślowe oderwane od rzeczywistości oglądowej. Uprawiają dialektykę, scholastykę słowa, nie dbając o treść. Z taką dekadencją scholastyką słowa walczył zażarcie Charles Péguy, twierdząc, że ten nurt grozi kulturze człowieka, samemu człowiekowi.

Jeszcze bardziej niebezpieczny kierunek myśli rodzi się tam, gdzie uczone zaczyna naginać fakty do konstrukcji myślowych. Zapoczątkował ten kierunek znany idealistyczny filozof niemiecki Hegel. Gdy mu zwrócono uwagę, że fakty przeczą jego teorii, powiedział, że tym gorzej dla faktów. Ten nurt żyje i dzisiaj – w imię tej teorii niektóre fakty są przekręcane, a inne nawet negowane.

Szczytem perwersji myślowej współczesnego człowieka były usiłowania wyrzucenia poza nawias faktów historycznych postaci samego Jezusa. Osobowość Chrystusa nie mieściła się w ciasnych ramach teorii, a więc: „tym gorzej dla Niego!”, „Wyrzucić Go precz!”. W istocie wyrzucono Go z serc teoretyków.

Bardziej zasadnicza trudność znalezienia Boga przez gwiazdy przyrody mieści się w woli niektórych ludzi...

OKRES WIELKIEGO POSTU

GRZECH—ODKUPIENIE—NAWRÓCENIE

Na pewno jeszcze wyczuwamy w sobie głębię przeżyć związanych z rozważaniem wielkiej tajemnicy wcielenia Syna Bożego. Tajemnicy, w której Jezus Chrystus, aktem dobrowolnej miłości, podjął decyzję, aby wejść i związać się z naturą człowieka, ubogacić ją swoją obecnością, przebóstwić oraz uczynić ją na wzór obrazu Boga. W dzisiejszym pierwszym czytaniu tak wyraźnie nam mówi św. Jan: „Przypatrzcie się, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi i rzeczywiście nimi jesteśmy” (1J 3,1).

Równocześnie od kilku dni (od środy popielcowej) Kościół w swojej liturgii stopniowo zaczyna nas wprowadzać w drugą i najbardziej centralną tajemnicę – śmierci i zmartwychwstania Pana Jezusa, czyli w dzieło naszego odkupienia. Jest to Misterium Paschalne, które tak często podkreśla współczesna nauka posoborowa.

W przeżywaniu tajemnicy wcielenia stwierdziliśmy fakt Bożego narodzenia, cieszyliśmy się z przyjścia Zbawiciela na ziemię. Natomiast w okresie paschalnym Chrystus wyraźnie określa nam cel swojego przyjścia i środki realizacji tego celu: „Nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników” (Mk 2,17); „Syn człowieczy przyszedł, aby zbawić, co zginęło” (Mt 18,11).

W sposób zdecydowany uwidacznia sens swego przyjścia na świat, kiedy wydaje definitywną walkę szatanowi: „Nawet duchom nieczystym rozkazuje i są Mu posłuszne” (Mk 1,27). Powiedział do opętanego: „Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka (...), potem uzdrowiony poszedł i rozgłaszał, co Jezus mu uczynił, a wszyscy się dziwili” (Mk 5,8 i 5,20).

Środki, którymi Pan Jezus chce realizować postawiony sobie cel, określa tak: „Syn człowieczy przyszedł, aby dać swoje życie na okup za wielu” (Mt 20,28). W czasie Ostatniej Wieczerzy powie: „To jest krew moja, która będzie wylana na odpuszczenie grzechów” (Mt 26,28). Św. Jan Chrzciciel tę samą myśl wyrazi w słowach: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata” (J 1,29). Trzeba powiedzieć, że Chrystus, decydując się na przyjęcie ludzkiej natury, chciał w sposób zamierzony stanąć w centrum zła, grzechu i działalności szatana, aby swoją Boską męką, śmiercią i zmartwychwstaniem nie tylko jednorazowo pokonać grzech i ograniczyć rolę szatana, ale chciał zapoczątkować nieustanną walkę ze złem, będącym w ludzkiej naturze.

Przytoczone wypowiedzi Pana Jezusa w szczególniejszy sposób ukierunkowują naszą duszpasterską posługę w najbliższych tygodniach na te same zadania, jakie podejmował Chrystus, czyli na zdecydowaną walkę z grzechem i jego głównym źródłem – szatanem. Jak już wspomnieliśmy, ta walka jest koniecznością, jeżeli chcemy uczestniczyć w Boskim życiu Jezusa Chrystusa.

Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że Bóg Ojciec, będąc Miłością, z wolnej, podyktowanej własną dobrocią decyzji, powziął plan miłości, którego treścią było stworzenie świata i powołanie

człowieka do dialogu miłości, czyli dialogu z Nim. Stąd człowiek od samego początku przeznaczony został do wyrażenia sobą podobieństwa do Syna Bożego, a podobieństwa i do Ojca, bo Syn i Ojciec stanowią jedno (J 14,9-11).

Wśród wszystkich bytów stworzonych przez Boga człowiek zajmuje miejsce uprzywilejowane, bo z daru Bożego ma udział w życiu samego Stwórcy. Dostał od Boga dary, aby ciągle rozwijać w sobie życie otrzymane od Niego. Stwarzając chciał Bóg dać uczestnictwo w swojej dobroci, dlatego powołaniem człowieka jest udział w tej dobroci i jednocześnie oddanie chwały Bogu (Iz 43,7). W każdym z nas to uczestnictwo w życiu Stwórcy zapoczątkowuje się z chwilą otrzymania chrztu i rozwija się poprzez całe życie, o ile człowiek prowadzi intensywną walkę z tym wszystkim, co życie w Bogu osłabia albo w ogóle uniemożliwia.

Objawienie Boże ukazuje nie tylko wzniosłe powołanie człowieka, ale też dramatyczną dla niego możliwość odmowy wypełnienia Bożego powołania. Pismo św. ukazuje wiele faktów takiej odmowy, określanych jako grzech. Nauka Boża naświetla grzech jako sprawę o charakterze religijnym, w pełni zrozumiałym na tle naszej relacji do Boga nakazującego.

Z orędzia Bożego Starego i Nowego Testamentu możemy wnioskować, że tajemnicę grzechu należy rozpatrywać zawsze na tle Bożej Miłości oraz wynikającej z niej świętej, zbawczej woli Boga, w której Miłość, chcąc zbawić człowieka, wzywa go do w pełni wolnej i świadomej współpracy. Odtrącenie Miłości, odmówienie współpracy, czyli wolne i świadome nieposłuszeństwo wobec Boga jako Pana i Ojca, który objawił swoją wolę i swoją miłość w swoim Synu, Jezusie, jest jądrem grzechu.

Stąd też każdy grzech rozpatrywany jest jako odmówienie należnej Bogu miłości, konkretyzującej się w świadomym nieposłuszeństwie Jego świętej woli. Można też powiedzieć, że jest to lekceważenie Boga, nieliczenie się z Nim, odwrócenie się od Niego, a układanie sobie życia po własnej myśli, niezależnie od planu Bożego.

Dla chrześcijanina, który zetknął się z Chrystusem, grzech jest, jak pisze św. Paweł do Żydów, podeptaniem Syna Bożego i zbezczeszczeniem Krwi Przymierza, przez którą został uświęcony, i obelżywym zachowaniem się wobec Ducha łaski (por. Hbr 10,29).

Inaczej mówiąc, ten, który został stworzony na obraz Boży, który został potem odkupiony krwią Syna Bożego i naznaczony pieczęcią Ducha, czyli ten, którego Bóg obdarzył nieskończoną miłością (por. 1J 3,1), a Chrystus nazwał swoim bratem i przyjacielem, odmawia Bogu miłości i ufności, stając się „dzieckiem nocy i ciemności” (1Tes 5,5), „dzieckiem diabła” (1J 3,8), pozostającym w służbie „fałszywych bogów” (1J 5,21).

„Jeśli mówimy, że nie mamy grzechu, to samych siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy” (1J 1,8). A zatem z pokorą musimy przyznać, że w każdym z nas istnieje grzech i że każdy z nas jest w kontakcie z „tajemnicą nieprawości”. Ta nieprawość jest wielowymiarowa jako brak miłości, tej skierowanej ku górze, ku Bogu, czyli w wymiarze wertykalnym, i tej w linii poziomej, w wymiarze horyzontalnym, skierowanej ku człowiekowi i do świata.

Stwierdzenie faktu istnienia grzechu i jego ujemnych skutków w realizacji naszego powołania do uczestnictwa w wewnętrznym życiu Boga domaga się szukania środków do zabezpieczenia nas przed grzechem oraz pomocy dla tych, któ-

rzy popadli w niewolę grzechu. Tutaj spotykamy się z Chrystusem, który poprzez słowa św. Pawła z Listu do Hebrajczyków powie: „Oto idę, abym spełniał wolę Twoją” (Hbr 10,9). Rzeczywiście, Syn Boży wiedząc, że Bóg został obrażony przez grzech człowieka, przychodzi i podejmuje decyzję roli pośrednika między grzesznym człowiekiem a obrażonym Bogiem i w ten sposób staje się Odkupicielem ludzkości.

Zapowiadając ustanowienie Eucharystii, Chrystus ogłosił zawarcie Nowego Przymierza z Bogiem Ojcem we własnej krwi przelanej w jednej ofierze „na okup za wielu” (Mt 20,28), na odpuszczenie grzechów. Śmierć Chrystusa, dobrowolnie przyjęta, oznacza cenę wykupu, dar na pokrycie winy, nosi wyraźne cechy ofiary ekspiacyjnej. Pan Jezus niejednokrotnie zapowiada swoim uczniom, że przyjdzie chwila, w której „Syn człowieczy będzie wydany w ręce ludzi. Oni zabiją Go, ale trzeciego dnia zmartwychwstanie” (Mt 17,22). Przy tej okazji Chrystus wyraźnie utożsamia swą śmierć krzyżową z zadaniem, jakie miał spełniać wobec Ojca Niebieskiego, czyli Jego krew miała zgładzić, obmyć grzechy całej ludzkości jak krew starotestamentalnego baranka ofiarnego.

Chrystus kojarzy swoje cierpienie ze sprawą odrodzenia człowieka. Odrodzenie, odnowa, naprawa, odkupienie, wyzwolenie, pojednanie z Ojcem i gromadzenie rozproszonych dzieci Adama – oto kategorie, w których Nowy Testament ujmuje całość posłannictwa Chrystusowego.

Jak widać, przygotowanie do święcenia Wielkanocy ma, najogólniej mówiąc, charakter walki z szatanem oraz jego dziełem, czyli grzechem, a także z tym wszystkim, co do grzechu prowadzi. Walka ta jest wielkim wysiłkiem całego Kościo-

ła i konkretyzuje się bardzo wyraźnie w trzech punktach:

– w oczyszczaniu wszystkich chrześcijan, usiłujących żyć Ewangelią, z wszelkiego grzechu, poprzez pokutę pojętą negatywnie jako umartwienie i pozytywnie zarazem, przez podejmowanie czynów miłości chrześcijańskiej;

– w wyrwaniu człowieka z podstawowej niewoli grzechu poprzez przygotowanie go do chrztu na Wielkanoc, czyli zbieranie w parafii jeszcze nie ochrzczonych, a już dorosłych, aby ich, poprzez Boże Słowo, doprowadzić do światła wiary, nawrócenia w chrzcie św. i do ścisłej jedności z Chrystusem w Eucharystii;

– w pojednaniu publicznym wielkich grzeszników z Kościołem poprzez prawdziwą pokutę.

W pełni czujemy się odpowiedzialni, jako kapłani, za to zadanie, które Bóg zlecił nam, abyśmy mocą odkupieńczej krwi szli w okresie Wielkiego Postu i jednoczyli każdego człowieka z Ojcem, przez Syna i w Duchu Świętym.

Podobnie jak kiedyś Chrystus mamy stawać w centrum zła we współczesnym świecie i mocą obficie głoszonego Słowa Bożego budzić wiarę. Obudzona, a także ożywiona, wiara ma prowadzić do sakramentu przebaczenia, czyli wewnętrznego nawrócenia, a pełne zjednoczenie z Bogiem nastąpi w Eucharystii, czyli we wspólnocie Kościoła. W tym wielkim wysiłku odnowy, naprawy, wyzwolenia i odkupienia nie wolno nikogo pomijać. Świadomi, że Chrystus przyszedł zbawić każdego człowieka, mamy obowiązek troski dotarcia z misją zbawczą wszędzie tam, gdzie się tylko da. Owocność naszych zabiegów duszpasterskich na pewno w pierwszym rzędzie jest zależna od łaski Bożej, ale też i od naszej kapłańskiej modlitwy,

podejmowanych aktów umartwienia w intencji szczerzej odnowy i odrodzenia wewnętrznego w parafii.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że tam, gdzie jest mowa o odnowie czy odrodzeniu, musi się dokonywać jakiś wewnętrzny i głęboki proces, który sprawia tę odnowę, a z pozycji wiary nazywamy go tajemnicą, nawróceniem. Nawrócenie jest ideą ściśle złączoną z Misterium Zbawienia, jest jego nieodłącznym elementem i dotyczy każdego człowieka, a więc i nas. Albowiem każdy z nas potrzebuje nawrócenia, gdyż każdy z nas jest grzesznikiem. Stąd więc nawracanie się ku Panu jest powszednim chlebem chrześcijanina.

Pismo św. ujmuje nawrócenie w sposób bardzo osobowy. Biblijna „metanoia” to nie tylko zaprzestanie jakiegoś grzechu, to nie tylko jednostkowy akt, wyizolowany uczynek jednorazowy, ale to permanentna postawa, obejmująca całego człowieka i całe jego życie, a polegająca na wyjściu ze stanu nieprzyjaźni z Bogiem w stan nadprzyrodzonej przyjaźni, w stan miłości obejmującej całego człowieka i całe jego życie. „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham” (J 21,16). Gdy chodzi o proces nawrócenia, to pierwszym krokiem jest uznanie w sobie grzechu, przyznanie się do niego w obliczu Boga: „Uznaję bowiem moją nieprawość” (Ps 51,5), jak wołał król Dawid. Temu pokornemu przyznaniu się do grzechu winno towarzyszyć głębokie przekonanie z jednej strony o wielkości grzechu i obrazy Boga, a z drugiej strony o wielkości miłosierdzia Bożego, pragnącego w każdej chwili i nieustannie odrodzić grzesznika wewnątrz i znowu przyjąć jako dziecko Boże. Brak poczucia grzechu, które św. Augustyn nazywa „ucieczką przed nawróceniem”, lub poczucie grzechu bez

nadziei Bożego miłosierdzia zamykają właściwie drogę do pojednania z Miłością.

Uznanie w sobie grzechu, pokorne przyznanie się do nieprawości, rodzi chęć odwrócenia się od grzechu i pragnienie zmiany osobowej postawy – z postawy nieprzyjaźni na postawę miłości wobec Miłości Przedwiecznej. Taką postawę ukazuje syn marnotrawny, kiedy mówi: „Zabiorę się i pójdę do mego ojca i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem” (Łk 15,18). Święty Paweł: „Odrzućmy więc uczynki ciemności” (Rz 13,12).

Piękny pod tym względem obraz spotykamy w filmie „Źródło” Bergmana, gdzie pokazany jest ojciec, który po zhańbieniu córki (pasterze zabijają mu jedyne dziecko), mści się na nich, nie oszczędzając nawet małego i niewinnego chłopca. Jak widać, grzech zemsty jest wielki, ale i postawa nawrócenia jest niezwykła i przejmująca: nad ciałem swojego dziecka ojciec wypowiada słowa przepojone bólem i żalem: „Boże, zgrzeszyłem. Niewiele rozumiem – dlaczego... Ale przecież ja nie mogę żyć bez Ciebie... Przebacz...”. Na tym tle rysuje Bergman chęć uczynków pokutnych: ojciec ślubuje Bogu wybudować kościół.

Nawrócenie jest osobowym doświadczeniem, jakim nieszczęściem jest grzech, który zawsze nosi w sobie piętno złudnego niby-szczęścia. To, co dzieje się w głębi ludzkiego ducha w nawróceniu, ma charakter wybitnie wewnętrzny, tajemniczy i często niezrozumiały, bowiem pojednanie z Bogiem jest jednym z największych misteriów nadprzyrodzonych, jakie dokonują się w duszy grzesznego człowieka.

Liturgia wielkopostna, poprzez głęboką treść czytań ze Mszy św., modlitwę brewiarzową, Gorzkie żale, Drogę krzyżową, wprowadza nas w głębię

rozważań o Bożej miłości, która w tym okresie szczególnie nachyla się do każdego człowieka, aby okazać mu swoją dobroć i ujawnić wolę pojednania ze sobą, z Bogiem.

Równocześnie człowiek, świadomy swojej grzeszności, musi ciągle podejmować w sposób zdecydowany trud związany z własnym nawróceniem, a nasza kapłańska pomoc będzie polegać na tym, aby mu ułatwić zrozumienie poczucia grzechu i winy, jeżeli ktoś to poczucie zatracił i chce tylko niepokój swojego sumienia rozwiązać na płaszczyźnie zasad psychologicznych. Głoszone niedzielne homilie, kazania pasyjne i nauki rekolekcyjne muszą ciągle uwzględniać potrzebę uwrażliwienia sumień na grzech, który głęboko wrasta w duszę człowieka, a coraz częściej zatracą się jego religijne znaczenie w odniesieniu do Boga.

Nasz kontakt osobowy z człowiekiem w sakramencie pojednania jest sytuacją nie tylko szczególnego zmagania się Pana Boga z szatanem, ale jest też szczególną okazją do uwrażliwiania człowieka na te braki, które wykazuje w pełnym rozumieniu idei posłannictwa Jezusa Chrystusa. Stąd w tej trudnej, ale tak bardzo odpowiedzialnej pracy, musi nas cechować wielka wiara, miłość do człowieka, głęboki spokój i opanowanie, aby nasze pośrednictwo w aplikacji owoców męki Zbawiciela nie pomniejszało roli, jaką w tym względzie mamy odgrywać.

Jako duszpasterze nie możemy też zapominać, że człowiek grzeszący i nawracający się powinien podejmować uczynki pokutne, dlatego z racji spowiedzi świętej nie tylko powinniśmy zadawać bardzo potrzebne i pożyteczne skądinąd pacierze, ale wiemy z tradycji Apostołów i świętych pisarzy, że w Wielkim Poście wzywano wiernych

do szczególniejszej modlitwy, postu, umartwień ciała, a zwłaszcza do czynów miłości, jałmużny, przebaczenia oraz pojednania. Nie możemy nie zwrócić uwagi na wstrzemięźliwość od alkoholu, nadmiernego używania kawy, papierosów, powściągliwość w dziedzinie zmysłowości, wierność w małżeństwie. Przestrzegać należy w niektórych przypadkach przed nadmiernym gromadzeniem dóbr materialnych, zbieraniem pieniędzy, które krępują człowieka i zamykają go na potrzeby tych, którzy żyją bardzo skromnie.

Wszystkie te zachęty mają przyczynić się do odwrócenia od zła i zwrócenia się całym sercem ku Bogu w Chrystusie, aby poprzez nasze osobiste zerwanie z grzechem i uświęcenie dać pełną możliwość pomnożenia dóbr nadprzyrodzonych we wspólnocie Kościoła świętego.

W Konstytucji dogmatycznej o Kościele czytamy: „Kościół, obejmujący w swoim łonie grzeszników, jest święty i zarazem ciągle potrzebujący oczyszczenia, ustawicznie podejmuje pokutę i odnowę. Będąc z istoty swojej święty poprzez obecność w Nim Chrystusa i Ducha Świętego, posiada zarazem w swoim łonie grzeszników, którzy poprzez życie wiary, nadziei i miłości mają dążyć do ideału pełnej świętości, korzystając ze środków uwolnienia się od grzechów”.

Owocem wielkopostnych zmaganiań Kościoła ze złem jest „radość paschalna” w sercach wszystkich wierzących. Ta zwycięska radość Kościoła jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech nie tylko Wielkanocy czy okresu paschalnego, ale także całego życia wierzących w Chrystusa.

*Homilia wygłoszona
na Rejonowych Dniach Duszpasterskich
13-16 lutego 1978.*

POST, POKUTA, UMARTWIENIE

Post, pokuta, umartwienie. Twarde, czasem aż dreszcze wywołujące słowa. A jednak treścią tych słów przepojone było całe życie ziemskie Chrystusa. On uczył słowem i przykładem o potrzebie pokuty, postu, umartwienia. I wierni Mu chrześcijanie nie dyskutowali, czy On ma rację, czy istnieje sens odmawiania sobie jakiegóś wygody, czegoś przyjemnego, czego pożąda ciało, wzrok, miłość własna...

Ale w naszych czasach wielu ochrzczonych dyskutuje, kwestionuje słuszność tej nauki i wymagań. Szczególnie wśród młodzieży słowa: „pokuta”, „ofiara”, „umartwienie”, „asceza” znalazły się na indeksie. Zdeprecjonowano je i zaszczuto: „średniowiecze”, „zacofanie”, „przesady”, „hamowanie życia”, itp.

Natomiast za przewodnie hasło „postępowej” młodzieży przyjęto slogany: „Ułatwiał życie!”, „Nie odmawiaj sobie przyjemności!”, „Korzystaj z każdej okazji!”. Rzecznicy tych haseł obiecują „wolność”, zadowolenie z życia i niemal niczym niezmacone szczęście. Jeśliby na przykład w dziedzinie erotycznej wynikły jakieś niespodzianki, ofiarowywano młodzieży penicylinę i inne plastry na głębokie rany.

I cóż wynikło z przyjmowania tych postępowych zasad i haseł? Całe szeregi zapłakanych i zrozpaczonych nowoczesnych Ofelii, Halek, Małgoś i Kaś. Strumienie niewymownych cierpień, skomplikowanych trudności, dramatów i krwi.

Oto już nierzadki obrazek z życia sfotografowany przez dziennikarza jednego z polskich czasopism: „Któregoś sobotniego wieczoru znalazłem się na zupełnie pustym Nowym Świecie. Przede mną szła młoda dziewczyna, która jakby miała pewne trudności z chodzeniem. Zbliżyłem się. Osiemnaście lat, cicha, głębokie spojrzenie. Daleka znajoma z kawiarni. Po pięciu minutach wiedziałem wszystko. Dwa dni temu miała skrobankę. Przedtem przeżyła potworne sceny z przyjacielem (...)”.

Oto styl życia, do którego należy i Krystyna. Należy przypuszczać, iż rozdawała siebie na lewo i na prawo. Zresztą dlaczego nie? Stare tablice wartości tarzają się w błocie, a nowych jeszcze nie ma. Te kurki nie wiedzą, co czynią, nie wiedzą, dlaczego mają się oszczędzać, nikt im tego nie mówi. Nie mają nawet pojęcia, co robią, nie widzą, że to krew, że wszystko, co robią, ma wagę życia i śmierci. Łatwość kobiet zmieniła świat w pustynię. W każdej chwili człowiek może spodziewać się, że będzie musiał zacząć od zera. Łatwość miała uszczęśliwić wszystkich, a oto wlecze za sobą bezdenną rozpacz. Właśnie łatwość, jak nic innego, pokazała nam, że jedynie prawdziwe ułatwienie życia stanowią ograniczenia.

Cóż to są te ograniczenia? W zasadzie są to te stare „umartwienia” i wyrzeczenia, które w istocie nie uśmiercają ani nawet nie zubażają życia, lecz je regulują i potęgują: ujmują ludzkie energie witalne w kanały i zapory, których zbiorniki potrafią uruchomić wielkie turbiny. One bronią przed niszczącymi powodziami i marnowaniem sił w bagnistych rozlewiskach. I te zasady nie dotyczą tylko dziedziny erotyczno-seksualnej, lecz wszystkich obszarów życia i działania człowieka.

Jakże ciężką odpowiedzialność zaciągająownicy nowej moralności „ułatwionego” życia! Te nowoczesne recepty na szczęście zatrwały tysiące pięknych serc młodzieży, tysiące młodych istnień zepchnęły w bezdenną otchłań rozpaczy.

Ale nie bez winy są także ofiary: mają przecież rozum, sumienie i wolną wolę. Przecież chwila głębszej refleksji i wysilek woli wystarczyłyby często do odrzucenia zgubnej pokusy, sugestii, propozycji. Dlaczego nie liczy się przy wyborze i decyzji zdanie Chrystusa i Kościoła? Lękasz się tej „twardej mowy”? Boisz się, że nie dasz rady? A czy nie słyszałeś, że On służył ci w każdej chwili pomocą? „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” (Flp 4,13).

Rudnicki uczciwym wzrokiem dostrzegł negatywy fałszywej filozofii życia i wskazał pierwszy stopień, na którym można się tymczasowo zachować przed wirami powodzi, ale chrześcijanie muszą iść dalej i wyżej, do Chrystusa i Boga, do prawdziwego szczęścia – zbawienia – przez ograniczenia, wyrzeczenia, ofiary. „Zbawienie przyszło przez krzyż”. I przychodzi przez krzyż.

ZMARTWYCHWSTANIE

CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ

Stoimy dzisiaj w oślepiającym blasku jedyne­go w dziejach ludzkości faktu wstania z martwych i triumfu nad nieubłaganą potęgą śmierci – zmartwychwstania Zbawiciela naszej świętej religii.

Wielki Piątek był najpierw w oczach ludzi straszny, zanim stał się „Wielki”. Gdy Chrystus z krwawiącymi ranami, w blasku zachodzącego słońca konał na kalwaryjskiej szubienicy, zdawało się, że wszystko z Nim kona, że zachodzi słońce wszelkiej wiary, nadziei i miłości. Serca Jego wyznawców pokryły się kirem zawodu i goryczy.

I pozostałby Piątek strasznym dniem klęski, gdyby nie cudowny poranek Wielkiej Niedzieli – zaiste Wielkiej.

Już wtedy, gdy składano martwe ciało Pana Jezusa do grobu, w tej pogrzebowej ciszy wszyscy odczuwali jakąś tajemniczą i w nowe wydarzenia brzemienną potęgę. Wrogowie Chrystusa czuli, że ich cios nie trafił w serce zwalczanego, że padł mimo. Czuli, że kamień i straż będą tylko pozorami zwycięstwa, tak jak i ten stojący jeszcze, ob­lany luną zachodu krzyż. Czuli, że nauka i dzieła tego Skazańca nie mają umrzeć, choćby je kilka razy przybijano do krzyża.

I to, co czuli niejasno Jego wrogowie, a co On dawno już przepowiedział swoim słabym ucz­niom, stało się faktem o świcie Wielkiej Niedzieli.

Zadrżała ziemia. „Na nic straż, pieczęć i skała na grobie Pana się zdała” – runęła kamienna płyta grobowa, strażnicy padli nieprzytomnie, a na krawędzi łoża śmierci stanął w niewysłowionej glorii On, Zwycięzca – żywy, potężny, władczy.

Oto nasz Wódz, Nauczyciel, Arcykapłan... Oto nasza Droga, Prawda i Życie. Oto przed Nim zginamy kolana. Oto komu ufamy i kogo kochamy.

Najwięksi wodzowie, nauczyciele tego świata w proch się rozpadają – tracą władzę i serca, ściągają na siebie często aż poza grób tajoną nienawiść i złorzeczenia.

A Chrystus żyje, Chrystus króluje, Chrystus na wieki rozkazuje prawem miłosierdzia i miłości! Chrystus, po przejściu przez mroczny grób śmierci, po dwudziestu wiekach rozpala ogniem miłości miliony serc!

ZMARTWYCHWSTANIE

Gdy czytamy relacje Ewangelistów przedstawiających fakt Zmartwychwstania Pańskiego, przeżywamy pewne zakłopotanie i trudności z ustaleniem porządku tego wydarzenia: Kto pierwszy? O jakiej porze? Jak się zachowali świadkowie? Nie warto się tym martwić. To zrozumiałe: sensacyjna, elektryzująca wieść! A więc zadyszana bieganina i coraz to nowe wiadomości. Trudno je uporządkować. Ale to nieistotne.

Jedynie istotne, że Jezusa nie ma w grobie, że Jezus wstał z martwych! Szalona, nieopisana radość!

Ale po drugiej stronie paniczny lęk. Trzeba tej wieści przeciwdziałać! Faryzeusze nawet nie chcą sprawdzać – są zaślepieni i uprzedzeni do dna. Trzeba szukać jakiegoś sposobu zahamowania tej wieści. Jedyna rada: przekupić strażników – niech mówią, że „Jego uczniowie przybyli w nocy i wykradli Go” (Mt 28,13). Nielogiczne i nierozumne wyjście (o czym 1600 lat temu w homilii mówił św. Augustyn), ale zła wola i zaślepienie zawsze grzeszą przeciw rozumowi.

Dla nas, po relacjach tylu świadków i po tylu doświadczeniach osobistych, Chrystus prawdziwie zmartwychwstał. I to jest główny dowód Jego Bóstwa i fundament naszej wiary. „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara (1Kor 15,14) i przepowiadanie nasze. Gdyby

Chrystus nie zmartwychwstał, pozostawalibyśmy w więzach potęgi grzechu i śmierci. A Zmartwychwstały je zwycięża. I przez wiarę, i miłość – w Niego wszczępieni – jesteśmy wolni i żywi na wieki. I wszystko, co w Jezusa wszczępione, nie umrze na wieki.

Cieszymy się więc i radujmy przez cały dzień, przez drugi dzień, przez 52 niedziele, które nam ten fakt uobecniają, i przez wszystkie dni roku kościelnego, w którym raz po raz rozlega się ten radosny dźwięk „Alleluja”.

A jeżeli Twoja radość ogranicza się tylko do święconego jajka, do szynki i „dyngusa” – czy dla ciebie naprawdę Chrystus zmartwychwstał? Jeżeli ta radość nie rozprasza twoich smutków doczesnych i nie rozplómienia twojej wielkiej nadziei – czy dla ciebie naprawdę Chrystus zmartwychwstał?

ZESŁANIE DUCHA ŚWIĘTEGO

ON WAS WSZYSTKIEGO NAUCZY

Dzisiaj przeżywamy nie tylko uobecnienie tamtego szczytowego wydarzenia w dziejach naszego zbawienia, tamtego poszumu wichru i tamtych płomiennych języków.

W uroczystość Zesłania Ducha Świętego powinniśmy uświadomić sobie, że przez to zesłanie odsłania się nam w pewnej mierze w postaci rąbka wielka, zasadnicza Prawda, wielka tajemnica bytu i działania Boga. Tylko winniśmy uświadomić sobie, że Bóg jest jedyny w naturze, ale jest troisty w Osobach.

Teologowie katoliccy nie bez podstaw podkreślają absolutną jedność Pana Boga. Równocześnie jednak przypisują każdej z Osób szczególne działanie, szczególne nachylenie nad światem. Bogu Ojcu przypisuje się dzieło stworzenia świata. Bogu Synowi przypisuje się dzieło zbawienia i odkupienia człowieka – to co Jezus uczynił, to dzieło drugiej Osoby Trójcy Przenajświętszej.

Ale dzisiaj zapowiedziana przez Jezusa prawda ujawnia się z całą wyrazistością: trzecia Osoba – Duch Święty, który dokonuje dzieła uświęcenia człowieka, a przez niego świata. Skłonni jesteśmy za Apostołami i tą rzeszą, która znalazła się przed nimi w ten poranek zesłania, widzieć w działaniu Ducha Świętego przede wszystkim dar języków.

To wywołało u Apostołów i rzesz zdumienie, podziw i sensację, że mogą mówić obcymi językami. Nie zauważyli tamci, poniekąd uczestnicy, a może po części widzowie, co zaszło we wnętrzu tych ludzi, których nazywano i dziś nazywamy Apostoła-
mi, że tam zaszło coś bardzo istotnego, że wnętrza i serca ich uległy istotnej przemianie.

Owszem, skłonni jesteśmy, idąc za tamtymi, wymieniać dzisiaj katalog siedmiu darów Ducha Świętego. Niektórzy z nas z pewnością na pamięć nawet potrafią, jak za panią matką czy za katechetą, wymienić te dary.

Ale winniśmy dzisiaj uświadomić sobie, że było ich znacznie więcej niż ten stary katalog, że po prostu to był strumień, rzeka, powódź niewyobrażalnych, nieopisanych darów, które ogarnęły serca ludzkie jeżeli one spełniły pewne podstawowe warunki. A przede wszystkim, że właśnie nastąpiła wewnętrzna, gruntowna, niemalże ontologiczna przemiana tych ludzi.

Do niedawna Apostołowie nie miało już wiedzieli od Jezusa o Bogu, o człowieku, o kresie człowieka i świata. Nie miało słyszeli zasad, wezwań Jezusa. I przyjmowali te prawdy, te zasady i wezwania, ale jakże byli chwiejni, jakże byli słabi. Słyszeli o tym, ale w praktyce daleko im jeszcze było do urzeczywistnienia tego największego przykazania Jezusa.

Dopiero teraz, po tym gwałtownym bierzmowaniu, po tej burzy, po tym pożarze w dniu Zielonych Świątek, wychodzą stamtąd jako inni ludzie, jako ci, którzy rozumieją to, czego Jezus uczył: „On was wszystkiego nauczył” (J 14,26).

I właśnie teraz nauczył, teraz już wyszli z tego paraliżującego lęku. Teraz męstwo ogarnie ich dotychczas słabe serca. Przedtem miłość ich

– jak mówiliśmy – była chwiejna, a teraz gotowi są wszystko poświęcić, jako że „nie ma większej miłości nad tę, jeżeli ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13). Apostołowie są gotowi już to czynić i zaczynają iść na spotkanie tej ofiary, tego poświęcenia. Wewnętrzna przemiana. Co prawda nie byli to ludzie w pełni przeobstwień, byli to jeszcze ludzie kondycji ziemskiej, mieli na sobie i w sobie jeszcze wady, te różne odpryski, słabości, może niezupełnie zabliznione rany. Ale fundamentalnie byli już inni. Tam nie było już pęknięć, które groziłyby dezintegracją, rozbięciem tej bierzmowanej osobowości Apostoła, tych wszystkich, którzy wykapali się w ogniu zesłania Ducha Świętego.

Jeżeli słuchaliście względnie uważnie sekwencji, czyli tego pięknego utworu czytanego przed Ewangelią, to zauważyliście ile autor-poeta wymienia tych elementów przemiany, ile nazw otrzymuje Duch Święty.

Mówi o tym, że On jest światłem, strumieniem światła. Czytamy o tym, że jest ojcem ubogich; że jest dawcą łask drogich; że jest światłością sumień; że jest najmilszym z gości; że jest samą radością; że jest słodkim orzeźwieniem; że jest ochłodą w pracy; że w skwarze jest żywą wodą; że jest światłością najświętszą; że jest źródłem potęgi słabego człowieka; że jest Tym, który wrywa ciernie i łagodzi nędzę człowieka. Że jest tą wodą, która obmywa, co nieświęte; że oschłym wlewa zachętę; że leczy serca rany; że nagina to, co harde; że rozgrzewa to, co twarde; że szuka i przywozdi, co zbłąkane; że daje wierzącym siedmiorakie dary (liczniesze niż siedmiorakie). Daje zasługę męstwa i w końcu wieniec zwycięstwa i zaprowadzi nas do szczęścia bez miary!

Wszystko powiedziane o Duchu Świętym? Nie wszystko – to są dary niewymierne, jak niewymierny jest ich Dawca.

Teraz zwracamy oczy ku sobie. Myślimy: A co z nami? Tyle darów, tyle łask, taka powódź! A my? Często nadal, mimo bierzmowania, mimo przeżywania tyle razy tych Zielonych Świąt, jesteśmy słabi, lękliwi, często ciemni, a przynajmniej niedouczeni w zakresie prawd naszej wiary. Nadal cierpimy posuchę wewnętrzną, często czolgamy się po ziemi jak płazy. Nadal przeżywamy ogromny deficyt miłości, jesteśmy zimni, czasami aż przerażająco zimni wobec naszych najbliższych. I wobec Pana Boga jesteśmy dość obojętni, przerażająco zimni. Spychamy Jego sprawy i religię do spraw trzeciorzędnych albo i nawet czwartorzędnych...

Co z nami jest? Czyżby niebo zostało zamknięte, czyżby Duch Święty przestał działać w Kościele i w nas?...

Działa! Nadal działa! Spływają te strumienie nie tylko w dzień Zielonych Świątek, ale także codziennie, na każdej modlitwie, na każdym spotkaniu z Bogiem, na każdej Mszy św., przy każdym sakramencie świętym.

Jeżeli Jezus przekazał Apostołom i kapłanom: „Weźmijcie Ducha Świętego. Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane” (J 20,23) – to przecież w każdym sakramencie pokuty spotykamy się z działaniem Ducha Świętego.

Niebo nie jest zamknięte, tylko widocznie my jesteśmy zamknięci. Nie doceniamy tych wartości, a więc i nie prosimy o nie. Patrzymy – Apostołowie zamknęli się na dziesięciodniowe rekolekcje. Oczekiwali, prosili, jak najbardziej serio traktowali to, co im Jezus zalecił.

A my? Urządzamy choćby pięciominutowe rekolacje na modlitwie? Jesteśmy zamknięci, w ciągłym pośpiechu, aby prędzej, aby prędzej. Malutki podatek Panu Bogu i dalej, i dalej. Serca nasze są zamknięte i dlatego tak mało odczuwamy tego powiewu wichru, i tak mało odczuwamy ciepła i gorąca tych ognistych języków. Ojciec święty, Jan Paweł II, w ubiegłym roku w dniu Zielonych Świątek powiedział do studentów, że miarą człowieka jest jego niezgłębione serce, gdzie ogromnie dużo przestrzeni i dla człowieka, i dla Boga. Ale cóż, jak serce zamkniemy, wtedy te łaski Pana i te promienie spływają jak po skorupie, nie sięgają wnętrza...

Skontrolujmy siebie. Uderzmy się w piersi. Przepróśmy i otwórzmy się szeroko dzisiaj na przyjęcie Jego łask i darów na każdy dzień – na każdej modlitwie, przy każdym sakramencie, na każdej Mszy św. A może wtedy nie będziemy przeżywali tych sensacji mówienia obcymi językami. Dzisiaj to jest widocznie niepotrzebne, bo nasi bracia idący do kapłaństwa mają seminarium duchowne i mogą się języków obcych uczyć od profesorów. Nam to nie jest konieczne, my również możemy się uczyć tych języków w różnych okolicznościach. Ale konieczna jest dla nas miłość! Konieczne jest światło! Konieczna jest silna wiara! Konieczne jest męstwo! I o te dary dziś i codziennie modlić się będziemy.

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

KRÓLESTWO WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Przez niezmierną pustynię posuwa się wolno i leniwie karawana. Juczne zwierzęta i ludzie zmęczeni do ostatecznych granic. Piasek, wiatr, słońce, pragnienie i głód osaczają podróżników. Znużenie odebrało im chęć i wolę sięgania po odległy, niewidoczny cel. Aż tu nagle z opalowej toni nieba wyłania się powoli cudowne zjawisko. Zielone palmy, a między nimi jezioro, tam dalej łagodne piramidy wzgórz, a u ich stóp i wśród palm nad jeziorem – białe i szare domy, pałace, świątynie. Co za urzekający widok, co za rozkoszna przystań. Ona czeka na nas. Ona jest już niedaleko przed nami. Fata morgana. Ale to nie iluzja! To odbicie, odzwierciedlenie rzeczywistości! Wstępuje jakaś tajemnicza moc w serca i członki wędrowców, odczuwają to zwierzęta. Karawana żywo, pogodnie rusza do celu, do ukojenia pragnienia, głodu, do wypoczynku.

Jest w tym obrazie pewna analogia do ludzkiego życia na ziemi, do trudów pochodu przez ziemię, do ostatecznych przeznaczeń człowieka. Idziemy przez pustynię życia doczesnego smagani wichrami, zwątpieniami, otuleni mocą niewiedzy, głodni prawdy, spragnieni sprawiedliwości i miłości, wyścieńczeni walką z przeszkodami. Tracimy często z oczu cel, gubimy drogi, upadamy ze znużenia.

I oto dzięki staraniom naszej Matki – wodza przez życie – Kościoła, z głębi naszej wiary wyła-

nia się urzekające, cudowne miasto naszego celu, naszego przeznaczenia – Niebo. To kres cierpień, bólów, łez; to wolność od strachu; potężna wiekusta światłość, która oślepia i zachwyca człowieka ziemskiego; to spełnienie wszystkich naszych pragnień i umiłowań; to nasycenie rozkoszą; to czarowna wizja wszechświata w jego źródle; to zachwycająca muzyka, harmonia; to pełnia radości i obcowania z naszymi krewnymi i przyjaciółmi; to oglądanie samego Stwórcy, źródła wszelkiego dobra, piękna, prawdy „twarzą w twarz”; to wieczna, radosna młodość, „wieczny maj”.

I to jest tylko słaby zarys niektórych fragmentów tej oazy szczęścia wiecznego, bowiem nasz umysł, nasza wyobraźnia i serca nie są zdolne do oglądania i opisanie obrazu Nieba. Zdolni jesteśmy zaledwie uchwycić słabe promyki, słaby odbłask tego urzekającego miasta zbawienia i te nam sprawiają nieopisaną rozkosz. Odkrycie spośród milionów jednej prawdy sprowadza na nas zapomnienie w trójwymiarowym świecie. Jeden obraz natchnionego artysty, jeden natchniony wiersz poety, jedna urzekająca książka – wprowadzają nas w kraj rozkoszy. Uroczy zakątek tego świata, łuk zorzy polarnej, jedno drzewo okryte majowym kwieciem, jedna twarz opromieniona świętością, jeden utwór muzyczny – wprawiają nas w zachwyt; a to przecież tylko iskry, promienie przedzierające się przez gęstą oponę mgły.

A gdybyśmy się zetknęli z całym czarem zaświatów – co wtedy? Wtedy nasze organy nie wytrzymałyby napięcia rozkoszy, tak jak słaby przewodnik nie wytrzyma silnego prądu.

Gdy Zbawiciel na górze Tabor odsłonił przed Apostołami rąbek Bóstwa, padli na twarz i nie-

przytomni z zachwytu mówili: „Panie, dobrze, że tu jesteśmy” (Mk 9,5).

Gdy Najświętsza Dziewica odsłoniła rąbek swego blasku przed Bernadettą, nastąpiło zawieszenie działalności zmysłów.

A św. Paweł po zachwyceniu nie umiał swej wizji wyrazić ludzkimi słowami. Bo też „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1Kor 2,9), aby przez odkupienie otworzyć ludziom bramy owego czarownego, wiecznego królestwa – Nieba.

Czy to nie iluzja? Nie złudzenie? Nie! To rzeczywistość. Wpatrzmy się w głębię naszej wiary opartej na przepotężnym, niezachwianym autorytecie Boga-Człowieka, a odsłonią się nam zarysy fundamentów miasta naszego przeznaczenia, królestwa wszystkich świętych.

Cała nauka i działalność Jezusa zmierza ku temu. Chrystus naucza, że trudy podróży do celu, a nawet prześladowania, nie stoją w żadnej proporcji z zapłatą, nagrodą, jaka czeka ziemskich wędrowców w tym królestwie. „Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie” (Mt 5,12).

Do tych, którzy nie zrezygnowali z trudów podróży, którzy nie ulegli prostracji, którzy zmusili swe mdłe ciało do służby bliźnim w uciążliwym pochodzie, u kresu wędrówki przemówi Bóg, w tłumaczeniu na język ludzki, takimi słowami: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata” (Mt 25,34).

Ponieważ w drodze człowiek może ulegać płytkiej chciwości i obciążać swój bagaż małowartościowymi, lub zgola bez żadnej wartości,

kami, upomina Jezus dosadną przestrogą: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamuja się i kradną” (Mt 6,19).

I dalej ta ugruntowana, uzasadniona i obwarowana wiara nasza przez nasz Boski Kościół wskazuje nam na to, że całe rzesze w bohater-skiej walce ze słabościami i pokusami odniosły zwycięstwo i osiągnęły bramy niebieskie. Wielu z tych bohaterów ducha zostało wyniesionych na ołtarze: ubrano ich głowy w aureole i dano na wzór na przykład dla innych – to święci kanonizowani. Ale tak jak na frontach walk nie wszyscy bohaterzy są ujawnieni, nie wszyscy odznaczeni, tak i na frontach pochodu do królestwa niebieskiego nie wszystkich bohaterów ludzie dostrzegli i nie wszystkich kanonizowano. A oni, ci szarzy, nieznani żołnierze Chrystusowi uczynili wiele, bardzo wiele dla Boga i bliźnich i zasługują na wielką cześć i wdzięczność od nas, którzy często nieświadomie korzystamy z ich zasług.

Oto dziś ich dzień czci i chwały na ziemi – dzień Wszystkich Świętych.

Niech myśl nasza, nasze serca i wola pójda nad groby tych nieznanych żołnierzy w służbie dobra i prawdziwego pokoju i niech złożą tam wieńce swych uczuć, podziwu, czci i oddania.

Niech nawiążą braterską więź świętych obcowania – żywych z żywymi, wiernych z wiernymi, walczących ze zwycięzcami, ubogich i zwykłych z szafarzami skarbów światła i mocy.

Wszystkim nieznanym szermierzom Prawdy, wszystkim, którzy dla niej i dla sprawiedliwości ponieśli rany i śmierć, wszystkim, którzy gorącym swego serca ogrzewali sieroce serca współbraci, wszystkim, którzy wśród mroków krzesali iskry

nadziei i światła, wszystkim bohaterom ducha
– cześć i chwała na wieki.

Błogosławieni...

Samo rozpalanie uczuć to za mało. Dzisiaj, wpatrzeni w ten wspaniały obraz „Fatamorgana”, w ten zamglony obraz potężnej rzeczywistości, w nasze przeznaczenie, w ten bezmiar Bożej miłości, w ten ocean światła i szczęścia mobilizujący wszystkie siły, aby nie ustawać, nie wlec się, lecz za wodzą Chrystusa tropami i ścieżkami naszych bohaterów zmierzać pewnym i ochoczym krokiem ku braciom tej oazy szczęścia, tego królestwa wszystkich świętych.

SAKRAMENTY

NAJŚWIĘTSZY SAKRAMENT

EUCHARYSTIA

Jeżeli ta „twarda mowa” jest prawdziwa, jeżeli rzeczywiście w okruchu chleba zawiera się Wszechpotęga i Wszechmiłość, to nigdy dość rozważań, dziękczynień i modlitw wokół sakramentu Eucharystii. Toteż Kościół we wszystkich minionych wiekach, a w naszym czasie szczególnie pod kierownictwem Ojca świętego, Jana Pawła II, raz po raz wzywa lud Boży do pogłębiania wiary, czci i dziękczynienia za ten Boski dar, wezwanie i obietnicę.

Niezależnie od licznych zwrotów ku Eucharystii w całym przepowiadaniu, Jan Paweł II w wielkoczwartkowych listach do szafarzy tego sakramentu napomina i wzywa kapłanów do dalszych rozważań i pogłębiania czci tego wielkiego sakramentu i chętnie przybywa na manifestacje eucharystyczne w swojej ojczyźnie. Pochylimy się w refleksji, zegniemy kolana przed Boskim darem Jezusa i posłuchamy jego wezwania i obietnicy.

Dar nieoczekiwany, niewymowny i niepojęty! Wielu i rzeczy, i darów oczekiwali ludzie od Boga, ale takiego, którym byłby On sam, nikt w najśmielszych marzeniach nie dopuszczał. Toteż nic dziwnego, że na słowa „Ja jestem chlebem żywym” (J 6,51) Żydzi zareagowali pomrukiem sceptycyzmu i negacji: „Twarda jest mowa” (J 6,60). Nie chcieli powiedzieć „szaleńcza”, ale tak z pewnoś-

cią myśleli. Bo i rzeczywiście, jak tu bez szczególnego światła wiary taką mowę przyjąć? Jak mógł Bóg Przedwieczny, Wszechmogący i Nieskończony zniżyć się do ludzi w postaci człowieka? A jeszcze bardziej – jak pod postacią okruszyny chleba? To wszystko staje się nieprzeniknioną tajemnicą. Dopiero miłość nieco rozjaśnia te ciemności. Ale i taka miłość do małego, grzesznego buntownika jest również tajemnicą, prawie równą tamtej. I wtedy można powiedzieć, że tajemnica wyjaśni tajemnicę. Tajemnica Miłości wyjaśni Tajemnicę-Dar. Dąży ona bowiem do całkowitego oddania się osobie miłowanej. Pragnie oddać nie tylko w deklaracji, lecz w samym fakcie swoją wolę, umysł, uczucia, całego siebie. Pragnie zniżyć się, rozplynać, zatracić się w miłości, umiłować do końca (J 13,1) – do całkowitego oddania siebie... Coś z tego znamy z wyznań i zachowań mistyków chrześcijańskich, włączając do nich tak bliską nam czasowo Edytę Stein.

Oto jest nigdy do dna niepojęty Dar Eucharystii. Wiele na ten temat powiedziano od Ostatniej Wieczerzy, wiele traktatów i rozpraw napisano. W ostatnich czasach pisze się na nowo, urządza się sympozja i sesje teologiczne, ale zawsze stoimy i stać będziemy aż po nieskończoność u progu tej wielkiej tajemnicy egzystencjalnej. Zawsze będą bogatsze dla ducha ludzkiego ciche i przepastne głębie osobistej kontemplacji Boskiego daru Jezusa.

Natomiast łatwiej usłyszeć i pojąć wezwanie Eucharystii... Ten „chleb żywy” nieustannie woła i wzywa. Do czego? Do odpowiedzi na Dar Miłości – do przemiany, do przebóstwienia – do świętości. Jak to spełnić?

Któryś z materialistycznych filozofów miał powiedzieć: „Der Mensch ist, was er isst” – „Człowiek

staje się tym, co je”. Coś z prawdy w tym jest. To też Boski Inżynier-Konstruktor natury wiedział o tym wcześniej niż nasi filozofowie, że dusza, która ma żyć, musi się odżywiać, jeść. I im lepsze, pożywniejsze substancje spożywa, tym jej życie staje się bogatsze, pełniejsze. Jezus „skorzystał” z tego prawa i zostawił swemu ludowi dwa stoły zastawione potrawami, o jakich nie marzył żaden bogacz, żaden król, żaden dobroczyńca ubogich. Zostawił stół Słowa Bożego z wybornymi, nieznanymi światu potrawami i drugi stół – stół Eucharystii. Przy nim odbywa się komunika-konsumpcja daru Chleba Żywego, którym jest On sam, który zstąpił z nieba. I ta Boska potrawa, asymilowana przez nasz organizm, ma przemieniać nas, przebóstwiać.

Przy czym Jezus nie stawia wygórowanych warunków do prawa konsumpcji przy tym stole. Wystarczy „szata godowa”: stan łaski, wiara i fundamentalna miłość. Mówi wprost: „Bierzcie i jedzcie” (Mt 26,26).

I zdawałoby się, że to takie proste. A tymczasem nie wolno nam sądzić, że ta asymilacja Boskiego Chleba może się odbywać poza granicami naszej świadomości i woli, „ex opere operato”, niemalże automatycznie. Otóż na płaszczyźnie stosunków międzyosobowych nic nie znaczą mechanizmy i automatyzmy. Tam się liczą: świadomość, wolna wola, wolne serce, pragnienia, intencje modlitwy i wysiłki. Tam musi mieć miejsce świadoma i skupiona modlitwa, której rdzeniem jest zawsze wola oddania się Bogu: „Bądź wola Twoja” – wola plastyczna, otwarta wola „do dyspozycji”.

Wtedy dopiero odbywa się ta błogosławiona asymilacja, przemiana, swego rodzaju przeistoczenie: „Już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chry-

stus” (Ga 2,20). Jeżeli zaś kapłan-chrześcijanin wypowiada, choćby dokładnie i artystycznie tylko dźwięki słów, jeżeli nie otwiera swojej woli i nie oddaje jej „do dyspozycji”, to nie może być właściwej asymilacji Ciała i Krwi Pańskiej, to komunikujący odchodzi od Stołu Pańskiego bez żadnej, czy prawie żadnej przemiany, a czasem nawet z grzesznym zakalcem, z bardziej stwardniałą skorupą swego sumienia.

Ojciec święty w ostatnim wielkoczwartkowym liście do kapłanów wskazuje na związek Ostatniej Wieczerzy z modlitwą Pana Jezusa w ogrójcu i na centrum tej modlitwy w słowach: „Ojcze, nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie” (Łk 22,42).

Dopiero przy takiej modlitwie i postawie postępuje proces jednoczenia się z Bogiem, sprawa przemiany i zbawienia.

I tutaj chyba należy szukać odpowiedzi na smutne pytanie: Dlaczego ludzie często przyjmujący komunię świętą nie wykazują dostatecznej przemiany? Dlaczego kapłani codziennie sprawujący Eucharystię w sposób widoczny nie dystansują na przykład pastorów ewangelickich, którzy nie tylko nie przyjmują, lecz odrzucają ten Dar Pana Jezusa? Dlaczego przez codzienną Mszę św. nie stają się świętymi? Na pewno wina nie leży po stronie Ofiarodawcy swego Ciała i Krwi.

Oto chyba dlatego, że nie ma prawidłowej i dostatecznej asymilacji Boskiego Pokarmu, że nasza wola nie staje na serio „do dyspozycji”, że nie jesteśmy obecni w słowach Liturgii, że nie podejmujemy wysiłków, aby połączyć Ostatnią Wieczerzę z Górą Oliwną i z Krzyżem na Golgocie.

Jeżeli w takim widzeniu jest coś z prawdy, a należy tutaj uszanować tajemnicę, to wtedy dar nas wzywa: w pierwszym rzędzie do błogosławionego

niepokoju, do mobilizacji wszystkich sił ludzkich, także ich rezerw i – w przymierzu z Panem Bogiem – do dezintegracji, do burzenia kostniejącej struktury moralnej i do tworzenia przemienionego „nowego człowieka”.

W tym ogólnym wezwaniu do przemiany, do przebudowy człowieka-kapłana mieszczą się też wezwania szczegółowe, między innymi ewidentne, mocne wezwanie do kenozy, do uniżenia, pokory, cichości i posłuszeństwa. Do osiągnięcia tych pozycji moralnych wzywa Chrystus przez swój Dar Eucharystii ewangelicznym, zjednoczonym słowem i równoległym czynem od momentu poczęcia w łonie ludzkiej Kobiety, poprzez niez mordowaną pracę ewangelizacji Palestyny, aż do uniżenia siebie na Ostatniej Wieczerzy i wyniszczenia na Kalwarii.

Drugi Sobór Watykański przypomina to wezwanie Pana w formule postawy otwartej i służebnej wobec Boga i ludzi, a posłusznej wobec Kościoła i jego zwierzchników, chociaż ostrożnie używa słów „uniżenie”, „pokora”, „posłuszeństwo”.

I jeszcze jedno wezwanie kieruje do nas Hostia Jezusowa – to wezwanie do ubóstwa. Obok uniżenia, pokory i ofiarnej miłości, wezwanie do ubóstwa nie może przesłonić żadna dialektyka teologiczna. Jest ono jednoznacznym słowem i permanentnym czynem Jezusa od ubogiej stajni narodzin aż do krzyża, śmierci na Golgocie.

I dziś, gdy cała ludzkość wspina się po stromych skałach często syzyfowych prac i wysiłków do wygody, dobrobytu i komfortu, wezwanie Boskiej Hostii dobrze słyhać na każdej Mszy świętej. A szczególnie kieruje się ono do nas, kapłanów, w których chce widzieć awangardę niewybiórczej, totalnej ewangelizacji świata.

I powodzenie przemiany siebie, świata, naszego narodu będzie zależne od naszego stosunku do tego wezwania. Nie powstrzymamy materializacji narodu i świata, jeżeli będziemy na co dzień w rzędzie tych, którzy marzą i swoją nadzieję pokładają w dobrobycie, wygodzie i komforcie. A to są oczywiste nowoczesne idole.

Po ludzku mówiąc Sobór Watykański II nie przeoczył i tego wezwania Eucharystii i wprowadził w ogólnych słowach, lecz przecież jasno wysunął zalecenie praktykowania dobrowolnego ubóstwa, przez które kapłani upodobnią się do Chrystusa i staną się chętniejsi do świętej służby.

EUCHARYSTIA JAKO ŹRÓDŁO UŚWIĘCENIA OSOBY I WSPÓLNOTY KAPŁAŃSKIEJ

Hasło „świętość” po Soborze Watykańskim II stało się bardzo popularne, zwłaszcza w aspekcie świętości chrześcijańskiego laikatu. Odnowiono to hasło również i na płaszczyźnie życia i posługi kapłańskiej. Podkreślam „odnowiono”, bo nie jest prawdą, że przed Soborem to hasło i wezwanie było zapomniane. Nie wchodząc nawet w głąb historii, w przedwojennych seminariach duchownych to wezwanie rozbrzmiewało, przynajmniej w kaplicach, dość donośnym głosem. I wszyscy kapłani, mający oczy i uszy otwarte, mogli to wezwanie słyszeć, a nie tylko czytać o nim w książkach ascetycznych.

Natomiast w pewnym wymiarze i dawniej, a w większym wymiarze w naszych czasach, nie bardzo jasno ukazuje się treść słowa „świętość”, „święcenie”. Rozprawy teologiczne wprowadzają dość często w gęstwinę analiz i neologizmów teologicznych wchodząc na teren łatwiejszy: na płaszczyznę wezwań, powinności. Po prostu zaciemniają i komplikują pojęcie świętości i uświęcenia, tak prosto i jasno wyrażone w Ewangelii albo u klasyków literatury ascetycznej, jak św. Jan od Krzyża czy Teresa z Ávili. Dokumenty soborowe nie zajmują się wprawdzie usystematyzowaną analizą tych pojęć i postaw – zakładają ich znajomość i idą drogą ukazywania powinności i obowiązków dla chrześcijan i kapłanów. Ale

można tam znaleźć także sformułowania ukazujące, czym jest świętość i uświęcenie.

Świętość to miłość. Pismo św. jasno i jednoznacznie ukazuje nam miłość jako najwyższą wartość moralną, w której wypełnia się cały zakon i prorocy (Mt 22,35), i jest to znamię wyznawców Chrystusa: „Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali” (J 13,35).

Miłość stanowi istotną treść i klimat Ewangelii. Choćbyśmy nie znaleźli uściślonych sformułowań w księgach Nowego Testamentu, świętość jest na pewno tylko drugą stroną medalu pojęcia miłości. A więc po prostu świętość to miłość. Tę prawdę jednoznacznie ukazywali klasycy chrześcijańskiej ascezy i znajdujemy ją także ukazaną w dokumentach Soboru Watykańskiego II.

Ksiądz Słomka w książce „Świętość na świeckiej drodze życia”, komentując „Lumen gentium”, tak pisze: „Świętość nie polega na zaangażowaniu religijnym, nie polega na pełnieniu takiej czy innej funkcji religijnej we wspólnocie ludu Bożego, nie polega nawet na życiu według rad ewangelicznych w zakonach czy instytutach świeckich. Świętość polega na miłości, która jest darem Ducha Świętego, mocą, której miłujemy Boga ponad wszystko, a innych tak jak zostaliśmy umiłowani przez Ojca Niebieskiego i Jego Syna Chrystusa”.

Żeby jednak przybliżyć się do pojęcia świętości, trzeba zbliżyć się do pojęcia miłości, bo to słowo nawet u teologów i kaznodziejów bywa wieloznaczne.

Oczywiście, podobnie jak pojęcie świętości, pojęcie miłości pozostanie zawsze tajemnicą. Niemniej jednak można i trzeba do jej treści się zbliżyć. Uściślijmy także granice rozważania nad miłością

i powiedzmy, że mamy przed sobą przede wszystkim miłość nadprzyrodzoną i skierowaną ku Bogu. Otóż i tę miłość Jezus dostatecznie jasno przedstawił w swoim nauczaniu, a głównie w testamentalnym spotkaniu na Ostatniej Wieczerzy: „Kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten Mnie miłuje” (J 14,21). A więc miłość to nie jest tylko uczucie – to głównie postawa woli, uznanie przykazań, a przez przykazania i samego Autora, to podporządkowanie, posłuszeństwo woli Miłowanego. Uczucie z reguły będzie towarzyszyć tej postawie, ale w istocie może istnieć miłość bez uczucia...

Analogicznie sprawa przedstawia się z miłością do bliźniego. Komponenty autentycznej, fundamentalnej miłości do człowieka opisał poprawnie agnostyk Erich Fromm: widzenie wartości, szacunek, życzliwość, troska, odpowiedzialność, poświęcenie, dawanie z siebie i na szczyt – całego siebie. Ten sam uczyony cytuje słowa Pana Jezusa, który na Ostatniej Wieczerzy powiedział: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13).

Tak więc dostatecznie widać, że istotą autentycznej miłości jest podporządkowanie, oddanie swej woli Najwyższej Wartości i wartości po Bogu najwyższej – człowiekowi.

Tutaj trzeba mocno podkreślić jedną cechę miłości i świętości w człowieku: dynamiczność i gradację tych postaw. Nie ma tutaj statyki, tu wszystko faluje, pulsuje, wznosi się i obniża, czasem upada i znów się wznosi od postaw mniej doskonałych aż do doskonałych – „największych” – miłości i świętości. Na tym prawie mistrzowie życia wewnętrznego oparli teorię o trzech etapach drogi doskonałości: drodze oczyszczającej, drodze oświecającej i drodze zjednoczenia.

Z pewnością w stosunku do Pana Boga najmniejszą postacią miłości jest troska o stan łaski uświęcającej. Staram się być posłuszny Bogu, ale z oporami i raczej z lęku przed utratą łaski i zagrożeniem zbawienia.

Stan łaski uświęcającej jest formą miłości i świętości, ale jeszcze niedoskonałej. Chrześcijaństwo, opromienieni tą łaską, mogą już nazywać się „świętymi”. W ogóle „wyznawcy Chrystusa – jak czytamy w Konstytucji o Kościele – powołani przez Boga i usprawiedliwieni w Panu Jezusie, nie ze względu na swe uczynki lecz według postanowienia i łaski Bożej, w chrzcie wiary stali się prawdziwie synami Bożymi i uczestnikami natury Bożej, a przez to rzeczywiście świętymi”. I jak sobie przypominamy, w czasach apostołskich wszyscy chrześcijanie nazywali się świętymi.

Ale cóż, jak wynika, z toku naszego rozważania, z obserwacji i własnego doświadczenia, każdą miłość i każdą formę świętości możemy zubożyć i utracić, ale też w łasce Pana ją odzyskać, zachować i rozwijać od najniższego, przeciętnego poziomu aż do szczytów i heroizmu, aż do zjednoczenia i niemal utożsamienia się z Najświętszym, jak pisał św. Paweł: „Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2,20).

I oto do takiego poziomu świętości jesteśmy powołani wszyscy chrześcijanie – i duchowni i świeccy, gdyż tak pojęta miłość i świętość jest jedna.

W sposób szczególnie donośny wzywają do niej dokumenty soborowe. Toteż wszyscy w Kościele, niezależnie od tego, czy należą do hierarchii, czy przez nią są kierowani, powołani są do świętości zgodnie ze słowami Apostoła: „Albowiem wola Bożą jest wasze uświęcenie” (1Tes 4,3). Wszyscy więc chrześcijanie są zachęceni i zobowiązani

do osiągnięcia świętości i doskonałości własnego stanu.

Jeżeli „wszyscy”, to szczególnie to niemal dramatyczne wezwanie kieruje się do tych, których Jezus nazwał przyjaciółmi, o których mówił: „Wy jesteście solą ziemi i światłością świata” (Mt 5,13). Ale to jest olśniewająco jasne, że z tytułu swego powołania i z racji boskich prerogatyw i boskich funkcji kapłani Chrystusowi są zobowiązani do ciągłego postępu i wznoszenia się od przeciętności ku szczytom miłości i świętości.

Ten postęp może się realizować na różnych drogach i ścieżkach życia kapłańskiego, ukazywanych przez Ewangelię, mistrzów życia wewnętrznego, przez praktyki ascetyczne (modlitwa, lektury, nabożeństwa). Specjalną drogę uświęcenia kapłani znajdują w samym godnym i uległym dla ducha Chrystusowego sprawowaniu swoich kapłańskich funkcji.

W Dekrecie o posłudze i życiu kapłanów czytamy: „Prezbiterzy osiągną świętość w sposób im właściwy, wypełniając szczerze i niezmordowanie swe obowiązki w duchu Chrystusowym”. A więc swe codzienne obowiązki: nauczanie, udzielanie sakramentów, przyjmowanie interesantów, nawiedzanie chorych czy budowy i remonty świątyń.

Ale główne źródło uświęcania się i świętości znajduje się w największym i Najświętszym Sakramencie, w Eucharystii. Wprawdzie wszystkie sakramenty uświęcają, przywracając czy pomnażając łaskę uświęcającą, a przez nią wszczepiając w Boską naturę, ale ten sakrament nie tylko udziela nam łaski, lecz samego Chrystusa, umęczonego i zmartwychwstałego; nie tylko włącza nas w świat nadnatury, lecz jednoczy nas wprost z Osobą Boga-Człowieka.

Bóg jest wszędzie obecny na różne sposoby: w niebie, na ziemi i w każdym miejscu. Jest obecny w kosmosie i w kruszynie zwykłego chleba, jest w szczególny sposób obecny w sakramentach i w Piśmie św., ale w najpełniejszy i najbogatszy sposób – w Eucharystii. I oto jeszcze raz odpowiedź na pytanie, dlaczego Eucharystia stanowi główne źródło uświęcenia i przebóstwienia dla kapłanów i chrześcijan świeckich.

Wszystkie sakramenty święte stanowią kanały, przez które odbywają się swego rodzaju transfuzje boskiej krwi Chrystusa w żyły i serca zakażonej krwi człowieka, a więc tą drogą odbywa się systematycznie terapia, przemiana, uświęcenie.

Ale w Eucharystii, przez spożywanie „tego Chleba”, odbywa się wprost asymilacja Boga-człowieka, przemiana i zjednoczenie: chrześcijanin niejako przemienia się w Boga. „Der Mensch ist, was er isst”, człowiek się staje tym, co je, co asymiluje. Powtórzmy tutaj stwierdzenie, że ta powinność i ta przepastna niezastąpiona głębia Źródła są bezdyskusyjnie jasne.

Zakończmy ponownym cytatem z Konstytucji o Kościele: „Wyposażeni w tyle i tak potężnych środków zbawienia, wszyscy wierni chrześcijanie, jakiegokolwiek sytuacji życiowej oraz stanu, powołani są przez Pana, każdy na właściwej sobie drodze, do świętości doskonałej, jako i „sam Ojciec doskonały jest”.

Natomiast rodzi się egzystencjalne i niepokojące pytanie, dlaczego chrześcijanie w ogóle, także i ci, którzy co dzień „biorą i jedzą” Najświętsze Ciało Jezusa, na ogół nie przynoszą w oczekiwanej obfitości owoców tego Najświętszego Sakramentu. Dlaczego tak wolno albo, zdaje się, czasem wcale nie przemieniamy się w „drugiego Chrystusa”?

Ktoś powie, że głębia naszej osoby, nasze „esse” przemienia się i wtedy nasze czyny zewnętrzne, nasze „agere” nosi na sobie piętno starego człowieka, „człowieka grzechu”. Coś z prawdy w tym jest. Ale przecież „po owocach poznacie ich”...

Ale w godzinach szczerości uświadamiamy sobie i pytamy siebie: Dlaczego nasze myśli, poglądy, oceny, nasze głębinowe orientacje, nasze wewnętrzne odruchy, uczucia modlitwy i pobudki tak mało stają się Chrystusowe? Dlaczego w nas niemal bezkarnie działają siły starego, tak odległego od świętości ewangelicznej człowieka: miłość własna, egoizm, chciwość, kult wygody i komfortu? Dlaczego wydłuża się, zamiast się kurczyć, lista grzechów głównych? I dalsze niepokojące pytanie: Skąd takie deficyty autentycznej miłości?

Rzecz jasna, że to nie wina tej „wody żywej”, że to nie wina Tego, który się tak do człowieka zniżył, że pragnie nazywać go „Synem Bożym”. Jest to wina człowieka, wina nasza. Jest to wina generalna, powszechna w stosunku człowieka do Boga we wszystkich z Nim spotkaniach, na modlitwie, w sakramentach i w Eucharystii.

Jak tę winę określić? Człowiek zbliża się do Boga z zamkniętą świadomością, po prostu mechanicznie, ze swoją wolą. Zamiast zająć postawę pogodną ze słowami modlitwy: Bądź wola Twoja, zbliża się z postawą: Bądź wola moja. A ponieważ Pan Bóg nie włamuje się siłą do duszy człowieka, spotkanie staje się zewnętrzne, wyrażające brak zaufania do woli Bożej.

I wtedy niewiele się dzieje i niewiele może się stać, gdy Pana Boga zatrzymuje się przed bramą świadomości albo w przedsionku, przed drzwiami przestrzeni zajętej przez wolę moją. Tam wtedy

oczywiście brak tej dyspozycyjności („jestem do dyspozycji”), która umożliwia Bogu wszelkie działanie, a więc i uświęcenie – napełnianie miłością.

Z takimi postawami wobec głównego Źródła – zamkniętej świadomości (kontakt bezosobowy) i woli („bądź wola moja”) – może często zachodzić traktowanie Eucharystii jako rzeczy i wtedy przyjmuje się ją tylko do ust i żołądka, co powoduje frustrację osobowego zjednoczenia z Panem. Wtedy proporcjonalnie do wymiarów takich postaw zakłóca się albo się przekreśla proces asymilacji Chrystusa Eucharystycznego w naszym wnętrzu i asymilacji nas w Chrystusie.

Należy też w procesie poszukiwania przyczyn dysproporcji między darami Boskiego Źródła a jego efektywnością, przypomnieć podkreślany przez mistrzów życia wewnętrznego powód, który nazywa się brakiem współpracy człowieka z łaską. Wiadoma to dla nas prawda, którą Mickiewicz ujął w dwuwierszu: „Pan Bóg nic nie narzuca, ale wszystko otwiera i człowiek z Boga tyle, ile chce, zabiera”. Jeżeli chce, jeżeli pochyli się nad źródłem i zacznie tę wodę czerpać choćby garściami, napije się. Ale ta metafora musi być rozszerzona albo wręcz zamieniona na przypowieść o warunkach życia i owocowania różnych krzewów. Żeby winne krzewy żyły i przynosiły owoce, muszą być pielęgnowane, obcinane, podlewane, okopywane.

Jeżeli zaś ktoś nie doceni dobrodziejstwa darów Jezusa, może się znaleźć pod gromem Jego przestrogi: „Nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucajcie swych pereł przed świnie” (Mt 7,6). Jeżeli ktoś nie korzysta z, nie pomnaża darów, zostanie ich pozbawiony.

Wtedy w odpowiedzi na pytanie, jak wykorzystać Boskie Źródło Eucharystii, nie należy mó-

wić o pomnożeniu nabożeństw, adoracji, a raczej należy podejmować walkę z tymi brakami i iść w głąb tajemnicy miłości. Personalizować i interioryzować. Ograniczać formalizmy i gadulstwo (deklaracje), a otwierać wolę. Stawać do dyspozycji: nie moja wola, lecz Twoja wola.

Ojciec Święty w swoim liście z roku 1980 do biskupów i kapłanów o tajemnicy i kulcie Eucharystii podkreśla niejako pierwotny i egzystencjalny związek kapłaństwa z Eucharystią: i Eucharystia, i kapłaństwo narodziły się z serca Jezusa na Ostatniej Wieczerzy. Eucharystia jest główną i centralną racją bytu sakramentu kapłaństwa. Przez nasze święcenia jesteśmy w sposób szczególny i wyjątkowy z Nią związani. Jesteśmy niejako z Niej i dla Niej.

Dopowiedzmy, dla kapłanów Eucharystia musi być żywym Centrum, ku któremu powinni ciążyć jak ku żywemu magnesowi miłości. I tutaj, przed wszystkimi innymi formami spotkań i współpracy, powinni jednoczyć się i dla tej wspólnoty także uświęcać się.

Bo wspólnota sama w sobie nie jest osobą, lecz składa się z osób, które na siebie oddziałują. A więc im więcej będzie w poszczególnych osobach miłości i świętości, tym bogatsza będzie się stawać wspólnota i tym bardziej będzie stanowiła jeszcze jeden czynnik wzajemnej pomocy w uświęcaniu innych przez cześć i miłość do Eucharystii.

I na końcu warto rzucić okiem na duszpasterski aspekt tej problematyki. Wielu duszpasterzy, w swojej gorliwości, poszukuje dróg i sposobów ewangelizowania i uświęcania swych parafian. Wiele czasu i trudu poświęcają na katechizację i na duszpasterstwo „specjalistyczne” – i ulegają rozczarowaniom. Pytają z niepokojem, co mają

robić. Odpowiedź na to znajdujemy w Ewangelii i dokumentach soborowych, ale i na polu obserwacji wydarzeń i procesów religijnych. Mówią one: najskuteczniejszą metodą duszpasterstwa jest wyzwalanie w sobie miłości i oddziaływanie swoją świętością.

Mówią o tym pełnym głosem nie tylko święci kanonizowani, ale jeszcze liczniejsi niekanonizowani i na świecie, i w naszym kraju.

Autentyczna świętość to także zwycięstwo, które zwycięża świat i jego siły. Mały, prosty ksiądz, Jan Vianney, „zwyčajnym” duszpasterstwem przesyconym miłością do Eucharystii zwyciężał rozpustę, pijaństwo. Szkoda, że i u nas daje się priorytet nauce przed świętością.

Tekst opracowano na podstawie rękopisu.

KAPŁAŃSTWO

BUDOWNICZY MOSTÓW

Ten, który staje przed wami dzisiaj jako kapłan, miał być inżynierem elektrykiem. I skończył studia na Politechnice Wrocławskiej. I być może czekała go tam kariera, być może miałyby zadowolenie z tej pracy jako inżynier elektryk. Ale nie wchodzimy w jego tajemnice.

Być może jeszcze w szkole podstawowej usłyszał cichy głos jakiegoś zaproszenia, wezwania. Być może, że tego głosu nie potraktował na serio, może uważał go za jakieś złudzenie. Potem z pewnością ten głos usłyszał w szkole średniej jako licealista. Ale tam też było dużo hałasu, szumu, dużo projektów, rozważań, refleksji. I ostatecznie, być może i jeszcze wtedy, temu głosowi nie zawie-rzył. Bo to rzeczywiście mogło być jeszcze ponowne złudzenie. Trzeba poczekać. I oto wahał się, pytał, a potem znalazł się na wyższych studiach na Politechnice Wrocławskiej.

I znów słyszał ten głos, i znów go sprawdzał i pytał Chrystusa, czy rzeczywiście to Jego głos, głos Boga – czy własnej psychiki, własnego przeżycia czy chwilowego chcenia.

Jako student zetknął się z duszpasterstwem akademickim, właśnie w Centralnym Ośrodku, tam gdzie z łaski Boga sprawowałem i dotychczas sprawuję funkcję kapłana, sługi młodzieży akademickiej.

Tam poznaliśmy się bliżej i tam coraz częściej prowadziliśmy rozmowy, rozważania na tematy także orientacji i dróg życia, a od czasu do czasu o tym tajemniczym głosie powołania.

Podkreślaliśmy między innymi – co wciąż powtarzam i tym różnię się od innych duszpasterzy – że powołań nigdy nie braknie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jezus powołuje zawsze dostateczną ilość apostołów, tylko rzecz w tym, że nie wszyscy słuchają tego głosu i nie wszyscy są jemu posłuszni. Niektórzy wręcz zagłuszają go, a czasami nawet w tym zagłuszaniu pomagają koleżanki i koledzy, a nawet najbliżsi, nawet rodzice. Znamy przecież takie dramatyczne przypadki, że rodzice chcieliby wydrzeć oczy duszpasterzowi, który tylko się zgodził na pomoc przy realizacji tego powołania. Powołanych nie brakuje, tylko brakuje posłuszeństwa dla głosu Bożego.

Jurek był mocno włączony w miąższ naszego życia duszpasterskiego. Myślę, że gdyby nie dobra, ale też trochę surowa ciocia, wychodziłby ostatni z Ośrodka, może zechciałby czasem tam zano-cować, ale pamiętam jak mówił, że musi już iść, bo ciocia może się niepokoić. To godne pochwały. Miałem dzisiaj szczęście to cioci powiedzieć, że jej nie zawodził, że jeżeli powiedział, o której godzinie wróci, to wracał, tego wymagała kultura i miłość bliźniego.

I oto posłuchał tego głosu Bożego. Zostawił swoją karierę inżynierską, wstąpił do seminarium duchownego, pięć lat siadał w „ławce” z młodszymi kolegami. Wczoraj otrzymał święcenia kapłańskie. Biskup wyciągnął nad nim rękę, a za biskupem dziesiątki kapłanów i prosili Ducha Świętego, aby uczynił go kapłanem na wieki, nieodwołalnie. Legł w pokorze na posadzce świątyni razem ze

swoimi kolegami i niebawem powstał z tego prochu, z tego pokornego uniżenia – innym człowiekiem, powstał już ksiądz Jerzy, który staje dzisiaj przed nami jako kapłan.

Niektórzy, zwłaszcza młodzi, pytają, czy dobrze zrobił. Pięć lat zmarnowanych studiów – powie buchalter, co on zrobił! Ale dzisiaj nikt nie wątpi, że dobrze zrobił. I to nie dlatego, że przeżył wczoraj tak wspaniałą, podniosłą uroczystość święceń. I nie dlatego, że dzisiaj przeżywa dalszy ciąg, że tylu przyjaciół, tylu kapłanów wokół niego, tyle kwiatów, życzeń, uśmiechów, tyle promieniującej życzliwości. Ktoś by powiedział, że warto zostać kapłanem, by przeżyć takie podniosłe piękno...

Ale to za mało, wejdźmy w głąb, pod te dekoracje, w istotę rzeczy.

Pod stosami dekoracji, szat, słów i muzyki kryje się prawda. Jaka prawda? Niedocieczona. Bez wątpienia każdy kapłan, tak jak Apostoł, według słów Jezusa – to „sól ziemi” i „światło świata” (Mt 5,13-14). Czym jest sól dla pewnych substancji, wszyscy wiemy, gdzie sól, tam nie ma robactwa. Sól chroni przed zgnilizną, przed robactwem. Gdzie jest światło, tam widać prawdę, a gdzie mrok, ciemności otulają naszą ziemię czy nasz dom, czy pokój – nic nie widzimy, nie widać prawdy.

Kapłan, według myśli Jezusa, to jest „sól ziemi”, która broni przed zgnilizną moralną, i to jest „światło świata”, ten, który ukazuje Absolutną, Najwyższą Światłość, jaką jest Jezus, Syn Boży.

Ale kapłan jest czymś więcej niż „solą ziemi i światłością świata”, tym właściwie powinni być wszyscy chrześcijanie.

Kapłan to pontifex – a w łacinie pierwotnie oznaczał człowieka, który budował mosty, budowniczy

mostów. Uświadamiamy sobie, że każdy kapłan to ten, który buduje mosty. A nad jaką rzeką? Nad przepaścią tego i tamtego świata, między ograniczonym człowiekiem a nieskończonym Panem Bogiem. To budowniczy mostów, przez które mogą bezpiecznie przechodzić wierzący w Chrystusa.

Ale kapłan to nie tylko budowniczy mostów, to także pełnomocnik Chrystusa, Syna Bożego.

W jakim zakresie pełnomocnik? Oto ilustracja. Gdyby ktoś z was zasiadł do konfesjonału i gdyby ktoś wyznał wam swoje grzechy, a wy powiedzieli- byście: „Odpuszczają ci się grzechy twoje”, to sto- jący z boku ludzie powiedzieliby: Głupi! Coś mu się w głowie pomieszało! Szaleniec! Jak on może nam grzechy odpuszczać!. Gdy Jezus odpuścił grzechy paralytykowi, faryzeusze byli pełni oburzenia i mówili: „Jak on, będąc człowiekiem, może odpuszczać grzechy? Odpuszczać grzechy może tylko sam Bóg” (Mk 2,7). A więc bluźnierstwo. Rzeczywiście, gdyby Jezus był tylko człowiekiem, byłoby to straszne bluźnierstwo. Ale Jezus miał taką władzę. I właśnie tę władzę, prerogatywę przekazuje wyświęconym w Kościele kapłanom. Ksiądz Jurek Witczak przedwczoraj popełniłby bluźnierstwo, a dzisiaj może zasiąść do konfesjo- nału i może w imieniu Jezusa i z Jezusem powie- dzieć: odpuszczają ci się twoje wszystkie grzechy, nawet te najcięższe. A więc prerogatywa Boska.

Gdyby ktoś z was stanął przy ołtarzu, gdyby wziął wino i chleb, i opłatek i gdyby wypowiedział te słowa, które Jezus wypowiedział na Ostatniej Wieczerzy: „To jest Ciało moje, to jest Krew moja” – to bylibyście przerażeni, powiedzielibyście, że oszalał, że to potworne bluźnierstwo. Gdyby pięć dni temu, nawet jako diakon, Jurek Witczak sta- nął przed jakimś ołtarzem i wypowiedział te sło-

wa, powiedzielibyście, że to bluźnierstwo. Ale oto dzisiaj stanie przy ołtarzu i wypowie te słowa, te mocarne, wstrząsające dla myślącego człowieka słowa: „To jest Ciało moje, to jest Krew moja” i stanie się to, co on mówi – rzeczywiście chleb stanie się Ciałem Pana Jezusa, a wino Krwią Jego. Bo spełnia pełnomocnictwo Jezusa, bo działa w Jego imieniu, bo uczestniczy w Jego arcykapłaństwie. Zawrotna godność. Stu, tysiąc i więcej inżynierów pozostaje w cieniu wobec takiej godności, wobec takiego inżyniera ducha.

*Homilia wygłoszona podczas Mszy św. prymicyjnej
ks. Jerzego Witczaka,
Wrocław, 23 maja 1982.*

KAPŁAN WE WSPÓLNOCIE KOŚCIOŁA

Wszyscy pamiętamy słowa z Ewangelii św. Mateusza, gdzie w przypowieści o siewcy opowiada, jak siewca wyszedł siał. A gdy siał, niektóre ziarna padły na drogę, ale ptaki je wydziobały, inne padły na miejsca skaliste, gdzie było niewiele ziemi, dlatego je słońce wypaliło. Inne padły między ciernie, które je zagłuszyły. Inne w końcu padły na ziemię żyzną i plon wydały stokrotny (Mt 13,1-9).

Ten siew Bożego słowa, wzmacniany łaską, sprawił, że spośród wielu słuchających Jezus Chrystus mógł wybrać Dwunastu, których skupił w szczególniejszy sposób wokół siebie w małą wspólnotę, odpowiednio formowaną i przygotowywaną do tego, aby po pewnym czasie mógł powiedzieć członkom tej pierwszej wspólnoty: „Idźcie raczej do owiec, które poginęły z domu Izraela. Idźcie i głosście: Bliskie już jest królestwo niebieskie. Uzdrawiajcie chorych, wskrzeszajcie umarłych, oczyszczajcie trędowatych, wypędzajcie złe duchy. Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie” (Mt 10,1-8). W ten sposób rozpoczęto tworzyć zręby wielkiej wspólnoty Kościoła świętego.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że cała działalność Chrystusa Pana zmierzała od samego początku do założenia widzialnej i historycznej społeczności zbawczej, tj. Mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa. Mówią nam o tym wyraźnie:

– uroczyste oświadczenie Pana Jezusa wypowiedziane do św. Piotra: „Otóż ja tobie powiadam,

ty jesteś Piotr, czyli Skala i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go” (Mt 16,18);

- ustanowienie sakramentów świętych;

- powołanie apostołów na kapłanów Nowego Testamentu, co dokonało się w wieczerniku, gdzie po konsekracji chleba i wina Chrystus każe to samo czynić apostołom na Jego pamiątkę (Łk 22,19-20);

- ustanowienie apostołów nauczycielami ludów całego świata: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28,19).

Decydujące znaczenie w życiu wspólnoty apostołów posiadały: śmierć, zmartwychwstanie Chrystusa Pana i zesłanie Ducha Świętego, ponieważ wydarzenia te sprawiły, że przewyciężyli oni w sobie „starego człowieka”, i uczyniły z nich prawdziwych apostołów „pełnych ducha i męstwa” w głoszeniu Dobrej Nowiny i odważnych męczenników. Tak zaczęło się realizować polecenie Chrystusa skierowane do nich, by iść na cały świat, nauczać wszystkie narody, chrzcić i nauczać wszystkiego, co Pan przykazał (Mt 28,19-20).

Tak też było w pierwszych zabiegach duszpasterskich apostołów. W posiewie Bożego Słowa podkreślali centralną prawdę o zbawieniu, tzn. głosili, że Chrystus umarł i zmartwychwstał. Ci, którzy uwierzyli w tę prawdę, nawrócili się w sakramencie chrztu św., zaczęli tworzyć wspólnotę gminy chrześcijańskiej, na czele której stał biskup, a zewnętrzną oznaką przynależności do niej stało się uczestnictwo w sprawowanej Eucharystii.

Jednym z głównych źródeł mówiących o dziejach pierwszej wspólnoty czy społeczności chrześcijańskiej są początkowe rozdziały Dziejów Apostolskich. Dowiadujemy się z nich, że przełomowym

zdarzeniem w życiu tej wspólnoty był dzień zesłania Ducha Świętego, który był Duchem Chrystusa, pochodzącym od Ojca i wtedy został utworzony Kościół i przez Chrystusa stał się zaczątkiem królestwa Bożego na ziemi.

Entuzjazm apostołów sprawił, że w rezultacie kazania św. Piotra o ukrzyżowanym i zmartwychwstałym Chrystusie Panu około trzy tysiące Żydów przyjęło chrześcijaństwo (Dz 2,14-41), a liczba ta szybko wzrosła do pięciu tysięcy. Od tego wydarzenia szybko zaczęły się rozwijać wspólnoty chrześcijańskie nie tylko w Palestynie, ale też poza jej granicami.

Postawę społeczności chrześcijańskiej w Jerozolimie cechowała troska o to, by „zachować siebie samego nieskażonym od wpływów świata” (Jk 1,27) i dowieść własnym życiem tego, co powiedział Chrystus: „poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali” (J 13,34). Była to więc społeczność świętych, w której dochodziło do aktów heroizmu w formie sprzedawania swoich majątków i rozdawania ubogim, troska o biednych, więźniów, a szczególnie wdowy.

Całe życie społeczne i religijne gminy cechował wysoki heroizm miłości bliźniego. A „jeden duch i jedno serce ożywiało wszystkich wierzących. Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne” (Dz 4,32). Centralną postacią skupiającą całą gminę był sam Chrystus, którego uosabiał biskup, jako następca apostołów, a wzmacniany darami Ducha Świętego, ciągle tę wspólnotę ożywiał Bożym Słowem, udzielanymi sakramentami świętymi, a szczególnie sprawowaną Eucharystią, w której cała gmina uczestniczyła.

Może się zrodzić pytanie, dlaczego tyle dzisiaj mówimy o wspólnocie, a nawet o wyrabianiu w so-

bie ducha wspólnoty we współczesnym Kościele. Otóż w odpowiedzi na postawione pytanie trzeba sobie wyraźnie zdać sprawę z tego, że zawsze wielkim staraniem Chrystusa Pana była troska o jedność wspólnoty ludzkiej, a Kościół, jako spadkobierca idei Chrystusowych, ciągle tę myśl miał na uwadze i w posłannictwie swoim ją realizował i aż do naszych czasów to czyni.

Jeżeli Pan Jezus tutaj, na ziemi, umarł na krzyżu, to głównie dlatego, jak mówi św. Jan: „żeby dzieci Boże, które były rozproszone, zgromadzić w jedno” (J 11,52).

Cała modlitwa eucharystyczna, której opis również podaje św. Jan, nie ma nic innego na celu, jak tylko uwydatnić ludzkie braterstwo wspólnoty Kościoła, aby je włączyć w Boską Jedność: „Jak Ty, Ojcze, jesteś we mnie, a ja w Tobie, niech oni też będą w Nas. Niech będą jedno, jak my jesteśmy jedno” (por. J 17,21).

Św. Paweł w liście do Rzymian powie: „Jak bowiem w jednym ciele mamy wiele członków, a nie wszystkie członki spełniają tę samą czynność, podobnie wszyscy razem tworzymy jedno ciało w Chrystusie, a każdy z osobna jesteśmy nawzajem dla siebie członkami” (Rz 12,4-5).

Wszystko, co mogło naruszyć jedność Ciała Chrystusowego, wydawało mu się wprost zaprzeczeniem chrześcijaństwa. Przypomnijmy sobie, z jaką energią walczy z rozłamem wśród koryntian: Nie jesteście ani Apolla, ani Kefasa, ani Pawła, wszyscy jesteście Chrystusowi, jesteście wszyscy członkami jedni drugich (1Kor 3,4).

Gdyby św. Paweł żył dzisiaj, czy nie musiałby napiętnować i nas, jak kiedyś koryntian, słowami: Nie jesteście kapłanami PAX-u ani Caritasu, ani tych, od których przyjęliście odznaczenia, bo wszy-

scy Chrystusowi jesteście. Zwróćmy naszą uwagę jeszcze raz na słowa św. Pawła, któremu wydawało się, że wszystko, co narusza jedność Ciała Mistycznego, jest zaprzeczeniem chrześcijaństwa. Te słowa, rozważane w świetle naszej świętej wiary, nie wymagają żadnych komentarzy.

Kapłan, powołany przez Chrystusa do współpracy z Nim, z takim pietyzmem przygotowany do posługi duszpasterskiej, przez biskupa w imieniu Kościoła powołany do budowy jedności Mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa, aby „zgrupować rozproszone dzieci Boże”, jeżeli w sposób świadomy rozbija wspólnotę kapłańską, budzi podejrzenia u wiernych o brak pełnej prawowierności Kościołowi świętemu, gdy wchodzi w kontakty z ludźmi, których celem i zadaniem jest rozkładać jedność i siłę Kościoła. Czy nie jest to straszna rzecz w naszej rzeczywistości, powiedzmy bliżej, w naszej archidiecezji?

Między nami, księżmi, musi istnieć głęboka więź wspólnoty, która nas wzajemnie łączy, zwłaszcza w naszych czasach, bo ciągle należy zdawać sobie sprawę z tego, że Najwyższy Kapłan, który przez nas kontynuuje swoją misję pośrednika i uświęci-ciała, On sam powołał nas do pracy na tej samej roli Ojca i działa w każdym z nas, dlatego nigdy nie wolno nam dopuścić do jakiegokolwiek podziału między nami i we wspólnocie Kościoła. Mało jest myśli, które tak często powtarzają się w pismach Ojców Kościoła i świętych, jak właśnie myśl dotycząca naszej wspólnoty w Chrystusie. Święty Ignacy Antiocheński tak pisze: „Nie sądźcie, że moglibyście cokolwiek dobrego zdziałać w ode-rwaniu. Dobre jest tylko to, co robicie wspólnie. Ta sama modlitwa, to samo błaganie, ożywiane przez miłość, w jednej wszystko łączącej radości: to jest w Jezusie Chrystusie, ponad którego nic

nie istnieje”. W tym samym duchu wypowiadają się św. Augustyn, św. Tomasz, św. Bernard i inni.

Na temat potrzeby podkreślania ducha wspólnoty we współczesnym Kościele bardzo często wypowiadają się ostatni papieże – Pius XII, Jan XXIII, a także Paweł VI. W roku 1976 na jednej z audyencji Paweł VI powiedział tak: „Kościół jest wspólnotą wiary i miłości. Wspólnota jest więc spoiwem, które łączy i umacnia poszczególne człony Kościoła. Wspólnotowy charakter Kościoła staje się w obecnych czasach bardziej widoczny. Jest dobrem, którego należy bronić przed negatywnymi zjawiskami, zwłaszcza przed fałszywie pojmowanym pluralizmem. Nowego, żywego Kościoła naszych czasów nie można budować za pomocą pluralizmu pojmowanego jako prawo do subiektywnej interpretacji Słowa Bożego i magisterium Kościoła, nie za pomocą ciągłej krytyki, niszczącej niezgody. Zbudujemy go dzięki dobroci, przyjaźni, zgodzie, współpracy i solidarności”.

W sposób obszerny wspólnotowy charakter Kościoła omawia soborowa Konstytucja dogmatyczna o Kościele w pierwszych siedmiu rozdziałach, które ze względu na szczupłość czasu trudno tutaj przytaczać i omawiać.

Nas, jako duszpasterzy i kapłanów, głównie interesuje najmniejsza społeczność Kościoła, którą mamy ożywiać i z Bogiem jednoczyć, a jest nią parafia. Bóg, powołując nas do współpracy ze sobą, po odpowiednim przygotowaniu posyła nas przez biskupa diecezji do najmniejszej komórki Mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa, aby tam budować wspólnotę opartą na nadprzyrodzonej więzi z Bogiem, w duchu miłości i prawdy.

Współczesna myśl kościelna nawiązuje do starej praktyki Kościoła, która utrzymywała, że

zbawienie człowieka dokonuje się w parafii. Stąd pamiętamy z historii, że wierni byli zobowiązani do udziału we Mszy św. niedzielnej w swoim kościele parafialnym. Było to pozostałością z czasów, gdy jeszcze rozumiano, iż Eucharystia jest ofiarą konkretnej gminy chrześcijańskiej, w której wierni gromadzą się w swoim kościele, przy wspólnym ołtarzu, pod przewodnictwem swojego duszpasterza i razem modlą się do wspólnego Boga w potrzebach poszczególnych członków, jak też i całej społeczności chrześcijańskiej. Ten duch wspólnotowy sprawiał, iż taka więź wytwarzała się między członkami gminy razem modlących się, była rzeczywistym „gromadzeniem się dzieci Bożych w jedno wokół osoby Jezusa Chrystusa”.

Kościół posoborowy przypomina nam, że parafia to grupa ludzi zamieszkujących określone terytorium, związanych jednością wiary, kultu oraz miłością wzajemną w Chrystusie Mistycznym przebywającym eucharystycznie w kościele parafialnym, który jest ośrodkiem życia religijnego grupy. Mocno też podkreśla się fakt, że parafia jest urzeczywistnieniem albo konkretyzacją Kościoła powszechnego wraz z jego posłannictwem, że jest wspólnotą i że należy usilnie pielęgnować ducha wspólnotowego.

Stąd też zalecono duszpasterzom, aby tak dopełniali obowiązku nauczania i kierowania, by wierni i wspólnoty parafialne czuli się członkami zarówno diecezji, jak i całego Kościoła powszechnego. W odnowie i pogłębianiu życia wspólnotowego upatruje się obecnie konieczny warunek rozwoju Kościoła na przyszłość. Ukazała się książka Klostermanna pt. „Wspólnotowa gmina – przyszłością Kościoła”, w której pisze: „Ideałem i natchnieniem pozostaje dla teologów pierwotna

gmina jerozolimska”, o której już wspominaliśmy na początku homilii.

W pierwszą niedzielę Adwentu tego roku rozpoczęliśmy realizować program duszpasterski pod hasłem: „Człowiek we wspólnocie Kościoła”. Rodzi się pytanie: Jaka jest rola duszpasterza w realizacji tego zadania oraz jakimi środkami mamy osiągnąć zamierzony cel? Otóż Kościół, określając czynniki tworzące wspólnotę, nie neguje hierarchicznej struktury Kościoła, czyli władzy, ale w naszych czasach bardzo mocno podkreśla konieczność więzów na płaszczyźnie łaski Chrystusowej, która zapewnia człowiekowi osiągnięcie jego celu nadprzyrodzonego.

Podstawę istnienia jakiegokolwiek wspólnoty kościelnej stanowi Duch Święty, który w Zielone Świąta zdynamizował Apostołów i poprzez nich tworzył małe wspólnoty gmin chrześcijańskich, które rozrosły się i skupiły w sobie wielkie rzesze zgromadzone wokół Jezusa Chrystusa. Ten sam Duch Święty, działający w pierwotnym i tworzącym się Kościele, jest obecny i wśród nas. Tworzy wspólnotę miłości, w której dokonuje się nasze uświęcenie.

Taką świadomość miała pierwsza grupa najbliższego otoczenia Pana Jezusa, bo wiemy z Dziejów Apostolskich, że uczniowie po Wniebowstąpieniu wrócili do Jerozolimy, udali się do sali i wszyscy trwali jednomyślnie na modlitwie (Dz 1,12-14). Tworzyli jedną rodzinę, codziennie spotykali się na łamaniu chleba, chwalili Boga i byli kochani przez wszystkich (Dz 2,42-47). Tę miłość wzajemną wśród wyznawców Chrystusa trzeba wiązać z obecnością Ducha Świętego, ponieważ Pan Jezus obiecał, że pozostanie ze swymi uczniami na zawsze. Święty Paweł powie: „Czy

nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was?” (1Kor 3,16).

Papież Pius XII w Encyklice o Mistycznym Ciele pisał: „Najgłębszą podstawą zjednoczenia wiernych w Kościele jest Duch Święty”, a ostatni Sobór dodaje do tego: „Wszyscy wierni rozproszeni po całym świecie mają ze sobą łączność w Duchu Świętym” (KK,13).

Jako kapłani uświadamiamy sobie naszą rolę w tworzeniu i ożywianiu ducha wspólnoty parafialnej. Mamy się czuć jak apostołowie. Wyposażeni, podobnie jak oni, mocą Ducha Świętego mamy być tymi, którzy dynamizują i ciągle ożywiają Boże życie we wspólnocie parafialnej. Warunkiem owocności naszej posługi w tworzeniu pogłębionej wspólnoty jest ciągła świadomość potrzeby życia w łasce poprzez regularną spowiedź świętą, ducha głębokiej modlitwy, czyli stałej nadprzyrodzonej więzi z Bogiem. Następnie będzie mógł przeze mnie działać Duch Święty, ale ja muszę być w parafii, bo po to jestem zjednoczony z Chrystusem w święceniach kapłańskich, żeby Duch Święty mógł łatwiej przez moją obecność działać w tej komórce Mistycznego Ciała, którą mam w całości zjednoczyć z Chrystusem Panem.

Jesteśmy świadkami niezwyklej działalności Ducha Świętego, który mocą swego Boskiego posłannictwa powołuje do istnienia różne grupy charytatywne. Prawdopodobnie są jeszcze księża, którzy nie znają istoty tego ruchu, nie wiedzą, jaka jest jego rola w Kościele, a może są sceptycznie ustosunkowani do niego.

Musimy jednak pamiętać, że ruch charyzmatyczny ma aprobatę Kościoła, dlatego nie możemy ograniczyć jego roli ani eliminować z życia naszych wspólnot parafialnych, jeżeli już tam zaistniał.

Ruch ten na pewno zobowiązuje nas wszystkich do lepszego poznawania tego zjawiska, a zwłaszcza roli Ducha Świętego w tym względzie, dlatego sami powinniśmy pogłębiać swoją wiedzę o Duchu Świętym i mówić o jego roli w życiu naszych wiernych.

Należy strzec we wspólnotach parafialnych poprawnego rozwoju ruchu charyzmatycznego tak co do jego treści, jak i co do formy organizacyjnej, żeby rozwój ten następował w granicach wspólnoty Kościoła.

Elementem tworzącym wspólnotę kościelną jest z kolei Boże Słowo, bowiem jego głoszenie leży u początku jej tworzenia się. Jezus Chrystus, jak wiemy, gromadził wokół siebie pierwszą grupę uczniów poprzez głoszenie słowa Bożego. Podobnie pod wpływem nauczania apostołów powstają pierwsze gminy chrześcijańskie. Tam, gdzie było przepowiadane orędzie paschalne, tam rodziła się wiara, w wyniku której następowało nawrócenie w chrzcie świętym, a potem uczestnictwo we Wspólnocie Eucharystycznej. Podobnie jak wtedy, tak i obecnie głoszone Słowo Boże, ożywiane mocą Ducha Świętego, zespala istniejącą już wspólnotę Kościoła, a także rodzi wiarę tam, gdzie jej dotąd nie było.

Widzimy z tego, że gorliwość w głoszeniu Bożego Słowa w naszym laicyzującym się środowisku ma doniosłe znaczenie, ponieważ budzi wiarę tam, gdzie jej nie ma, ożywia ją u tych, którzy mają słabą wiarę oraz pogłębia u ludzi, którzy szukają pogłębionego życia religijnego. Stąd, zgodnie z instrukcjami, a przede wszystkim w poczuciu wielkiej odpowiedzialności za poprawną formację religijną wspólnot parafialnych, wszyscy mamy obowiązek troski o głoszenie Bożego orędzia. Tam, gdzie zbiera się większa grupa ludzi: chrzest, ślub,

pogrzeb, nie można sprawować tych czynności religijnych bez odpowiednio przygotowanej homilii, także we Mszy świętej niedzielnej, a w tygodniu zawsze, gdy jest większa ilość wiernych.

Najdonioślejszym naszym zadaniem, w trosce o poprawną formację wspólnoty parafialnej, jest dbałość o religijne wychowanie dzieci i młodzieży. Głoszenie Słowa Bożego w podanych okolicznościach, a także poprzez rekolekcje adwentowe i wielkopostne, zabezpieczamy nasze wspólnoty parafialne przed ciągłą próbą rozbicia ich i odcierania od więzi z Chrystusem. Rozbijanie to dokonuje się poprzez laicyzację wszystkich środowisk.

Niebezpieczną rolę rozkładową naszych wspólnot parafialnych spełniają różne sekty religijne, które mają sprzyjające warunki tam, gdzie kapłan nie uczy, nie dojeżdża ze Mszą św. czy nie daje możliwości pogłębienia więzi nadprzyrodzonej z Jezusem Chrystusem.

W najbliższym związku ze Słowem Bożym wspólnotę umacniają: modlitwa, udzielane sakramenty święte, a zwłaszcza Eucharystia. Nie ma potrzeby mówić, czym są sakramenty święte w życiu wiernych parafii. Ale przy tej okazji zwróćmy uwagę na potrzebę uczenia modlitwy przy każdej okazji: na religii, w przygotowaniach do chrztu świętego, ślubu, bierzmowania, ponieważ zatrącenie ducha modlitwy jest właściwie utratą albo całkowitym odłączeniem się od wspólnoty z Jezusem Chrystusem. Trzeba uczyć dzieci i młodzież wchodzić do kościoła na adorację w drodze do szkoły i ze szkoły – ta praktyka zupełnie zanika, a przecież jeszcze niedawno była powszechnie znana, zwłaszcza w miastach i miasteczkach.

Dużo czasu należy poświęcić przygotowaniu do liturgii Mszy św., aby dawała okazję do przeżyć

religijnych i pogłębiała wiarę, przygotować lektorów, scholę do upiększania liturgii, uczyć pieśni, które najbardziej wpływają na cementowanie wspólnoty parafialnej. Dobrze sprawowana liturgia ożywia nie tylko wiarę, ale daje dużo radości, która wyzwala w człowieku chęć do przebywania we wspólnocie Kościoła, w którym przecież żyje sam Jezus Chrystus.

Wreszcie czynnikiem decydującym o tworzeniu się wspólnoty wokół Chrystusa Pana jest dawanie okazji do spowiedzi świętej. Żaden kapłan nie może iść do ołtarza, zanim nie siądzie do konfesjonału, bo nie może zachęcać do pełnego uczestnictwa w Eucharystii, jeżeli nie dał komuś możliwości do pojednania się z Bogiem. Pod tym względem i na terenie miasta Wrocławia nie jest najlepiej, ponieważ czasem trzeba obejść sporo kościołów, zanim się kogoś spotka w konfesjonale.

Bardzo ważnym czynnikiem tworzącym wspólnotę jest miłość (agape) jako następstwo wspólnoty z Chrystusem i wszystkimi ludźmi odkupionymi Jego Krwią. Miłość ta domaga się świadczenia sobie pomocy wzajemnej. Ci, którzy uczestniczą w pełnym zjednoczeniu z Chrystusem, powinni być autentycznymi chrześcijanami. Tutaj chyba najwięcej musimy troszczyć się o kulturę odnoszenia się do naszych wiernych. Wiadomo, że trzeba mieć mocne nerwy, ale jesteśmy często stimulatorami, do których ludzie przychodzą chcąc się wygadać, wyzalić, a my nie zawsze mamy do tego cierpliwość. Tymczasem kontakt osobisty duszpasterza z wiernym jest okazją świadczenia pomocy, czego uczymy, dlatego nie wolno go zbywać, obrażać. Nawet wtedy, kiedy stojąc na pozycjach kościelnych, musimy czegoś odmówić, trzeba czynić to tak, żebyśmy nie zagrządzali drogi

do siebie temu człowiekowi. Szanujmy naszych najbliższych, służbę domową, kościelną, bo często ci ludzie są tak wewnętrznie skurczonymi, obolałymi, bo chcą pomóc, a przy tym spotyka ich niezasłużona przykrość. Starajmy się naprawdę służyć człowiekowi.

Na samym końcu trzeba powiedzieć o wspólnocie kapłańskiej, która rzutuje w dużym stopniu na wspólnotę parafialną. Nie potrzeba nam przytaczać słów Pana Jezusa modlącego się o jedność, bo wszyscy je dobrze znamy, ale równocześnie podejmowanie wysiłków zgromadzenia kapłanów wokół osoby Jezusa Chrystusa i stworzenia zaplecza, oparcia dla siebie we wspólnocie kapłańskiej jest ciąglą koniecznością.

Wiemy dobrze, że z tytułu naszego powołania i specjalnych zadań, jakie spełniamy, pełne zrozumienie zawsze znajdziemy tylko we wspólnocie kapłańskiej. Stąd mamy się wzajemnie szanować, unikać konfliktów, niedelikatności, które nas mogą zrazić do siebie. Trzeba okazywać sobie wzajemną pomoc. Nie szukać zaplecza u ludzi świeckich, bo, jak praktyka wykazuje, z reguły kończy się to przegraną księdza. Różni dygnitarze świeccy są również przedmiotem naszego oddziaływania duszpasterskiego, są nam nieraz potrzebni, dlatego należy ich szanować, ale nie wchodzić z nimi w kontakty towarzyskie, żeby nie dawać okazji do plotek, insynuacji, z których rodzą się niekorzystne dla duszpasterza konsekwencje, utrudniające spełnienie jego misji kapłańskiej. Kapłan nie może chodzić do biur czy urzędów, w których częstują go choćby kawą, żeby w rozmowie wyciągać od niego różne sprawy, dotyczące spraw kościelnych. Potem dziwimy się, skąd biorą się wiadomości w różnych anonimach.

Pilnować należy pracy w parafii, przebywać na plebani, a nie ciągle wyjeżdżać.

Unikać i nie dawać podstaw do podejrzeń i plotek na skutek niejasnych kontaktów z kobietami. Ile jest tutaj zgorszenia i deprawacji sumień kapłańskich i kobiecych. Kto za to będzie odpowiadał? Niektórzy księża wyjeżdżają do różnych miast na terenie naszej diecezji i poza jej granice, tam zostają rozpoznawani, kiedy zachowują się niżej krytyki – w restauracjach, hotelach, zajazdach, a nawet w domach prywatnych.

Kapłani we wspólnocie plebanijnej powinni nawzajem dawać wobec siebie świadectwo swojej wiary. Młody kapłan powinien wiedzieć, że starsi odmawiają brewiarz, różaniec, spowiadają się, czytają książki teologiczne. Młodzi również winni okazywać swoją gorliwość w pracy, świeżość przyniesionej wiedzy ze studiów seminaryjnych, pobożność opartą o doktrynę soborową, żeby starsi księża wiedzieli, że ich duchowość jest rzeczywiście jakaś pełna, poprawna, żeby się nie musieli obawiać, co z nich będzie.

Jak zauważamy, myśl o wspólnocie Kościoła, w której człowiek realizuje swoją wiarę poprzez naszą posługę, jest zagadnieniem bardzo istotnym. Warto sobie uświadomić tę myśl, żeby w posługiwaniu duszpasterskim zwrócić szczególniejszą uwagę na tę formę pracy, poprzez którą moc Ducha Świętego sprawia, że człowiek może uzyskać wiarę, pogłębiać ją i związać się mocniej we wspólnocie Kościoła z Jezusem Chrystusem.

*Dni Duszpastersko-Katechetyczne,
5-9 grudnia 1977.*

MAŁŻEŃSTWO

MAŁŻEŃSTWO TO SŁUŻBA

Gdy wzywają nas młodzi do błogosławienia ich związku małżeńskiego, niejednokrotnie, a nawet – otwarcie powiedzmy – najczęściej, my, duszpa-sterze, przeżywamy sprzeczne uczucia. Z jednej strony cieszymy się, że ci młodzi przychodzą do Kościoła i proszą o pobłogosławienie ich związku małżeńskiego w obrzędzie chrześcijańskim, kato-lickim. Ale z drugiej strony przeżywamy najczę-ściej bardzo wielkie niepokoje, co też będzie dalej po ślubie, po tej uroczystości, na której widzi się przede wszystkim uśmiechniętych, często rozpro-mienionych młodych ludzi. Widzi się często bar-dzo odświętną asystę. Słyszy się piękne utwory muzyczne... Na ołtarzach świece, dużo światła; dużo rozmaitych akcesoriów scenicznych, włączy-nie z kwiatami, pocałunkami i bardzo często wzniosłymi życzeniami.

Widzi się to wszystko dzisiaj. A co widzi się potem, po dwóch, trzech miesiącach, a zwłasz-cza po dwóch, trzech latach? Czasami tam, gdzie się spodziewało ujrzeć rozkwitające kwiaty tych uczuć, tych więzi, wartości moralnych, obserwuje się nieraz dewastację nawet wartości ludzkich! Czasami wręcz obserwuje się jaskinię, a czasem po prostu „kłębowisko żmij”. Niektórzy młodzi, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek, ulegają zwodni-czym sądom – jak i zresztą poprzednie pokolenia

– że to dlatego, że ślub brano w maju; a dlatego, że ktoś się spóźnił; a dlatego, że czegoś tam czy kogoś brakowało; że tam ktoś coś zapomniał czy niewłaściwą suknię nałożył, czy może ktoś się niewłaściwie... I buduje się na przesadach swój los i swoje szczęście.

Otóż, Przyjaciele Drodzy, to wszystko jest zawodne! I Bogu dzięki, że dzisiaj, zarówno ja, jak też i moi koledzy-kapłani, i wy, którzy znacie drogą Lenkę i Józia, takich sprzeczności nie przeżywamy. Oni wiedzą, że ich szczęście nie zależy od tego, ile będzie gości, ilu księży uczestniczy w tej uroczystości, że ich szczęście nie zależy od jakości muzyki, od ilości światła, od tego czy słońce świeci, czy nie świeci, od tego, czy będzie tyle, czy mniej tortów na przyjęciu. Oni wiedzą, że nie od maja zależy ich los ani też od dnia tygodnia.

I wiedzą chyba nasi Drodzy Przyjaciele o tym, bo wiele razy rozważaliśmy, że szczęścia nigdy się nie osiągnie, jeżeli się po nie sięga i jest ono celem życia! To jest przecież paradoks potwierdzany przez życie. Ubolewać tylko należy, że młodzi ludzie, a nawet i starsi, tego paradoksu tak sprawdzalnego nie spostrzegają. Dawno było powiedziane, że kto zmierza do swojego szczęścia, to się z nim rozminie! Musi się wtedy pożegnać ze szczęściem u podstaw, jeżeli ktoś po szczęście sięga, zmierza do szczęścia – to jest paradoks, pozorna sprzeczność. Ale życie, zwłaszcza psychiczne, a jeszcze bardziej nadprzyrodzone, które wkracza w życie chrześcijan, a zwłaszcza w życie małżeńskie – jest pełne tak pozornych sprzeczności, takich paradoksów.

Nasi drodzy młodzi wiedzą o tym, bo się tego uczyli, nie tyle na wyższych studiach, gdzie niestety takich wykładów nie ma, ale na studium

Ewangelii, na spotkaniach duszpasterstwa akademickiego, dzięki lekturze podstawowych książek. Oni wiedzą, że głębiny szczęścia można osiągnąć na tym świecie, ale tylko jako produkt uboczny, tylko jako dar Boży.

Henryk Sienkiewicz był świetnym znawcą psychiki człowieka i tych paradoksów, gdy pisał w „Rodzinie Połanieckich”: Małżeństwo to służba Boża, a szczęście to podarek Boży. Szczęścia nie można wydrzeć z piersi żony, nie można wydrzeć z piersi męża, szczęścia nie można wydrzeć ani ziemi, ani Niebu. Nie można wydrzeć, tylko można wysłużyć, jeżeli będziemy służyli wyższym wartościom, drugiemu człowiekowi, miłości – bo w gruncie rzeczy to służba, to jest szukanie dobra drugiego człowieka. Jeżeli będziemy spełniali swoje obowiązki, swoje zadania wyznaczone nam przez Stwórcę, wtedy dopiero może przyjść ten podarek Boży, jakby produkt uboczny.

W dzisiejszej lekcji z Listu św. Pawła do Efezjan mówi Apostoł, że wzorem i miarą miłości małżeńskiej jest stosunek Chrystusa do Kościoła (Ef 5,21-33). Tak wysoko widzi św. Paweł małżeństwo chrześcijańskie! Pomędzy Chrystusem i Kościołem zawarte zostało małżeństwo: Chrystus-Oblubieniec, Kościół-Jego Oblubienica. Otóż Chrystus kocha, przenika Kościół, a On służy Chrystusowi. Nawzajem się przenikają te dwie – jeżeli tak można powiedzieć – istoty. Otóż i w małżeństwie dwie osoby mają się przenikać na wzór Chrystusa i Kościoła. Chrystus jest bezinteresowny, szuka dobra Kościoła i ludzi zgromadzonych w Nim.

A Kościół otwiera się na przyjęcie Chrystusa. Chce, żeby Chrystus przeniknął Go całkowicie, w pełni, żeby nastąpiła nie tylko unia, jakieś zjed-

noczenie, jakieś jedno ciało, o którym nawet Jezus mówi w Ewangelii w najszerszym słowa znaczeniu ciała, ale żeby nastąpiła nawet symbioza tych dwóch osób. Tam nie ma pytania, kto więcej daje: Ja ci więcej daję albo mniej odbieram. I zaraz powstaje zakład: „Widzisz, ja ci więcej dałem, a ty mi mniej dajesz!”; „Ja ci więcej ofiarowałam, a ty mniej. Dlaczego ty mniej?”.

Takiego języka nie zna prawdziwa miłość! Takiego języka nie zna stosunek Chrystusa do Kościoła i Kościoła do Chrystusa! Takiego języka nie zna chrześcijańskie małżeństwo! Jedna i druga strona dąży do tego, żeby służyć, żeby świadczyć miłość bezinteresowną, żeby szukać dobra drugiego człowieka i innych ludzi. A druga strona analogicznie: nie szuka siebie, lecz szuka dobra drugiej osoby!

I oto w tej tajemnicy dnia urzeczywistnić się może, według łaski i wiary Pana Boga, prawdziwie głębiny szczęście. Bo nie ma sielankowego szczęścia, takiego żeby ludzie byli zawsze uśmiechnięci, zadowoleni z siebie i z otoczenia. Takie szczęście to jak „byle pokrzywka i lzy płyną”, zacytuję znane słowa Henryka Sienkiewicza. Byle przykre słowo, byle ból mały, jakieś zapomnienie czy zaniedbanie, jakaś niesprawiedliwa ocena – i już lzy płyną. I takie szczęście jest znaczone przez kruszynkę.

Ale szczęście głębiny, to oparte o czystość sumienia, o świadomość więzi z Chrystusem, o świadomość spełniania swoich zadań i obowiązków istnieje tylko w tych okolicznościach i w tych uwarunkowaniach.

Otóż, Przyjaciele Drodzy, Wam takiego szczęścia dzisiaj z całego serca życzymy. Życzymy, abyście spełnili ten warunek, a wtedy ono samo

przyjdzie. My nie potrzebujemy już Pana Boga o to błagać. On sam nachyli się do Was, będzie z Wami i Wam udzieli tyle, ile zdołacie przyjąć na miarę waszego serca i waszych potrzeb.

I o to szczęście od tej pory będziemy się wszyscy modlili i będziemy się wszyscy cieszyli – i za rok, i za dwa, daj Boże także i za dziesięć i pięćdziesiąt lat, Waszym dobrem i Waszym szczęściem. A potem przyjdzie czas, obyśmy się wszyscy razem cieszyli na wieki Wami.

*Homilia wygłoszona na ślubie
Magdaleny i Józefa Kuropków,
Grodzisk Wielkopolski, 3 kwietnia 1972.*

MAŁŻEŃSTWO SZKOŁĄ PRACY NAD SOBĄ

Będziemy się starali przypomnieć najbardziej istotne rzeczy w cieniu tej waszej przysięgi wobec Boga i ludu Bożego.

Muszę się tu przyznać, że w ostatnich czasach z oporami błogosławię małżonkom. A jeżeli zgodziłem się dosyć łatwo, może nawet chętnie, na pobłogosławienie waszego ślubu, waszej przysięgi, to dlatego że jestem przeświadczony, że nie będę płakał za trzy miesiące, czy za trzy lata, jeżeli Bóg pozwoli żyć, nad pogrzebanymi wartościami, pogrzebanym wielkim sakramentem, któremu na imię Sakrament Małżeństwa. Jesteście bowiem wkorzeni w Pana Boga, jesteście wkorzeni także w tę autentyczną, głęboką miłość, która nie jest tylko wzruszającym uczuciem, nie jest także miłością dziecinną czy naiwną. Jesteście w pełni dorośli i wiecie, że na tym świecie nie ma pełnego szczęścia, jest tylko szczęście cząstkowe i o tym powinno się coraz jaśniej rozmawiać, uświadamiać naszym domownikom i naszemu otoczeniu.

Również to szczęście małżeńskie, to nie jest raj na ziemi, jakby się niektórym wydawało. A tymczasem wiecie, jak to często się zdarza, za trzy miesiące ten kapitał żywych łask i ludzkich wartości rozpada się. Powstaje na tym miejscu kłębowisko żmij – ostre wyrażenie francuskiego pisarza François Mauriaca, który napisał książkę pod takim tytułem: „Kłębowisko żmij”. Mał-

żeństwo, które miało być szczęściem, stało się czymś straszliwym. Dlaczego? Powstają bowiem i wchodzi tu w grę resentymenty, a to są straszliwe, okropne uczucia. Tego się bałem, o tym nie chciałem słyszeć i mam w Bogu nadzieję, że nie będę nic takiego głębinowo złego słyszał.

Ale jeszcze zapytajmy, dlaczego kłębowisko żmij, z tego domu, z tego siedliska obecności Boga?

Po pierwsze dlatego, że ci młodzi ludzie chwycili coś z tego ochłapu szczęścia i powiedzieli, że oni sami się urządzają, że Bóg jest im niepotrzebny, sami wszystko wiedzą i sami wszystko załatwią. Odrzucają Pana Boga i sami się od Niego oddalają. Na różnych płaszczyznach zrywają więzi z Bogiem, który stworzył wszystko, także ten sakrament małżeństwa.

Szukając przyczyn, żeby nie wymieniać wielu ilustracji, chcę podkreślić tutaj brak znajomości codziennej psychologii. Na człowieka i jego miłość składa się bardzo wiele elementów i mikroelementów. Jeszcze 500 lat temu nie doceniano mikrobów, różnych bakcyli, drobnoustrojów, tych małych żyjatek, które wielkie spustoszenie potrafią czynić, które rozmnażają się niepostrzeżenie i nawet najsilniejszego człowieka potrafią zabić.

Niedostrzeżenie tych małych elementów – to przyczyna klęski. Od jednego słowa, od jednego gestu, od jednego niewłaściwego złego zachowania, od powiedzeń typu: „Wmanewrowałaś się, dziecko, w straszną rzecz”, może zarazić się cały organizm.

To nie dzieje się nagle, z dnia na dzień. To wszystko narastało niezauważenie, na zasadzie rozmnażania się drobnoustrojów, czego nie wi-

dać gołym okiem. I możemy niepostrzeżenie wpuścić taki bakcyl do swego serca, takie małe zatrute słowa i wtedy koniec, koniec dziecka Bożego. Brak pozdrowienia, małe kłamstewka – jedno, drugie, trzecie i od tego zaczyna się oskarżanie. Albo słowo „nigdy” – nie powinno się używać tego słowa. Często jest ono czymś raniącym, niszczącym osobowość człowieka. Jak z tego wybrnąć?

A więc praca nad sobą!

Małżeństwo to jest szkoła pracy nad sobą, szkoła doskonalenia się, szkoła autentycznej, głębokiej miłości, nie tej cikliwej, romantycznej. Pan Bóg daje nam tyle łask, ile nam potrzeba, jak Mickiewicz mówił: „Pan Bóg nic nie narzuca, lecz wszystko otwiera, człowiek z Boga tyle, ile chce, zabiera”. Jeżeli ktoś nie chce – to wtedy zaczyna już dramat.

Codziennie potwierdzamy swoje małżeństwo. „Dokonawszy wyboru na zawsze, codziennie wybierać muszę”. Raz złożywszy przysięgę małżeńską, na co dzień przysięgać muszę.

W pracy nad sobą naczelnym miejscem zajmuje codziennie praktykowane wybaczenie. Przebaczenie to jest wyrażenie miłości. Podobnie demaskowanie egoizmu, egocentryzmu, który jest największym wrogiem miłości. Żona powinna czasem zapytać męża: w czym, powiedz mi, siedzi u mnie ten egoizm i vice versa. Również takie drobne rzeczy jak ubranie, kolor odzieży mają swoje znaczenie. Powstało wiele książek napisanych przez psychologów na temat znaczenia np. barw. Mąż powinien zapytać od czasu do czasu żony: czy np. ten krawat ci się podoba, a jeżeli nie, to skłonny jestem go odrzucić. Podobnie fryzury – to też mikroelementy.

Bardzo powoli narasta piramida uprzedzeń, zadrążeń i w pewnym momencie wybuchu. Jesteśmy już we dwoje z Bogiem i ze sobą na zawsze związani, tutaj nie będziemy zatem ukrywali naszych wad. Chcę być więcej niż jestem, pisał Camus. Chcieć być więcej. Także później, nie można mówić „moja” córka czy „mój” syn, „moje” dzieci, czy „moje” meble, dom, „ja” to zrobiłem. Nie „moje”, „twoje”, lecz to wszystko „nasze”, razem to zrobiliśmy.

Może powiecie: cóż w takiej uroczystej chwili taka homilia, jak dla dzieci. Ale to ostrzeżenie, żebyśmy nie sądzili, że jesteśmy ponad wszystkie pouczenia, ponad tym wszystkim, że z tego już wyszliśmy. Bardzo byśmy się mylili. Nie ma ludzi bezgrzesznych, nie ma ludzi bez winy.

Św. Jan mówił, że jeżeli ktoś twierdzi, że jest bez winy, kłamcą jest. Albert Camus pisał, że jeżeli ktoś mówi, że jest niewinny, to on boi się tego człowieka. Ja też się boję. Przyszedł do mnie z pewnymi wewnętrznymi problemami człowiek. Wysłuchałem go, a potem zapytałem, jakie winy w sobie zauważył, bo z jego relacji wynikało, że tylko przełożeni go prześladowają, a on jest niewinny. Odsunąłem się od niego i powiedziałem: Boję się ciebie, naprawdę.

Zakończymy te rozważania słowami „Deo gratias”. Bogu niech będą dzięki. I tym słowem Henryka Sienkiewicza z „Rodziny Połanieckich”: Małżeństwo to służba Boża, a szczęście to podarek Boży. Szczęścia nie można wydrzeć z piersi żony ani z piersi męża. Szczęścia nie można wydrzeć ani ziemi, ani Niebu, bo to podarek Boży. Na ten podarek trzeba zasłużyć. Wy o tym wiecie, ale tak na wszelki wypadek o tym mówię.

Czego, drodzy przyjaciele, Wam życzyć? Tego szczęścia. Nie jesteście nastolatkami i wiecie, że

nie ma pełnego szczęścia na tym świecie, i wie-
cie też, co trzeba czynić, aby ukształtować siebie,
wielką osobowość chrześcijańską, żeby przeżyć
choć odrobinę szczęścia na tym brudnym, sza-
rym, często strasznym świecie. Żebyście osiągnęli
pełnię!

*Homilia wygłoszona na ślubie
Alicji i Zbigniewa Kosteckich,
Wrocław, 19 października 1991.*

PEŁNIA MIŁOŚCI

Istnieje pokusa dla duszpasterza, aby w refleksji nad Ewangelią sięgać w zawile głębie albo unieść myśli gdzieś ponad szczyty, gdzie spotkaliście się z faktem miłości i sakramentem małżeństwa.

Istnieje też pokusa, by wiele spraw, problemów, przemyśleń, wielkich słów wam w tej chwili przekazać. Ale tę pokusę trzeba usunąć, nie czas na to. Wiele bowiem już usłyszeliście, wiele przeczytaliście, przemyśleliście, a nawet niektóre prawdy i niektóre wartości już skonfrontowaliście z życiem.

Jezus w przed chwilą przeczytanej Ewangelii ukazał nam źródło tego, co stanowi szczęście małżeństwa i człowieka w ogóle. Pozostają nam życzenia najlepsze, najserdeczniejsze – aż strach wypowiedzieć te słowa – szczęścia w możliwie najpełniejszym znaczeniu. Ale znów – nie jesteście naiwni, a więc wiecie, że nie tego sielankowego.

Na tym świecie nie ma szczęścia pełnego. Czy te nasze życzenia to nie puste słowa? Czy to nie fikcja?

Mówi się o tym, że nie ma szczęśliwych małżeństw, że nawet nie ma dobranych małżeństw. Doktor Sujak podkreśla wciąż, że małżeństwa właściwie dobierają się w ciągu lat życia i współżycia. To wszystko, co małżeństwo niesie, to właściwie bardziej zadane wartości niż wartości dane. Píše też o rozczarowaniach, które przynosi małżeństwo.

Ktoś może nie mieć rozczarowań powierzchniowych, ale rozczarowania głębinowe zawsze są i was czekają.

Co tu mam na myśli? Miłość małżeńska obiecuje sobie w wyobraźni pełnię miłości, że tam będą zaspokojone najgłębsze pragnienia serca ludzkiego. Niestety, życie to rozczarowanie najgłębsze właśnie dla głębokich, wrażliwych ludzi.

Uświadomcie sobie wy, którzy już wstapiliście w związki małżeńskie, że wtedy gdy już się wydawało – przy pełnym oddaniu, przy pełnej miłości ludzkiej, a więc miłości ducha i ciała – że już nasycacie się, że już nie będziecie więcej pragnęli, tymczasem obserwujecie otchłań. Znów ogarniacie rękoma, ramionami to szczęście i widzicie, co się stało – to nie nasyciło serca – jesteście nadal spragnieni, głodni... Gdzież tu mowa o pełni szczęścia?

Ale tutaj można znaleźć ślad mądrości Boga, który jest Miłością. Tą drogą nienasycenia możemy zapragnąć jeszcze więcej, jeszcze głębiej Tego, który jest prawdziwą Miłością. W tej miłości czysto ludzkiej odkrywamy – pod nią i nad nią – absolutną Miłość. Wnioskujemy, jeżeli moje serce nie da się niczym nasycić, to znaczy, że gdzieś istnieje pełnia miłości.

Wyraża to znany aforyzm: „Stworzyłeś mnie Boże dla siebie i niespokojne jest serce moje, aż nie spocznie w Tobie”. Właśnie św. Augustyn od dzieciństwa otwierał swoje ramiona i starał się wszystko przyciągnąć ku sobie, ażeby spełnić to pragnienie, to nienasycenie serca. Kosztował różnych owoców tego świata, im bardziej szukał, im bardziej przyciągał do siebie, wszystko wywoływało frustrację. Aż doszedł do wniosku, że musi być poza tymi rozczarowaniami pełnia miłości

– „niespokojne jest serce moje, aż nie spocznie w Tobie”.

Widzimy, że dopiero gdy w Bogu się zanurzę, przebrnę poprzez zawiesiny tej ludzkiej, uboższej miłości. Jezus przypomina w spotkaniu z Samarytanką, że On jest źródłem wody żywej, która ugasi w pełni pragnienie.

A woda – te wartości, które spotykamy w życiu, nie zaspokoją naszego pragnienia. Poprzez frustracje, rozczarowania Pan przygarnia człowieka ku sobie, daje mu możliwość osiągnięcia pełni miłości.

Dla prostych, spłaszczonych ludzi takie rozumienie świętości jest trudne – budzi zazdrość: „On więcej kocha Pana Boga niż mnie”; „Ona więcej kocha Pana Boga niż mnie”. Zazdrość o Chrystusa... Przypomnijcie sobie tę narzeczoną, która w liście do swojego lotnika napisała, że wciąż modli się do Boga i wciąż pogłębia swoją miłość do Chrystusa. A on na to odpowiedział: „To ona kocha bardziej Chrystusa niż mnie!”. Ona mu odpowiedziała: „Najdroższy, nie kochałabym cię tak bardzo, jak cię kocham, gdybym ponad ciebie nie kochała Boga”.

Właśnie tego szczęścia, tej drogi ku szczęściu przez realizację miłości, drogi przez miłość, z całego serca wam życzę. A ponieważ nasze życzenia są słabe jak liście na wietrze, jak pyłki miotane przez podmuchy, toteż zanurzamy je w głąb, w Chrystusa. Tylko On jest zdolny urzeczywistnić nasze pragnienia i nasze życzenia.

*Homilia wygłoszona na ślubie
Marii i Jana Oszmiańskich,
Wrocław, 27 czerwca 1981.*

STAWAJCIE SIĘ GODNI MIŁOŚCI

Najtrudniej jest mówić o rzeczach wielkich i największych, a jesteśmy w kręgu spraw bardzo wielkich. Święty Paweł powiedział: Małżeństwo – sakrament to wielki w Jezusie Chrystusie. I to jest oczywiście pełna prawda, sakrament to wielki, wielka, bogata w treść tajemnica.

I trudno jest mówić, wyrażać swoje myśli, refleksje wobec ludzi bardzo bliskich. A wy, drodzy, byliście i jesteście bardzo bliscy nam, duszpaste-rzom, i wszystkim tu obecnym, naszemu środowisku, naszemu ognisku. Byliście i jesteście bliscy, bo wrosliście w to środowisko, bo byliście nie na peryferiach, tylko w centrum naszych zadań, prac, uczuć, przeżyć, niepokojów i radości. Bo wnieśliście nie tylko coś z siebie, ale siebie. Mówię to bez przesady. Byliście na ogół tam, gdzie byliście najbardziej potrzebni, i wtedy, gdy byliście najbardziej potrzebni. I byliście wierni słowu. A na tych wartościach buduje się tkanka organiczna (nie organizowana, tylko organiczna) wspólnoty.

Ale skierujmy jeszcze raz do Was te słowa, które Jezus przed chwilą Wam powiedział: Trwajcie w miłości, wytrwajcie w miłości. Właściwie wszystkich nas tutaj łączy jedna główna myśl, główna troska, główne pragnienie – żebyście byli szczęśliwi na miarę naszych ludzkich możliwości. Ale gdy mówimy „bądźcie szczęśliwi”, mówimy tym samym: trwajcie w miłości, wytrwajcie w miłości, zachowajcie miłość, bo miłość to druga stro-

na medalu szczęścia, a raczej szczęście jest drugą stroną medalu miłości. Nie ma żadnego szczęścia poza miłością. Toteż wszyscy życzymy Wam dzisiaj i modlimy się o to, żebyście zachowali miłość, a tym samym, żebyście mieli udział w szczęściu. Jak ją zachować?

Kochani, dużo na ten temat mówiliśmy, rozprawialiśmy, dyskutowaliśmy i czytaliśmy. Ale właśnie dzisiaj, w tym szczytowym momencie Waszego życia, a przynajmniej na jego przełomie, warto przypomnieć jeszcze raz: aby zachować wszystkie wartości moralne, a szczególnie miłość, trzeba koniecznie zdobywać je na nowo. Zawsze przy tym przypomina mi się uwaga młodego, może mało znanego nam, katolickiego poety Jerzego Lieberta: „Jedno wiem i żadnych objawień nie potrzeba moim oczom i uszom, dokonawszy wyboru na zawsze, co dzień wybierać muszę”. Co dzień, a nawet więcej niż co dzień, co godzinę i co chwilę – wybierać, afirmować, rozwijać, zdobywać na nowo. To jest podstawowe prawo zachowania wszystkich wartości moralnych, a przede wszystkim miłości.

Żeby zachować miłość, kochani, trzeba i studiować ją. Niemało poświęciliśmy czasu na studium miłości. Ale ci, którzy brali w tym udział, a więc i wy, wiedzą, jaka to bogata kraina, ile tam wspaniałych krajobrazów, wspaniałych widoków, ile tam przygód, ale też ile i niebezpiecznych pułapek, złudzeń, urwisk, jarów mrocznych i ciemnych, nie mówiąc o pieczarach.

Tak, trzeba studiować miłość, trzeba odkrywać na nowo pewne jej aspekty w klimacie szczerości i samokrytycyzmu. Warto studiować ją z książek, ale też trzeba ją studiować we własnym życiu. Studiować i obserwować swoje reakcje i reakcje drugiego człowieka, i tego trzeciego, i może jesz-

cze czwartego i piątego. Żeby zachować miłość, drodzy, trzeba tworzyć klimat wolności. Miłość to taki ptak, który żyje tylko w krainie wolności. Gdy przyjdzie jakiś nacisk czy jakieś rozkazywanie, narzucanie, gdzie wkradnie się nawet jakieś natręctwo albo jakiś szantaż – miłość ucieka, a przynajmniej zuboży się i gaśnie klimat wolności, tej małżeńskiej. Wolność ukazuje, objawia wartości, proponuje, zapewnia, ale nigdy nie przynagla.

Żeby ukazać wartości, trzeba oczywiście je realizować, trzeba je urzeczywistniać w sobie, trzeba stawać się coraz ciekawszym, głębszym i lepszym, trzeba się stawać godnym miłości. Doktor Alexis Carrel ma rację.

My, duszpasterze, jesteśmy również winni – wciąż mówimy: kochajcie bliźniego, kochajcie tego czy innego człowieka, ale rzadko mówimy: ludzie, stawajcie się coraz bardziej godni miłości, wyzwalajcie w sobie te wartości, na które miłość jest wrażliwa i którymi się odżywia i karmi.

Otóż i do Was idzie to wezwanie: stawajcie się godni miłości! Wtedy, w tym klimacie wolności to drugie serce, ta druga wola, te drugie oczy ducha docenią te wartości, wcześniej czy później będą ją przeżywały, jednoczyły ją.

Przyjaciele drodzy, wiele razy przypominaliśmy, a dzisiaj warto znów przypomnieć na tym zakręcie waszego życia i waszego losu, że miłość to jest dawanie siebie, jak mówi Fromm. A my, jako chrześcijanie, nie wahamy się mówić, że to jest ofiara, to ciągle wyrzekanie się czegoś, to dawanie czegoś z siebie, co we mnie żywe, co mnie nawet boli, co mnie obchodzi. Dawanie z siebie – aż dojdziemy do dawania całych siebie bez ograniczeń. Ogranicza tylko hierarchia wartości i czerwona demarkacyjna linia grzechu. Poza te linie nie wy-

chodzimy, ale w ich ramach dajemy siebie drugiemu człowiekowi.

Dając coś z siebie powinniśmy pamiętać o mikroelementach, o tak zwanych drobiazgach. Jesteśmy skłonni do bohaterskich czynów, do rzucańcia siebie na stos, a tymczasem miłość na co dzień karmi się właśnie tymi drobiazgami, tymi mikroelementami i z nich powstaje tkanka codziennej miłości. A więc nie jest to sprawa błaha, jak ułożysz swoje włosy, jaki krawat zaciągniesz, w jakim kolorze suknię ubierzesz.

Starajmy się zawsze wychodzić na spotkanie tego drugiego człowieka, żeby on się cieszył, żeby był zadowolony. Intencjonalność gra tu mocną rolę, nie waga materialna tej sprawy, tylko intencjonalność. Ilekroć o tym mówię, przypomina mi się wciąż Syców, gdzie spędziłem pierwszy rok pobytu na Dolnym Śląsku jako duszpasterz. Pamiętam, przychodzi mama i mówi: „Proszę księdza, wrzuciłam się do łez, bo moja malutka Justynka przynosi coś w papierku: Mamusiu, to dla Ciebie. Mamusia rozwija papierek i widzi jedną poziomkę. Dziecko się uśmiecha: – Mamusiu, to jest pierwsza poziomka, jaką znalazłam, i pierwszą przyniosłam dla ciebie”. Mamusia się wrzuciła do łez. Poziomka to mała wartość materialna, ale intencja tego dziecka to coś wielkiego.

Otóż jeżeli ta intencjonalność, najlepsze intencje, przenikną w nasze mikroelementy, to z tego powstaje szata, więcej niż szata, właściwie organizm miłości.

Przyjaciele drodzy, dużo by na ten temat mówić, ale byśmy przecież zubożyli na samym początku to rozważanie, gdybyśmy nie przypomnieli, że przecież absolutnym, pełnym źródłem miłości, jest On sam, któremu na drugie imię Miłość.

I tam jest źródło miłości, jej kryteria, granice i drogowskazy.

Bo przypomnijmy, możemy tam się uczyć ludzkiej miłości, ale możemy w niej dokonać zbrodni, możemy podnieść ją do takich granic, że ta miłość ludzka stanie się demonem. Przypominaliśmy słowa Lewisa, autora „Czterech miłości”: „Gdy miłość staje się bogiem, staje się demonem”. Niszczy samą siebie i niszczy swoje otoczenie.

Otóż miłość ludzka nie może stać się bogiem. Tylko wtedy będzie tętniła, pulsowała i rozwijała się, kiedy będzie włączona w to niewyczerpalne źródło, w otchłań Miłości. Jakże słusznie Mickiewicz zironizował tych, którzy uważają, że można się oderwać od tamtego źródła i można godziwie w pełni żyć i kochać: „Mówisz – niech sobie ludzie nie kochają Boga, byleby im była cnota i ojczyzna droga. Rzekł głupi, niech sobie źródło wyschnie w górach, byleby mi płynęła woda w miejskich rurach”.

Przyjaciele drodzy, wiecie, jak wielu spośród ochrzczonych, spośród tych, którzy zawierali nawet związek małżeński w ramach Mszy świętej, potem rzuca się drapieżnie i eksploatuje to źródło miłości zaszczipione przez Boga w człowieku. Eksploatuje tę miłość ludzką rabunkową gospodarką, nie mając więzi albo przerywając więź, przecinając kanały łączące ze źródłem Miłości. Wiemy, do czego wtedy dochodzi. Po takich czułych spojrzeniach, pocałunkach, uroczystościach, często zamiast ogniska – popielisko albo „kłębowisko żmij”, mówiąc językiem Mauriaca. Takie rzeczy się dzieją, bo się odrywają i eksploatują drapieżnie nawzajem, a tego nie można wydrzeć ani ziemi, ani niebu. Trzeba sobie wzajemnie służyć.

Tu mi się przypomina znów, ilekroć uczestniczę w takich uroczystościach jak dzisiejsza, jakże

trafna uwaga Henryka Sienkiewicza: Małżeństwo to służba Boża, a szczęście to podarek Boży. To przede wszystkim realizacja miłości do Boga, żeby nie powiedzieć wielkiego słowa, które może aż przerażać, to jest dążenie do świętości, do pełnej realizacji miłości. Szczęścia nie można wydrzeć ani ziemi, ani Niebu. Nie można go wydrzeć ani z piersi męża, ani z piersi żony. Tylko to jest droga, jedyna droga, do otrzymania tego daru jako owocu tej bardzo trudnej służby. Przyjaciele drodzy, tego Wam życzymy.

O to się modlimy, żebyście przez rzetelną służbę Bogu, przez życie nie po swojemu – tylko po Bożemu – znaleźli, otrzymali ten podarek szczęścia i żebyście tą zrealizowaną, wielką miłością opromieniali swoje najbliższe otoczenie i tych wszystkich, którzy się z Wami zetkną. Żebyście byli pryzmatami, przez które przenikać będzie Boska jasność, Boska prawda, Boża, uszczęśliwiająca miłość.

*Homilia wygłoszona na ślubie
Ludmiły i Władysława Puzanowskich,
Wrocław, 19 czerwca 1976.*

**MATKA BOŻA
I ŚWIĘCI**

KRÓLOWA POLSKI

Jesteśmy w najświętszym sanktuarium naszego kraju, na szczycie i w centrum duchowym naszej historii. Tędy dęły wiatry i wichry sześciu wieków. Tutaj na kamieniach zapisały się kroniki przeżyć niezliczonych pielgrzymów.

Tutaj wypowiadali nasi przodkowie przez więcej niż sześć pokoleń swoje radości, a najczęściej swoje osobiste i narodowe cierpienia. Tutaj znajdowali otuchę i odzyskiwali nadzieję „wbrew nadziei” dawni i współcześni rodacy. Stąd często wracali uzdrowieni na ciele, a jeszcze częściej na duszy.

Gdy przemierzaliście ostatnie przestrzenie dzielące was od cudownej kaplicy, czy uświadamialiście sobie, że stąpaliście po drogocennych kamieniach, droższych od marmurów, jaspisów i szmaragdów, bo obmytych łzami, a wyszlifowanych stopami, a nawet kolanami, naszych projców i pramatek, rolników, robotników i kapłanów, naszych poetów, książąt i królów?

Tutaj, gdy się wyciszycie, usłyszycie stapanie pierwszego króla Obojga Narodów, który przybył ze swoją rodziną na ekspiację po zbezczeszczeniu Obrazu przez złoczyńców w roku 1430.

Tutaj usłyszycie chrzęst pancerzy i brzęk ostróg króla Jana III Sobieskiego i jego uskrzydlnych husarzy podążających pod Wiedeń.

Tutaj możecie usłyszeć nagrane na kamieniach i ceglach łuki i wybuchy granatów oblegających

Jasną Górę szwedzkich napastników w Adwencie i w uroczystość Bożego Narodzenia 1655 roku.

Tutaj usłyszycie modlitwę Namiestnika Chrystusowego, naszego rodaka, który klęczał na początku czerwca 1979 roku przed wizerunkiem Królowej Polski.

Tutaj, z milionami rodaków, wypraszał dla siebie i dla narodu światła i moce nasz nieodżałowanej pamięci Prymas Tysiąclecia. Tutaj rodziły się i krystalizowały światłe i odważne myśli, idee naszych braci robotników niezapomnianego wielkiego Sierpnia. Jednym słowem: tutaj mówią wieki, wołają kamienie.

Tutaj naprawdę znajdujemy się w najświętszym miejscu Ojczyzny, w sanktuarium najcenniejszych i wciąż żywych nurtów modlitw, myśli – w skarbnicy najcenniejszych wartości Boskich, ludzkich i narodowych. Mówią także o tym promieniujące pięknem ziemskim i nadziemskim niezliczone wota na ołtarzach i ścianach tej świątyni.

Ale najważniejsze i najradośniejsze jest to, że znajdujemy się w domu naszej kochającej Matki i pragnącej naszego szczęścia Królowej – w roku jej Wielkiego Jubileuszu.

A więc ta ziemia, na której stoimy, te mury, w których się znajdujemy, są naprawdę piękne. Niech je uszanują wasze zmęczone stopy, niech uczczą wasze serca, niech dyskretnie pocałują wasze usta...

A teraz drugie pytanie: Po cóście tu przybyli? Z pewnością nie w jednym celu i nie z jedną intencją. Na pierwszy plan cisną się błagania i prośby, bo polskie niebo zasnęło się ciemnymi chmurami. Znów jesteśmy na niebezpiecznym wirażu historii. Odsuńmy jednak dzisiaj żale i prośby na drugi plan. Bo w tym dniu obchodzimy radosny Jubi-

leusz naszej Królowej w Jej ziemskiej rezydencji. Dziś składamy Ci, o Matko-Królowo, hołd i dziękczynienie za te błogosławione 600 lat obecności na tej Jasnej Górze i w naszym narodzie w wizerunku „Czarnej Madonny”. Dzięki Ci składamy za wszystkie spostrzeżone i niedostrzeżone gołym okiem dary i łaski przekazane niezliczonym pielgrzymom i naszej Ojczyźnie.

Drogi nasz Ojciec święty w liście na rozpoczęcie tego Jubileuszu napisał do nas: „Żadna historia, jaką z pomocą ludzkich środków moglibyśmy napisać, nie ogarnie tej treści, którą zna tylko sam Bóg i Bogurodzica.

W okresie, w którym narodem polskim przestali rządzić królowie polscy, świadomość, że Pani z Jasnej Góry została proklamowana przez jednego z nich Królową Polski, pomagała przetrwać narodowi w poczuciu jego własnej suwerenności”.

Oto są główne motywy naszego jubileuszowego dziękczynienia... Królowo-Matko, ale nie bierz nam za złe, że i w tym wielkim dniu dziękczynienia złożymy u Twych stóp różaniec nowych błagań i prośb, gdyż „my już bez skargi nie znamy śpiewu, wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń”.

Toteż modlimy się o dary osobiste i prywatne, lecz przede wszystkim o nowe pomoce i łaski dla narodu i Ojczyzny, która znajduje się znów w niebezpieczeństwie. Modlimy się, wspierając nasze serdeczne słowa ofiarą naszych pielgrzymich trudów, pokutą i czuwaniem, o dobrą wolę, o mądra i odważną odpowiedzialność dla rządzących, o ludzkie i polskie serca dla wykonujących rozkazy, o to, by Polak nie bił Polaka ani kamieniem, ani też pałką, ani pięścią, ani żadnym raniącym czy zabijającym narzędziem, by nikt nikogo nie torturował ani fizycznie, ani moralnie. Modlimy

się za nasze siostry i braci pozbawionych wolności i dlatego nieobecnych wśród nas. Ale modlimy się także o rozsądek, cierpliwość i wierność zasadom Ewangelii dla wszystkich obywateli naszego kraju. Modlimy się, zgodnie z wezwaniami naszego Księdza Prymasa i Episkopatu, o wyciszenie i wygaszenie ognisk trującej nieufności, wrogości i nienawiści – tędy bowiem prowadzi droga do pojednania i ugody społecznej.

Ale przybyliśmy tutaj i po to, by przy zasnutych chmurami gwiazdach odnaleźć jedną orientację naszego działania, aby otrzymać od naszej Królowej niejako dyrektywy i instrukcje, co mamy czynić obok żarliwej modlitwy. Pytamy pokornie: Królowo-Matko, co mamy czynić? Odpowiadasz nam nie po raz pierwszy, bo skłonni jesteśmy twojej odpowiedzi zapominać za programi modlitw i świątyń: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie” (J 2,5).

A Jezus mówi jednoznacznie ze wszystkich kart Ewangelii: Trzeba nie tylko się modlić, lecz działać, trzeba walczyć o prawdę i dobro, o sprawiedliwość i wolność, o godność człowieka i jego niezbywalne prawa i wszystkie szczytne ideały Boskie i ludzkie, jako że wiara bez uczynków martwa jest (Jk 2,26). Ale w tej walce nie wolno posługiwać się bronią zła: bronią pogardy, odwetu, nienawiści. Jezus przez swego Apostoła wzywa: „Nie daj się zwyciężać złu, lecz zło dobrem zwyciężaj” (Rz 12,22), dobrym sercem, dobrym słowem, dobrym czynem. „Módlcie się za tych, którzy was prześladują” (Mt 5,44) – mówi dalej Zbawiciel.

Czy to nie niebiańska utopia, torująca drogę panowaniu zła? Nie, ze wszelkich miar – nie! Wprawdzie zasad Ewangelii nie da się sprawdzić na krótkiej i powierzchownej fali, one prowadzą

do wieczności i w niewymierne otchłanie ludzkiej egzystencji, ale hasło „zwyciężaj zło dobrem” weryfikuje się nawet w polu naszego widzenia – w życiu jednostek i społeczeństw. Przecież pod tym ewangelicznym hasłem odniósł zwycięstwo Gandhi. Przecież siłą ewangelicznej miłości-aga-pe walczył o przyznanie ludzkich praw swoim czarnym rodakom Martin King. Przecież naoczną lekcję siły tego hasła stanowią również młode dzieje naszego Sierpnia. Gdyby robotnicy Wybrzeża wyszli na ulice pod sztandarem „walki klas”, gdyby chwycili za morderczą broń z żelaza, nasz kraj spłynąłby potokami bratniej krwi, a naród zatruliby się jadem nienawiści. Ale dzięki temu, że pierwsze szeregi robotników zbuntowanych przeciwko panoszącemu się złu stanęły pod sztandarem Krzyża i Królowej Polski, ponieważ wielu przyjęło krzyże ofiary na swoje barki, włącznie do utraty wolności i życia – nie wzywając pomsty i odwetu – uniknęliśmy chyba czegoś najgorszego. A nawet wyzwolone zostały trwałe wartości moralne i społeczne, które wejda w krwiobieg naszej kultury i życia społecznego. Te wartości są dostrzegalne gołym okiem, a ich owocowanie nie jest zakończone.

A więc nie ma obiektywnych podstaw na tej płaszczyźnie do frustracji, prostracji i nihilizmu albo do kwestionowania zasad Ewangelii. A jeżeli tym zasadom, w imię wezwania naszej Królowej, będziemy nadal wierni, z pewnością Matka-Królowa nie zaniecha swego wstawiennictwa u Boskiego Syna i uprosi dla nas i dla naszej Ojczyzny nowe źródle łask i pozwoli wydobyć się nam ze szlamu bagnistej rzeczywistości i wyciągnąć z niej jeszcze niejedną drogocenną perłę dla naszej kultury duchowej.

I taka metoda walki, z taką pomocą, zapewnia jedynie długofalowe i radykalne zwycięstwa dobra, prawdy i miłości, stanowiące podstawy królestwa Bożego i królestwa Maryi.

Tak, mamy prawo i obowiązek walczyć ze złem, w jego różnych postaciach. Mamy prawo domagać się nieustraszenie od rządzących poszanowania godności człowieka i jego niezbywalnych praw: wolności przekonań, uwolnienia obywateli pozbawionych wolności, naprawienia wyrządzonych krzywd.

Ale jako chrześcijanie mamy wezwanie do jeszcze radykalniejszej walki z ciemnymi siłami, które od wewnątrz zatruwają, kaleczą i zabijają istotną substancję człowieka i społeczeństwa – jego ducha: to nasze wady i grzechy. „Bo narodu duch zatruty – to dopiero bólów ból” – pisał Juliusz Słowacki.

I ta walka nie musi się wyrażać akcjami zewnętrznymi, ona raczej powinna toczyć się w interiorze naszych osobowości i wspólnot – tam, gdzie tworzy się substruktura moralności indywidualnej i etos narodu, na obszarze, gdzie powinniśmy być wolni i suwerenni w każdych okolicznościach, gdzie sprawują władzę Bóg, nasza Królowa i nasze sumienie, dokąd żadnej innej władzy dopuścić nie wolno.

I tej suwerenności ducha i sumienia trzeba dzisiaj strzec jak źrenicy oka. Tutaj bowiem powstaje największe zagrożenie. I na tym obszarze moralności masa pilnej, istotnej i zaniedbanej roboty. Albowiem nasze osobiste i społeczne wady, z którymi walkę tyle razy ślubowaliśmy Królowej Polski, zamiast ustępować w atmosferze frustracji, zdają się aktywizować i poszerzać także na terenie życia studentów: alkoholizm, rozwiązłość.

Rozszerzają się: nieufność, donosicielstwo i lenistwo. Doszły do nas ponure wiadomości, że w domach studenckich, nawet w Wielkim Tygodniu, urządzano alkoholowe libacje, a bezwstyd tak cynicznie zadomawia się w niektórych pomieszczeniach, że ich współmieszkańcy ledwie nie mówią: „Przepraszam, że przeszkadzam”.

To naprawdę „bólów ból”, że w życiu nawet dziewcząt, tak blisko przez płęć spokrewnionych z Niepokalaną, tak mało ceni się czystość, którą Ona była obleczona. A przecież na tym obszarze młodzież może najpełniej wyrazić swoją cześć i nabożeństwo do Bożej Rodzicielki.

Młodzież katolicka powinna nawet innym wskazywać, że czystość stanowi uwarunkowanie prawdziwej miłości, która stanowi fundament małżeństwa i rodziny. Nad wyraz to bolesne wobec bogactwa zewnętrznego kultu Bogurodzicy, że zbyt wiele młodzieży akademickiej poprzedza sakrament małżeństwa grzechami cudzołóstwa, czyli nielegalnego współżycia.

Może ktoś z was mieć wątpliwość, czy warto te sprawy odkrywać w dniu Jubileuszu naszej Królowej i w tak zachmurzonych okolicznościach społecznych. Rzeczywiście, obnażanie ran w ogóle nie należy do radości duszpasterzy, ale odpowiedzialni duszpasterze, pamiętając wezwanie św. Pawła: „Nastawaj w porę i nie w porę” (2Tm 4,2), nie mogą znieczulać sumień ludzkich tylko pochwałami, nie mogą zerwać z tradycją wielkich proroków, którzy, aczkolwiek w bólu i z bólem, obnażali rany, aby je uleczyć. Nie mogą szukać poklasku słuchaczy, nie mogą pocieszać banalnymi obietnicami, że wszystko Królowa Polski wybaczy i załatwi, że wszystko będzie po naszej myśli. A duszpasterze muszą mówić z całą mocą, że wszystko musi być

według myśli i woli Boga, i naszej mądrej, dobrej i możnej Królowej, której winniśmy bezgranicznie zaufać, okazując Jej i Jej Boskiemu Synowi bezwarunkowe posłuszeństwo. I tylko na tej drodze możemy widzieć odrodzenie i cudowną pomoc naszej Królowej.

Może też ktoś z was powiedzieć: Co my zrobimy – przecież w tej, nawet dużej, rzeszy stanowimy w Polsce tylko niewielki odsetek młodzieży studiującej?

Na to usłyszymy odpowiedź Chrystusa: „Wy jesteście solą ziemi i światłością świata” (Mt 5,13-14). Jeżeli obleciecie się w żywą wiarę, w niezłomną nadzieję, jeżeli pozwolicie się napromieniować darami Ducha Świętego: mądrością, roztropnością, męstwem i miłością, jeżeli będziecie dalecy od postawy „przepraszam, że wierzę”, „przepraszam, że przeszkadzam”, dokonacie większych dzieł aniżeli zamierzacie. Wyzwolicie siebie i nowe ruchy, i nowe, nawet jeszcze nie przeczuwane procesy, wiodące do lepszego jutra naszego wspólnego królestwa i szczęśliwego pojutrze niewymiernego losu każdego jego obywatela.

Strzeżcie się natomiast byle jakich proroków i przywódców. Nie dajcie się sprowokować do nierozsądnych i niewangelicznych czynów. To też wasze zadanie. Musicie bez utraty suwerenności wewnętrznej zakończyć studia, bez względu na to, jak potoczą się losy naszego kraju. Potrzebni bowiem będziecie dla Kościoła i Polski jutra.

Oto są instrukcje i dyrektywy naszej Jubileuszowej Królowej na nasze obecne, pełne niepokoju i bólu czasy, na dni naszego życia i działania. Jeżeli zaraz włączymy te nasze postanowienia i ślubowania w nasze powszednie życie, tym samym złożymy Jej najpiękniejsze dziękczynienie i hołd

jubileuszowy ponad wszystkie najpiękniejsze kwiaty i słowa.

Ale w lęku, by te ślubowania nie stały się jeszcze jednym pakietem makulatury, jakich niemało złożyliśmy na tej Jasnej Górze, z głęboką pokorą już teraz, u progu dalszych spotkań z Tobą, prosimy i błagamy, aby Jezus za Twoim wstawiennictwem mętną wodę naszej słabej woli przemienił w trwałą siłę naszej modlitwy i działania, w wyborne wino radości płynącej ze świadomości, że jesteśmy na dobrej drodze, że walczymy o dobre cele, że posługujemy się dobrą, moralną i skuteczną bronią, zapewniającą autentyczne i totalne zwycięstwo. Jednym słowem, że spełniamy Twoje nieomyłne instrukcje, wyrażające wolę Twego Syna i Jego Ojca.

A taka postawa upoważnia nas bez zbędnych prorocत्व do wielkiej nadziei i do oczekiwania nowych cudów, ale w kształcie i godzinie, które określi On sam – Syn Przedwiecznego, Najwyższego i Wszechpotężnego, którego nasza Królowa była pokorną służebnicą.

Jasna Góra, 8 maja 1982.

KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

Już po raz czterdziesty szósty katolicka młodzież akademicka naszego kraju zbiera się w początkach maja na Jasnej Górze, w domu Matki i Królowej, aby podziękować za wszystkie dary Jej serca, aby prosić o dalszą opiekę, aby przeprowadzić generalny rachunek sumienia z grzechów i niewykorzystanych łask, aby oczyścić swoje dusze, aby otrzymać od Niej „wytyczne”, instrukcje i plany do dalszej, pełniejszej służby Bogu, ludziom i Ojczyźnie, aby nabrać sił do ich wykonywania w codziennym życiu.

Dzisiaj zgromadziliśmy się tutaj w nastroju wyjątkowo radosnym. Źródła jej i powody są nam dobrze znane, bo uświadamiane i przeżywane przez każdego Polaka.

Nie pozwólmy jednak zapomnieć, że głównym źródłem optymizmu i radości dla chrześcijan jest ta kulminacyjna „dobra nowina”, że Chrystus zmartwychwstał, przewyciężając największe potęgi panujące nad światem – potęgę grzechu i śmierci. Jezus żyje i otwiera bramy pełni życia dla wierzących w Niego. „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara” (1Kor 15,14). Jakże to krytyczne, realistyczne i prawdziwe stwierdzenie św. Pawła!

I tylko dzięki powiązaniu swojego ducha i losu ze Zmartwychwstałym, będziemy mogli wejść do Kraju, gdzie nie będzie łez, lęku, cierpień, gdzie

nas ogarnie niewyrażalna i niewyobrażalna radość bez kresu: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jakie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1Kor 2,9).

A jeszcze radośniejsze jest to, że co Chrystus nam wysłużył i przeznaczył poza horyzontem tego świata, już w dużej i sprawdzalnej mierze spełniło się w życiu jednostek i narodów na tym świecie. I na ziemi wszystko, co pochodzi od Boga, co jest związane ze Zmartwychwstałym, zdradza swoją niezniszczalność i nieśmiertelność. Takie cechy ujawnia każde „Słowo, które było u Boga”, tzn. od Boga pochodzi. I takie Słowo staje się Ciałem – rzeczywistością, wciela się w życie jednostek i narodów.

Jest to odblask tej pierwotnej i fundamentalnej prawdy, którą św. Jan Apostoł ujął w znane nam słowa: „Na początku było Słowo, (...) a Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami” (por. J 1,1nn).

Gdy zanurzymy się w tajemnice naszego indywidualnego życia, a zwłaszcza gdy uważnie, szeroko i głęboko wejrzymy w nurty historii narodów i naszego narodu, odkrywamy tam przedziwne fenomeny i uderzające wydarzenia.

Oto gdzieś tam wśród mroków, wśród terrorem wymuszonej ciszy albo wśród zgiełku kłamstw i przemocy daje się słyszeć cichy głos Konstytucji 3. Maja. W świetle ówczesnych stosunków społecznych, dostatecznie sprawiedliwa i otwarta na dalsze doskonalenie rządów narodem, była owocem troski i miłości Ojczyzny najświetlejszych umysłów i serc czasu ostatniego króla Polski. Była wyrazem dążeń do ukrócenia samowoli, warcholstwa, prywaty, sprzedajności i egoizmu klasowego

znacznej części magnaterii i uzależnionej od niej biedoty szlacheckiej. Była wysiłkiem ku zachowaniu suwerenności Polski, choć już okrojonej w I rozbiórce.

Toteż, po podpisaniu i zaprzysiężeniu Konstytucji, zwolennicy naprawy Rzeczypospolitej, w porywie entuzjazmu, zanieśli króla Stanisława na ramionach do katedry warszawskiej. Kraj brała w posiadanie radość i duma z dokonanego dzieła odnowy.

W Europie wszystkie światłe umysły rządców, dyplomatów i pisarzy chórem niezliczonych pochwał przyjęły wieść o pokojowym, bez rozlewu krwi zrywie Polaków ku odrodzeniu. Polska na pewien czas stała się bohaterem numer jeden cywilizowanego świata. Nawet sąsiedni wrogowie odrodzenia Polski nie śmieli początkowo kwestionować słuszności tego dokumentu.

Ale już wtedy zostało wypowiedziane złowrogie słowo wiecznej negacji, kłamstwa, niesprawiedliwości i nienawiści. Caryca Katarzyna, w zмовie z królem pruskim, postanowiła nie dopuścić do uzdrowienia organizmu Polskiej Rzeczypospolitej. Zdrowa, silna, tolerancyjna i sprawiedliwa Polska podważałaby jej despotyzm i chciwy imperializm. I stąd przyszła brutalna interwencja na zaproszenie sprzedajnych zdrajców kraju. Siłą bagnatów przekreślono wielką Kartę Odrodzenia i odnowy. A za parę lat wykreślono Polskę z mapy Europy.

Z wielu krajów i od wielu ludzi popłynęły słowa oburzenia i pocięchy. Te ostatnie streścił, już zagniewany na niedawny przedmiot uwielbienia, cyniczny Wolter: „Daliście się połknąć – nie dajcie się strawić”.

I zdawało się, że Polska stała się wielkim i tragicznym cmentarzyskiem prawdy, sprawiedliwości i wolności na wieki. Zdawało się ludziom małej

wiary, że daremne były czteroletnie wysiłki twórców Konstytucji 3. Maja. Ale ludzie wiary ewangelicznej wiedzieli, że Słowo, które pochodzi od Boga, słowo prawdy, sprawiedliwości, wolności i autentycznej miłości nie może umrzeć na wieki. Jeżeli nawet zostanie ukrzyżowane, pogrzebane i przywalone kamieniem przemocy, wstanie z grobu.

Tak było i z Konstytucją Sejmu Czteroletniego. Mimo jej pogrzebania siłą materialną, była ona szkołą myślenia obywatelskiego, była nadal drogowskazem i przewodnią nicią mitycznej królowy Ariadny, która pozwalała najlepszym synom Ojczyzny brnąć przez mroczne labirynty do kraju światła, sprawiedliwości i wolności.

I w imię nie tyle paragrafów, ile idei zawartej w Konstytucji, odbywały się te dramatyczne zrywy powstańcze, aby sobie, światu i Bogu wypowiedzieć wolę życia, samodzielnego urzędzenia swojej Ojczyzny w duchu sprawiedliwości i poszanowania wszystkich podstawowych praw człowieka. Światło i głos Konstytucji 3. Maja dały się jednoznacznie rozpoznać w tym ostatnim zrywie świata robotniczego i większości narodu przeciwko kłamstwom i zakłamaniu, przeciwko niesprawiedliwości i dyskryminacji, przeciwko nietolerancji i naruszaniu praw człowieka, ku odnowie życia społecznego i narodowego.

Zwykłą konsekwencją tego faktu jest spontaniczny i masowy nawrót odradzających się grup polskiego społeczeństwa ku pogrzebanej w pamięci historycznej Karcie Odrodzenia – jesteśmy świadkami uroczystych obchodów 190. rocznicy Konstytucji. A więc – „Słowo, które było u Boga” nie umiera na wieki, lecz wciąż zmartwychwstaje na nowo, aby żyć na wieki. Jest to optymistyczna i radosna prawda!

W dziejach Wielkiego Odkupienia ze „Słowem, które było u Boga”, złączyła się najściślej osoba ludzka – kobieta, której na imię Maria. Ona, dzięki swemu bezgranicznemu, bezwarunkowemu oddaniu się Bogu, stała się tym ołtarzem, na którym „Słowo stało się Ciałem i zamieszkało wśród nas” (J 1,14). Ona w tajemnej unii zespoliła się ze swoim Boskim Synem i Trójcą Przenajświętszą, wchłaniając Boskie wartości moralne i Boskie moce.

I nie sposób wyobrazić sobie, aby Ona z tego przywileju i tych mocy nie korzystała dla niesienia pomocy swoim braciom, siostram i narodom na ziemi, tak jak skorzystała z nich na weselu w Kanie Galilejskiej. Nie wątpimy o tym, bo doświadczyliśmy jej pomocy i w życiu indywidualnym, i w życiu naszego narodu. Toteż, jako wyraz wdzięczności, zaufania i zawierzenia, od wieków nazywamy Ją Królową Polski i czcimy w sposób szczególny w starym wizerunku Jasnogórskiej Czarnej Madonny.

Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918, biskupi polscy uzyskali od papieża Piusa XI, przyjaciela Polaków, przyzwolenie na obchodzenie uroczystości Królowej Polski właśnie w dniu 3. Maja, aby wyrazić wiarę, że Królowa Polski miała swój wielki, choć dyskretny, wkład w dzieło Sejmu Czteroletniego i jego ucieleśnienia w akcie odzyskania niepodległości.

Właśnie w przyszłym roku, na Jasnej Górze i we wszystkich świątyniach naszego kraju, będziemy uroczyście obchodzić 600 rocznicę wejścia Bogurodzicy w historię naszego narodu przez czcigodny wizerunek Czarnej Madonny i Jej obecności w radosnych, bolesnych i chwalebnych tajemnicach życia narodu. Wtedy fala dziękczynienia osiągnie pewne szczyty ludzkich serc.

Ale też już dzisiaj, w świetle triumfalnego Zmartwychwstania Pana, pod kochającym, ale i przenikliwym okiem Królowej, winniśmy czynić w dalszym ciągu społeczny rachunek sumienia, który został zapoczątkowany w Stoczni Gdańskiej. Starajmy się uczestniczyć w tych wielkich narodowych rekolekcjach.

Ale nie uderzajmy się tylko w piersi cudze. Pamiętajmy, że „nie ma ludzi niewinnych”. Mając przed oczyma te największe prawdy i wydarzenia z wielkiej historii ludzkości, nie upraszczajmy ziemskiej i narodowej rzeczywistości, malując ją dwoma farbami: światło i cień, biały i czarny.

Niestety, na ziemi nawet słowo, które od Boga wychodzi, może być mniej lub więcej wypaczone przemądrzałą dialektyką, nawet teologiczną, może być przyćmione ludzkimi namiętnościami i słabościami, może czasowo nie znaleźć warunków wzrostu i rozwoju.

A z drugiej strony słowo antychrysta może niedostatecznie czuwających ludzi dobrej woli wprowadzić w błąd, może przybrać pozory prawdy i słuszności. I ten fakt musi być brany pod uwagę, że ludzie omamieni lub opętani przez zło mogą się nawracać i powracać do domu Ojca, gdzie będzie większa radość z jednego grzesznika aniżeli z dziewięćdziesięciu sprawiedliwych (por. Łk 15,7). Stąd też Jezus zabrania nam sądzić ludzi do dna: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni” (Mt 7,1). Nie chce nawet generalnie wyrywać chwastów, aby nie podeptać i pszenicy (Mt 13,29). Zaleca nam jednak rozpoznawać fałszywych proroków i ich słowo. „Poznacie ich po ich owocach” (Mt 7,16). I wzywa wszystkich wyznawców do czujności, bo gdy ludzie beztrosko śpią, przychodzi nieprzyjaciel i między pszenicą sieje kłakol (Mt 13,25).

Przede wszystkim winniśmy odkrywać i demaskować zło w samych sobie: kłamstwa, egoizm, nieuczciwości w nauce i pracy, brak zaufania do wymogów etycznych Jezusa, Jego Ewangelii i Kościoła. Winniście włączyć się w społeczną akcję przeciw trującemu zalewowi alkoholizmu, który więcej wyrządza spustoszeń aniżeli nawet osławiona chemia. Włączajcie się w akcję troski o życie nienarodzonych dzieci, ale nie traćcie z oczu grzechów rozwiązłości i nieczystości, które stanowią przecież pokusę do zabijania poczętych istnień ludzkich. Ludzie panujący nad popędami i namiętnościami, czyści, i czysta młodzież nie znalazłyby problemów ani antykoncepcji, ani pokus zamachów na życie swoich dzieci.

Pogłębiajmy zaufanie do Chrystusa, Jego Kościoła i ich wymogów. Jak Ojciec święty, Jan Paweł II, powiedział w swoim sławnym przemówieniu inauguracyjnym: Nie bójcie się przyjąć Chrystusa – całego, z Jego wymogami i Jego miłosierdziem. On przecież jest jedynym i nieporównywalnym Pedagogiem na świecie, który nie tylko wymaga, lecz przede wszystkim wspomaga swoich wyznawców. On sprawia to, że jarzmo Jego słodkie, a brzemię lekkie (Mt 11,30) – pozwala nam bez patosu przekraczać granice naszych ludzkich, ograniczonych możliwości.

A jeżeli nawet w drodze upadniemy, chwilowo załamiemy się, On jest „bogaty w miłosierdzie” – jak głosił Ojciec święty w ostatniej encyklice. Zaufajmy Jezusowi bez granic i warunków do końca.

Rozpoczęliśmy naprawę Rzeczypospolitej i odnowę narodu. Prowadźmy ją dalej w imię Jezusa i Jego Ewangelii. Tylko w Nim nasza szansa osobista i historyczna! Może ostatnia?...

I my, starsi, oszołomieni, obsypani cudnymi darami słów, które stały się ciałem na naszych oczach, czujemy, że te dary są nam dane, ale i zadane, zobowiązujące do dalszych ofiar i poświęceń, „aby Polska była Polską”.

Wy zaś, młodzi, winniście z jeszcze większym zapałem podjąć te dary, zadania i odpowiedzialność za losy Bożego czy od Boga pochodzącego Słowa w życiu osobistym i w życiu narodu. Winniście pracować tam, gdzie macie warsztat pracy. Pochyleni nad książkami, nad projektami budowli, z młotem, piórem czy kilofem w rękę, pamiętajcie, że macie budować nie pałace bezbożnego kłamstwa, lecz wspólny dom, w którym nie musi być luksusu i komfortu, lecz w którym nie będzie dyskryminacji za poglądy, nie będzie poniżającego lęku, nie będzie kierowanego kłamstwa, w którym nie będzie uprzywilejowanych, w którym będzie coraz więcej przedszkoli, a coraz mniej więzień i policji.

Musicie pracować myślą i dłonią, „aby Polska była Polska”, w której ostateczną rację będzie miało nieśmiertelne Słowo, które było u Boga, które przez Maryję Dziewicę „stało się” i chce zamieszkać z nami na wieki. A to oznacza, że i my, choć umrzemy, żyć będziemy na wieki...

*Jasna Góra, 3 maja 1981
– 190 rocznica Konstytucji.*

MĘCZEŃSTWO SIÓSTR NAZARETANEK

Mam w ręku broszurkę, w której na początku umieszczono obraz Adama Styki przedstawiający zamordowanie jedenastu sióstr nazaretanek przez Niemców w Nowogródku 1 sierpnia 1943 roku. Na obrazie znajdujemy podobizny, bo artysta otrzymał fotografie zamordowanych śp. sióstr: Heliodory, Felicyty, Kanuty, Boromei, Imeldy, Gwidony, Sergii, Rajmundy, Kanizji, Danieli i Stelii – przełożonej. Brakuje tylko w tej grupie jednej siostry – Małgorzaty, która – pracując w szpitalu – była nieobecna wtedy, gdy wzywano je na drogę śmierci. Otóż działo się to 42 lata temu. Jeszcze patrzę na obraz Styki i widzę sylwetkę krzyża. Słusznie artysta umieścił ten znak nad czeluścią rozkopanego dołu. Ta egzekucja, dokonywana fizycznie celnymi mniej celnymi strzałami z małokalibrowej broni, była przecież częścią Kalwarii.

Otóż pytacie, cóż nadzwyczajnego, przecież w czasie okupacji ginęły nie takie grupy, nie takie setki, ale tysiące, miliony, wielu umierało, wielu ginęło w straszliwych męczarniach. Ale osobliwością tej śmierci było to, że wymienione siostry nazaretanki, na czele z przełożoną, już dawno przed egzekucją złożyły przed Bogiem i przed ludźmi swoje wotum – swój ślub, że gotowe są oddać życie swoje, jeżeli taka ofiara jest Bogu potrzebna, za tych, którzy są bardziej potrzebni na tym świecie.

W szczególności chodziło tutaj o kilkadziesiąt osób, które były właściwie przeznaczone na egzekucję. Otóż siostry, przed obecnym tutaj ich kapelanem, takie wotum składały. I to była osobliwość – ta gotowość oddania się do dyspozycji Pana Boga: jeżeli potrzebna jest ofiara, one są gotowe ją złożyć. Ofiara pod krzyżem.

I oto dlatego, Drodzy Bracia Nowogródzianie i wszyscy inni, od szeregu lat zbieramy się wszyscy u stóp Matki Najświętszej, która знаła krzyż i która stała pod nim, i czcimy tę krew ofiarnych nazaretanek, która wsiąkła w piasek lasu nowogródzkiego.

Przyjeżdżamy tutaj po to, żeby podziękować za zastępstwo, bo na pewno przynajmniej kilku z nas tu obecnych to też niedoszłe ofiary przeznaczone na egzekucję. Ale siostry zastąpiły nas w tym dramacie. Zastąpiły po to, byśmy mogli służyć Bogu i służyć Ojczyźnie. Ażebyśmy mogli zbierać nowe dary i nowe łaski dla siebie i dla naszych bliźnich.

Przyjeżdżamy jeszcze po to, aby napromieniować się optymizmem, bo przecież nie jest ten świat tak beznadziejnie egoistyczny, egocentryczny, zezwierzęcony, zbydlęcony – jak chciano nam wmówić.

Są jednak ludzie, którzy chcą wypełnić nie tylko przykazania Ewangelii, ale także rady ewangeliczne, i chcą naprawdę oddać życie za bliźnich swoich – nie tylko w słowie i w piosence, ale także w bolesnym, krwawym czynie, w potoku własnej krwi...

Jasna Góra, 1985

*– w 42. rocznicę zamordowania 11 sióstr nazaretanek
w Nowogródku.*

ŚWIĘTY WINCENTY

Niewiele wiemy o naszym drugim patronie katedry wrocławskiej, o św. Wincentym. Mamy za mało dokumentów, ale dla naszych celów wystarczy.

A jakież cele stawiamy sobie, wspominając Jego imię?

Pragniemy Go uczcić, otrzymać pomoc i czegoś się od Niego nauczyć. Wiemy, że żył w II połowie III wieku w Hiszpanii, że był archidiakonem i kaznodzieją przy biskupie Saragossy, a więc głosił Słowo Boże, i że był włączony w kościelną służbę ubogim, biednym, „maluczkiem”, to znaczy zbierał i dzielił dary ludzkiej miłości między potrzebujących. W roku 304 w Walencji poniósł śmierć męczeńską w imię i za swojego Mistrza i Zbawiciela. A skoro je oddał, to znaczy, że nad swoje życie cenił Chrystusa i wierność Jemu. A to jest szczytowa autentyczna miłość, jako że „nie ma większej miłości, jeżeli ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13), ale i za Boga swego.

Tak więc niemało – a można powiedzieć – wiele wiemy, bo to najważniejsze z Jego biografii.

Oczywiście, głównym świadectwem Jego wiary i miłości było oddanie krwi, ale wiemy, że takiego świadectwa nie da się zaimprovizować – oddanie w katuszach życia, to dalszy ciąg, to szczytowy wyraz świętej miłości.

A czym jest świętość? Wiele razy słyszeliśmy i szukaliśmy odpowiedzi na to pytanie. Wszakże

my sami, jak i nasi mistrzowie życia wewnętrznego, gubiliśmy się w tym rajskim świecie przepelnionym bogactwem wartości – czuliśmy, że jesteśmy w kraju tajemnicy. I tak jest w istocie, Bóg jest tajemnicą i świętości nie jesteśmy w stanie zgłębić do dna. Ale możemy w pewnym zakresie poznać ją w odniesieniach i porównaniach.

Pomijając zawile wywody teologiczne, można powiedzieć, że świętość to prawdziwa, szczytowa i doskonała miłość. Ale z kolei pytamy siebie, mistrzów i Jezusa: czymże jest ta prawdziwa i doskonała miłość? Ona też jest nasycona tajemnicą, ale już bliższą naszemu poznaniu i doświadczeniu.

Prawdziwa miłość w swoim szczycie to oddanie – ofiarowanie siebie wyższej i najwyższej Wartości. Jeszcze raz przypomnijmy słowa Jezusa z testamentalnej mowy w wieczerniku: „Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13). To zdanie można odwrócić i odnieść do Pana Boga: Nie ma większej miłości do Boga, jeżeli ktoś życie swoje oddaje za Niego.

Oczywiście to szczyty ofiary, a więc miłości. A na co dzień miłość do Boga wyraża się małymi ofiarami, pełnieniem Jego woli i wypełnianiem Jego przykazań. „Kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten mnie miłuje” (J 14,21). Pan Jezus prostuje tutaj powszechne sądy, że miłość to uczucie, emocje, wzruszenia.

Ewangelia zna też i aprobuje uczucie miłości, ale ono w psychologii ewangelicznej, a nawet we współczesnej, naturalnej, nie stanowi istoty miłości. Ona często będzie trudna i twarda – i ta miłość do Boga, i ta do człowieka. Mogą jej towarzyszyć uczucia przyjemne, błogostany i uniesienia, ale nie jest to raczej regułą.

Nie należy sądzić, że św. Maksymilian żył i działał uśmiechnięty w aureoli jakiegoś błogostanu. Najczęściej żył w przestrzeni trudu, znoju i ofiary. Trudno opisać, jakie uczucia towarzyszyły bliskiemu nam świętemu w celi głodowej. Na pewno dominował ból, cierpienie, może aż do Jezusowej skargi: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?” (Mt 27,46).

I coś z takiego cierpienia przeżywa każdy chrześcijanin dążący do autentycznej miłości i świętości. A gdzie takich cierpień nie ma, tam trzeba bać się złudzeń. Podobnie musiał żyć i bohater dnia dzisiejszego – święty archidiakon z Saragossy – i on uczy nas doniosłej prawdy o miłości i świętości i wskazuje nam bezbłędną drogę. Co dzień trudy, męka i umieranie dla „tego świata”, gdzie nie ma prawdziwego światła, sprawiedliwości i autentycznej miłości, gdzie mnożą się nowi bogowie i idole, wzywający do kultu wygody i do ułatwiania sobie życia aż do odrzucenia praw i trudniejszych wymagań Ewangelii i Jej Autora aż do zgody na grzech.

Tak, chrześcijańska droga życia jest twarda, a ludzie nią idący podejmują wyzwanie. Często od niej bolą nogi i serce, ale tak musi być. Ważne, że to droga prawdziwa, bezbłędna, wiodąca do ostatecznego zbawienia przez miłość i świętość na ziemi.

I właśnie w imieniu Zbawiciela św. Wincenty uczy nas, abyśmy odrzucali „ten świat” grzechu i odważnie podążali tą twardą drogą do miłości i świętości. A my wciąż oglądamy się na łatwiejsze ścieżki, nie zrywamy radykalnie z „tym światem”, skorzy jesteśmy do różnych kompromisów, a szczególnie do generalnego kompromisu – pozostania na poziomie przeciętności, minimalizmu

i miernoty, na granicy grzechu śmiertelnego, na granicy Kraju Łaski, czyli miłości i świętości, który chcielibyśmy zostawić specjalnie powołanym: zakonnikom, mnichom, kapłanom...

A w gruncie rzeczy wszyscy ochrzczeni są powołani do wielkiej miłości i świętości, do wielkiej podróży, jak określiliśmy metaforą: w głąb Kraju Łaski. Nie wszyscy jesteśmy powołani do heroicznego świadectwa przez krwawe męczeństwo, ale wszystkich nas wzywa Jezus do miłości i świętości w zwyczajnym, codziennym życiu – w różnych stanach i zawodach, z różnymi talentami i zdolnościami – „Bądźcie doskonali, jak Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. A życie codzienne daje niezliczoną ilość okazji i szans, aby to wezwanie wcielać w życie.

Dostojewski powiedział, iż życie według Ewangelii, wprowadzanie miłości w szarżyznę codziennych spraw – to też męczeństwo, i to trudniejsze aniżeli to gwałtowne i krwawe. I tę opinię można uznać za słuszną, bo ileż cierpień trzeba przeżyć, aby znosić miesiące i lata trudny charakter czy obłożną chorobę lub kalectwo męża, żony, dziecka; wady moralne członków rodziny, współpracowników, interesantów. Jakże boli niesprawiedliwość, gniew, niezrozumienie, brak empatii, samokrytycyzmu, niesłowność, nieuczciwość w pracy?

Albo ileż cierpienia ludzi o dużej wrażliwości kosztuje znoszenie swoich wad moralnych – swego egoizmu i miłości własnej! Jeżeli tak przedstawia się relacja męczeństwa z miłości i świętości, to należy życzyć, aby katechezy, homilie, rekolekcje i dni skupienia zajęły się w szerszym zakresie tą problematyką. Jest to bowiem tematyka nie tylko konieczna, lecz i równie ciekawa, a może stać się po prostu fascynująca, bo prowadząca człowieka

w tajemnicze przestrzenie wielkich odkryć i przygód, dotycząca rdzenia jego egzystencji – sensu i celu życia.

Tymi drogami i ścieżkami człowiek wchodzi w egzystencjalną więź z żywym osobowym Bogiem. I tego szczególnie szuka znaczna część naszej młodzieży. Szuka w Kościele, ale jeżeli tam nie znajdzie przewodników, szuka tego doświadczenia Boga w ruchach i grupach oddalonych od Kościoła. To jest często postać ucieczki przed minimalizmem ku radykalizmowi i maksymalizmowi.

Duszpasterze szukają z z troskaniem nowych form i metod ewangelizacji, a ich łaknący parafianie szukają duszpasterzy, którzy by ich prowadzili odważnie, na bardziej bogate w duchową strawę pastwiska.

A tymczasem duża część duszpasterzy nie idzie na spotkanie tej fali i raczej od niej się separuje. W naszym duszpasterstwie można zauważyć dużo minimalizmu w wydobywaniu i przyswajaniu Boskich wartości – idzie się raczej wszcz, po powierzchni, zagarnia coraz nowe obszary do uprawy, modli się więcej, a nie wykorzystuje tego, co otrzymuje od Stwórcy przez naturę i łaskę. Nie trawia tego, nie smakują, nie asymilują. Nudzą się i stają się leniwi w podejmowaniu zadań trudniejszych. Znaczna jednak część młodzieży chce iść w głąb ku radykalizmowi i eksploatować wartości.

Jeżeli już sięgnęliśmy po analogie do ekonomii, zauważmy, że w eksploatacji dóbr materialnych pierwszeństwo osiąga metoda intensywna; ekstensywna na dłuższą metę bankrutuje.

Coś z tego można zauważyć w pracy duchowej. I ta część wiernych nie jest zadowolona, gdy duszpasterze-kaznodzieje serwują jej, chociażby i dobre, ustylizowane, lecz wodniste eseje bez esencji

ewangelicznej albo komentują wydarzenia bieżącej polityki, która na ogół jest bardzo miałka.

A głębiej oddychają, gdy słyszą mowę wprost o Bogu, Chrystusie, o wierze i miłości na co dzień, o pracy nad sobą, miłości i świętości i jednoczeniu się z Bogiem.

Jeżeli w bardziej radykalny sposób nie stanemy się przewodnikami w głębie i nie poprowadzimy chętnych na trudne ścieżki wielkich przygód, sami siebie zubożymy i osłabimy i nie powstrzymamy idących szukać zaspokojenia głodu ducha u jogów, buddystów, zielonoświątkowców czy nawet w mrocznych sektach naszego czasu.

Oto czego nas uczy i do czego wzywa – tak daleki czasem, a tak bliski wiarą – święty diakon Wincenty, który nie znał nudów ani zmęczenia, ani granic ofiary aż do męczeństwa.

Nie mówił: „Gdybyśmy otrzymali pełną wolność”, „gdybyśmy nie mieli trudności z mięsem” – to dopiero zakwitłaby w nas wiara, miłość i świętość. On, żyjąc i służąc Bogu i braciom w warunkach straszniejszych aniżeli niedawny terror stalinowski, wiedział od swego Mistrza i Zbawiciela, że wszędzie można i trzeba kwitnąć miłością i świętością, nawet w najgorszych, nieludzkich warunkach i że wszędzie trzeba chrześcijaninowi, jak żołnierzowi, być do dyspozycji swego Pana i Zbawiciela aż do śmierci – nawet krzyżowej.

*22 stycznia – uroczystość
drugiego patrona
katedry wrocławskiej.*

**MIŁOŚĆ
I MODLITWA**

JAK SIĘ MODLIĆ?

Na temat modlitwy napisano bardzo dużo i mówi się prawie na wszystkich rekolekcjach, na dniach skupienia i przy różnych okazjach. Niemniej sami wiecie i czujecie, że nie ma dna. Choćby napisano jeszcze dziesiątki dzieł na ten temat, zawsze coś będzie nowego, zawsze coś niedopowiedzianego, zawsze coś niedocieczonego.

To jest zrozumiała rzecz, bo jeśli Bóg jest Istotą Nieskończoną, przerażającą w swojej wielkości, jeśli jest Tajemnicą, to wtedy i Jego dzieła, i kontakty z Nim będą w dużej mierze właściwie tajemnicze, niezgłębione, niedocieczone. Tak jest i będzie.

Ale i w tajemnicę może człowiek coraz bardziej zanurzać się, a w to, co jest niedocieczone, może wchodzić. Sam to przeżywałem kiedyś. Mówilem: Po co się modlić, po co mam o coś Pana Boga prosić i wymieniać Mu, o co proszę, kiedy Bóg i tak o tym wie lepiej niż ja?... Wygląda wtedy na to, że Bóg jest ślepy czy niewidzący albo głuchy, i ja Mu dopiero przypominam pewne rzeczy, bo inaczej nie będzie wiedział, o co chodzi.

Takie trudności przeżywają nie tylko nastolatki, do których wtedy należałem, ale też i starsi ludzie, nawet myślący, nawet św. Tomasz z Akwinu zadawał to pytanie. W gruncie rzeczy nikt nie odkrywa Ameryki, gdy twierdzi, że Bóg wszystko wie i że nie trzeba Mu definiować, o co chodzi.

Ale tu nie chodzi o Pana Boga, lecz o nas samych, żeby wywołać stan gotowości czy przygo-

towania do modlitwy, która jest dialogiem, jakąś formą zjednoczenia z Najwyższą Istotą, z Absolutem. Tak więc ta modlitwa nie jest potrzebna Panu Bogu, tylko nam. Wszelkie treści modlitw, ich formy, potrzebne są nam... Jeśli definiujemy jakąś prośbę, gdy się do Pana Boga zwracamy, choćby słowem, wtedy właśnie w jakiś sposób zdecydowanie wpływamy na zmianę postawy w nas. Stwarzamy coś, co można by nazwać nastrojeniem aparatu do odbioru tamtych fal.

Coś podobnego się dzieje, gdybyśmy nasze radary nastawili na odebranie tych dźwięków, fal idących od Pana Boga, od zaświatów. Dzieje się wtedy to, co jest warunkiem każdej modlitwy.

Po pierwsze – potrzebna jest chociażby ta mała wiara przeciętnego, nawet zaniedbanego człowieka. Jeżeli ja zwracam się do Pana Boga, wydobywam z siebie jakąś prośbę, formułuję jakąś modlitwę, to tym samym właściwie ożywiam w sobie wiarę, rozdmuchuję tę iskrę w popiele. To jest fakt bezsporny. Jeżeli ktoś się zacznie modlić, choćby niedoskonale, tym samym już w sobie tę wiarę posiadł. To jest warunek sine qua non, bo człowiek bez wiary w ogóle nie może się modlić.

Drugi warunek – raczej wolitywny – otwarcie się. Co przez to rozumiemy? Może będzie tutaj przydatna ilustracja, którą dość często się posługuję, odkąd przeczytałem o niej u Rabindranatha Tagore, hinduskiego mędrca. Powiedział, że człowiek na modlitwie winien się tak otwierać jak kwiat lotosu do słońca. Powinien więc tę koronę rozchyłać, ażeby promienie słoneczne zbierać, przyswajając, asymilować. Jeżeli kwiat lotosu będzie zamknięty w pączku, jeszcze czymś izolowany, wtedy promienie słoneczne nie dojdą do wnętrza. Taki wygląd kwiatu można porównać z otwartą posta-

wą człowieka – otwieram się, żeby te nowe treści, nowe wartości od Pana Boga mogły wejść do mnie. Przeciwna postawa jest postawą zamkniętą – nic nie chcę, niczego nie potrzebuję, taki byłem, taki jestem, chcę postawić na swoim, żeby moja wola się stała. Ten warunek modlitwy spełnia się, jeżeli my tę modlitwę, nasze prośby sformułujemy.

Trzeci warunek – to pokora, czyli prawda, to znaczy uświadomienie sobie tej relacji, a w gruncie rzeczy dysproporcji, jaka istnieje między mną a Bogiem. On jest Samoistny i Nieskończony, a „czymże ja jestem przed Twym obliczem, prochem i niczem”. Mickiewicz to bardzo dobrze sformułował. Przy spotkaniu z Panem Bogiem powinienem zawsze uświadomić sobie, że jestem małym, niewystarczającym sobie, a On jest Nieskończonym Absolutem, wystarczającym sobie.

I oto teraz staję czy klękam przed Tobą, otwieram się i w ślad za tym idzie właściwie najtrudniejszy, czwarty warunek: dyspozycyjność, gotowość do pełnienia Jego woli. Jezus sformułował to następująco: „Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode mnie ten kielich! Jednak nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie” (Łk 22,42).

Wola Pana Boga – to jest najtrudniejsze, bo skłonni jesteśmy jednak przeprowadzać swoją wolę, chcemy chodzić własnymi drogami, realizować własne, przez siebie widziane, wielkie i małe cele. Skłonni jesteśmy zachować tak zwaną autonomię: być sobą, dla siebie, rządzić sobą, załatwiać samemu wszystkie sprawy.

To jest bardzo silna tendencja w człowieku – do zamkniętej woli, do samowoli, do zarezerwowania sobie pewnego autonomicznego obszaru. Tak jak w „Ślubach panieńskich” – ślubowanie, a zastrzeżenie sobie coś specjalnego, gdzie już stykamy się

z nieprzekraczalną linią. I to Panu Bogu ofiaruję, i to, i to – tylko, Panie Boże, nie „to”. Jak to dziecko, które w „Listach do Pana Boga” mówi: „Panie Boże, wszystko Ci ofiaruję, wszystko Ci oddaję, tylko szachy i psa zachowuję dla siebie”.

Otóż to jest postawa dziecięca, infantylna. Jeżeli ma miejsce u dorosłego, to stanowi niestety hamulec modlitwy. Boimy się tego, co Pan Bóg chce z nami uczynić. Jedna ze świętych mówiła: „Boże, ja się Ciebie boję, bo Ty jesteś szalony – nie wiadomo, co zechcesz ze mną zrobić”. Na ogół święci osiągnęli ten poziom, że się ofiarowywali bez reszty, tak jak Matka Najświętsza ofiarowała się Panu Bogu: „Oto ja, służebnica Pańska” (Łk 1,38).

Dzisiaj widzieliśmy na drodze Maryjnej piękną scenę ofiarowania Pana Jezusa Panu Bogu przez ręce arcykapłana Symeona. Artysta świetnie to ujął. Rzeczywiście, w oczach Matki Boskiej, z Jej twarzy i postawy widzimy oddanie pełne zaufania. Bez reszty oddaje Dzieciątko w ręce Symeona, ażeby w ten sposób zaznaczyć, że oddaje bez reszty Ojcu Niebieskiemu. Jest to piękna scena. Pomyślałem sobie, że warto ją mieć w swojej świadomości. Ale cóż, tutaj będą liczne upadki, różne odwołania, targowanie się z Panem Bogiem. I nie trzeba się tym przerażać.

Jezus o tym wie, że jesteśmy słabi. Ale winniśmy dążyć do tego, żeby stać się do Jego dyspozycji. Pan Jezus nie musi nam kazać przerwać studia czy zerwać narzeczeństwo z kimś, by powołać do klasztoru. Nie każe mi opuścić w tej chwili mojego pokoju, rozdać wszystkiego, co mam, i pójść na pustynię za ojcem de Foucauld czy ojcem Carlo Carretto.

Pan Jezus może mnie zostawić na miejscu, gdzie teraz jestem. Muszę być do Jego dyspozycji, muszę

wybierać w sobie takie usposobienie, ażeby w tedy, gdy otrzymam polecenie, rozkaz, poszedł tam, rozstał się z tym, z kim każe mi się rozstać.

Wyrazem tego były u świętych takie dosyć, po ludzku mówiąc, szaleńcze kroki. Mianowicie niszczenie za sobą wszystkich mostów, powiązań, co miało miejsce na przykład u brata Alberta, który spalił pewną część swoich, zresztą znakomitych obrazów, za które dzisiaj płacą tysiące dolarów. Otóż zebrał je w pewnym momencie, wpakował do pieca i spalił. Ktoś, powiedzmy ekonomiści (nie robiąc aluzji), różni aptekarze, buchalterzy powiedzą: Jak to, przecież to skandal, mógł sprzedać te obrazy i mieć...

Analogiczna sytuacja była z grzesznicą, która przysłała do Jezusa i flakon z drogocennym olejkim wylała na Niego. Obruszyli się na to uczniowie i powiedzieli: Po co ta strata, przecież mogłaby sprzedać za dwieście denarów i rozdać to ubogim (por. Mt 26,9). A Jezus przyjął tę ofiarę. To był wyraz hojności, gotowości na wszystko. Wylała wszystko. „Na stos rzuciliśmy nasz życia los, na stos, na stos” – jak dawniej śpiewali legioniści.

Otóż to jest ta postawa. Znaczyła on więcej niż wartości wszelkich obrazów brata Alberta razem wziętych. Gdy idzie o wartość moralną, buchalteria musi pozostać na marginesie, gdyż niewiele wnosi w te wartości, którymi rządzą inne kryteria i inne wartościowanie aniżeli w ekonomii.

To są główne warunki modlitwy. Przede wszystkim odrobina wiary, potem otwarcie się, następnie „Czymże ja jestem przed Twym obliczem? – prochem i niczem” i później piękny gest oddania się do dyspozycji, nie zawsze zdając sobie sprawę, co on oznacza. Gest oddania się ma trochę odniesienia do czasów feudalnych, kiedy wasal wkładał

swoje ręce, w ręce suwerenowi złożone w szczególny sposób, i tak oddawał się do dyspozycji. Ale tutaj sens jest głębszy, ma on właściwie genezę psychologiczno-etyczną i na pewno nikt człowieka nie uczył takiego gestu oddania, a jednak jest on znany na całym świecie.

I jeszcze jedna uwaga. Wszyscy jako zaangażowani, winniśmy pamiętać (bo nam się wydaje, że modlitwa i jej jakość zależy od nas), że zależy ona właściwie od Pana Boga, od Ducha Świętego, który daje natchnienie, który daje najpierw światło, „pouczenie” – jeżeli człowiek będzie miał coś z tego usposobienia, które określiliśmy. Jezus mówił o Duchu Świętym: On was oświeci i pouczy, co będziecie mówić (por. Mk 13,11). Od Niego zależy podstawowa jakość modlitwy, nie od nas, „Bo cóż mam, czego bym nie otrzymał” – mówi św. Paweł. Właściwie wszystko jest Boże. I ciało ze wszystkimi organami, łącznie z naszym mózgiem i inteligencją, i nasze zdolności, charyzmaty i nasze warunki bytu. Przecież nie wybieraliśmy, wszystko zostało jakoś przez Pana Boga ułożone. A zwłaszcza modlitwa od Niego zależy.

W związku z tym, przechodząc do modlitwy, powinniśmy otworzyć się i westchnąć do Ducha Świętego, żeby nas oświecił i pouczył i dał nam natchnienie – żeby On przez nas wielbił Ojca, wielbił Syna, wielbił Trójcę Przenajświętszą. Niech Duch Święty przeze mnie mówi i nawiązuje dialog z tym przerażającym i nieskończonym Absolutem i Wszecnością.

Ojciec Evelyn w swojej książeczce zapisał taką ilustrację: Niemądry kogut zauważył, że jak śpiewa nad ranem, to zaraz pokazuje się zorza – „Ależ jestem ważny!”. Autor dodaje, że głupi kogut nie zauważył, że rzecz się ma przeciwnie, kiedy się

zorce pokażą, zajaśnieje świt, wtedy dopiero chce mu się śpiewać, a nie odwrotnie.

Otóż tak samo i my. Skłonni jesteśmy sobie przypisać, że to teraz ja od siebie śpiewam, teraz jestem panem swojej modlitwy i teraz się rozpłomieniam. A w gruncie rzeczy jest inaczej. Duch Święty w tobie, przez ciebie przemawia i daje ci pouczenie, natchnienie i inspirację. Stąd też waga zwracania się do Niego w każdej modlitwie.

Teraz choć przez dziesięć minut zanurzymy się w tę modlitwę milczenia. Możemy sobie przedstawić tę scenę rozmnożenia chleba czy jakąś inną scenę z Ewangelii, czy po prostu wyobrazić sobie w jakiś sposób Jezusa czy Matkę Bożą.

Postarajmy się o to, żeby przez swoją wiarę, po westchnieniu do Ducha Świętego, otworzyć się, paść na kolana i powiedzieć: „Czymże ja jestem przed Twym Obliczem? – prochem i niczem”. I oddanie się: Panie, trudno mi się bez reszty oddać, ale ufam Ci, zawierzam Ci, bo cokolwiek nakążesz, dokądkolwiek mnie zaprowadzisz, to będzie droga mego najwyższego, niezaprzeczalnego dobra i szczęścia.

*Dni skupienia,
Bardo Śląskie, 10 lutego 1979.*

JAK WIELBIĆ BOGA?

Czasami i my wielkodusznie pytamy: Jak uwielbić Boga? I najczęściej sami odpowiadamy... I szukamy pięknych słów, zwrotów, mocnych zaklęć i górnolotnych przenośni... Szukamy pięknych melodii, scenerii, nastrojów... Szukamy miłego towarzystwa, widowni, słuchaczy. Szukamy uroczystości, barwnych i tłumnych manifestacji. Składamy wystylizowane deklaracje i ślubowania. Czasem deklarujemy posty i umartwienia aż śmieszne w swoim skąpstwie, ale postanawiamy poważnie: „O jeden papieros mniej”, „Nie jem słodczy”, „Nie jem mięsa w piątek”...

Jeżeli to jest niepoważne uwielbienie Boga, to na czym polega uwielbienie poważne, prawdziwe? Otóż polega ono na czymś mało efektownym i mało nastrojowym – po prostu na przyjęciu i wypełnieniu woli Ojca i Stwórcy. A to przyjmowanie często jest krzyżem, bólem, cierpieniem, lękiem... Każdy bowiem człowiek ma swoje plany, pragnienia, dążenia. A oto Stwórcę, Ojciec Niebieski, staje przed nami ze swoją wolą, ze swymi planami i zadaniami. I powstaje skrzyżowanie woli Boga z wolą człowieka. Następuje zwykle wysokie napięcie, a gdy wchodzi w rachubę życie i śmierć – budzi się lęk, pokusa ucieczki, wycofanie się, odwołania.

Jezus jako człowiek przeżywał ten dramat. W nieskończoności powziął decyzję wypełnienia do dna woli Ojca Niebieskiego, ale w lęku przed tą „godziną” wyrywa się prośba: „Ojcze, wybaw mnie

od tej godziny. Nie, właśnie dlatego przyszedłem na tę godzinę. Ojczy, wsław Twoje Imię” (J 12,27). Dodajmy – w moim oddaniu, przyjęciu woli, Jezus odnawia swoją decyzję...

I jeszcze odnowi ją w przeddzień swej ostatecznej męki – w ogrójcu. Jeszcze fala lęku, jeszcze modlitwa: „Zabierz ten kielich ode Mnie” (Mk 14,36), ale to już decyzja ostateczna: na sąd, koronowanie cierniem, na krzyż, na łamanie kości stóp aż do „Wykonało się” (J 19,30). Oto droga i szczyt uwielbienia Boga, obraz idealnego uwielbienia, uwielbienia ponadkosmicznego. To na szczycie.

A jak ten błogosławiony dramat rozgrywa się w dolinach naszego codziennego życia? Istota uwielbienia Boga wszędzie i zawsze jest ta sama: przyjmowanie i wypełnienie woli Bożej wyrażanej przez przykazania Starego Testamentu i Ewangelii przez Kościół i własne sumienie, które jest ambasadorem Pana Boga w naszej osobowości.

I tutaj często przychodzi krzyżować i uśmiercać nasze własne pragnienia, plany i dążenia. Przychodzi nam umierać jak ziarnu pszenicy, które przez śmierć wyrasta ku piękniejszemu i szczęśliwsiemu, i bogatszemu Życiu. Kto bowiem umiera z Chrystusem, ten znajduje Życie. A kto chciał ocalić życie bez Chrystusa, traci je.

JEDNO „ZDROWAŚ”

Dziś rozpoczynam osiemdziesiąty rok życia na ziemi i pięćdziesiąty drugi rok służby kapłańskiej. Przybyłem więc do was, aby prosić o wspólne dziękczynienie Wszechmogącemu za to, że ten dzień i Eucharystię mogę przeżyć na trasie tej wspaniałej pielgrzymki, która była i jest tak bliska mojemu sercu; że nie muszę leżeć przykuty do łóżka; że mam jeszcze zdolność myślenia, kochania i mówienia.

Ale skoro już przyjeśliście mnie do swej wędrującej wspólnoty, skoro mogę mówić, pragnąłbym, podobnie jak w latach ubiegłych, powiedzieć wam znów coś najpiękniejszego, coś najważniejszego, bo to przecież mój testament dla was, dla waszej obiecującej i pięknej młodości.

A więc o czym? Przeżywamy naprawdę epokowe czasy, cudowne wydarzenia, narastają wielkie problemy naszej Ojczyzny i jej niepodległości – wszystko to niezmiernie ważne, doniosłe. Ale jeszcze nie najważniejsze, jeszcze pochodne i względne.

A więc cóż będzie bezwzględne, absolutne i najważniejsze dla chrześcijan na ziemi? Bez wątpienia – miłość. „To jest największe przykazanie” (Mt 22,38). Najlepsza częśćka, nieśmiertelne źródło szczęścia, to potęga, która przewycięża śmierć, to perła, dla której nabycia warto oddać wszystko. To pewna droga na Jasną Górę zbawienia wiecznego...

Czy nie za wiele o tym? Czy to słowo, często wymieniane, nie stanie się zapyłone i nudne? Potrójne nie! Bo ono i ten temat dotyczą rdzenia naszego jestestwa, egzystencji, bo ono jak Bóg – nie ma dna, nie ma końca. Ciągłe za mało, ciągle za płytko.

Tylko w takich okolicznościach rodzi się pokuśsa, aby zebrać jak najwięcej wielkich, patetycznych słów, najwięcej superlatywów i unieść się w obłoki abstrakcji – wygłosić nowy hymn, aby wywołać jak najwięcej wzruszeń aż do łez. Ale co z tego zostanie na co dzień, na szare, uderzająco konkretne życie? Uczucia można łatwo zapalić, ale wiemy z doświadczenia, jak łatwo one wygasają, zawodzą, rozczarowują, pozostawiając tylko mgliste wspomnienia. Szkoda więc na to czasu.

Toteż w dzisiejszych okolicznościach raczej kilka przypomnień z praw psychologii, a głównie z treści nauk Jezusa w Ewangelii. Otóż te światła uczą nas, że słowo miłość nie jest jednoznaczne. Przede wszystkim należy odróżniać miłość uczuciową od miłości fundamentalnej, podstawowej, opartej o światło rozumu i woli.

Miłość-uczucie jest cennym elementem struktury duchowej człowieka, jest wartością, którą Stwórca wszczepił w organizm psychiczny natury ludzkiej. Trzeba więc ją szanować, ubogacać, utrwalać i rozwijać, a przede wszystkim nad nią – jak nad wszystkimi innymi uczuciami – panować. Uczucia nieopanowane, niekierowane, zwłaszcza na osi mężczyzna-kobieta, mogą się łatwo przemienić w ślepe pożądanie i namiętność, która zamracza umysł, paraliżuje wolę i może spowodować nieobliczalne szkody moralne, a w następstwie nawet biologiczne.

Rzeczą ubolewania godną jest, że pewna część katolików pomawiała Kościół i Ojca świętego o przesadę w ocenie grzechów przeciw VI przyka-

zaniu Dekalogu i przeciw czystości – w kontekście innych wykroczeń moralnych. Otóż jest to widzenie powierzchowne. Ci ludzie nie chcą, czy nie mogą, głębiej wejrzeć w następstwa różnych form cudzołóstwa. A tymczasem grzechy nieczyste pozostawiają niezmywalne, nawet przez sakrament pokuty, ślady „nierządu”, czyli naruszenia porządku natury w rdzeniu stosunków między światem męskim i kobiecym.

Ale nie tylko uczuciową miłość miał na uwadze Jezus ogłaszając największe przykazanie. I nie o tej tylko miłości wyśpiewał niezrównany hymn św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian. I nie o tej tylko miłości napisał nowoczesny hymn współczesny uczonego humanista, Erich Fromm, w małej książeczce „O sztuce miłości”.

A o jakiej miłości oni mówili i pisali? Można ją nazwać zasadniczą, fundamentalną. Jest ona oparta na rozumie i woli. Nie na spontanicznych bodźcach, lecz na refleksjach i wnioskowaniu. Jest to miłość bogata w silne, trwałe wartości, podatna na kierowanie i scalanie.

Na tym fundamentalnym gruncie mogą wyrastać i wyrastają różne i liczne rodzaje miłości: Boga, człowieka, Ojczyzny, miłość uczuciowa i erotyczna. Kto buduje swoją miłość i los na tym fundamencie, ten „buduje dom na skale”.

Do miłości fundamentalnej wiodą liczne wartości wprowadzające:

– dobre widzenie przedmiotu miłości – Boga, człowieka;

– rozwinięta empatia – zdolność wczuwania się w różne sytuacje przedmiotu miłości, że coś go boli, smuci, cieszy, gniewa;

– zdolność panowania nad sobą – nad odruchami, emocjami, uczuciami, popędami, nastrojami,

kaprysmi, humorami. A to panowanie nad sobą prowadzi do wolności, bez której nie ma miłości, bo jest ona daniem. A cóż ty dasz, jeżeli przez niewolę nic nie masz? Uzależnienie od wad moralnych dusi miłość.

Do najbardziej istotnych elementów autentycznej miłości fundamentalnej zalicza Fromm:

– życzliwość połączoną z troską o rzeczywiste długofalowe dobro dla osoby ukochanej – „chcę dla ciebie dobra”;

– odpowiedzialność przed Bogiem i sumieniem za dziś, jutro i pojutrze osoby, ku której zwracam swoją miłość. Boże, ileż w kalekiej miłości nieodpowiedzialnych słów, propozycji, czynów – szczególnie po stronie męskiej, a ileż naiwności po stronie dziewcząt;

– gotowość do poświęceń, trudu, walki o ludzki i Boski kształt stosunków na linii mężczyzna-kobieta;

– walka o czystość, bez której nie ma prawdziwej miłości ani uczuciowej, ani fundamentalnej.

Jeżeli tak będziemy pojmowali miłość, wtedy można jej się uczyć i trzeba się jej uczyć, co zawarłem w tytule mojej książeczki „Miłości trzeba się uczyć”. Trzeba uczyć się coraz więcej poznawać Boga, widzieć w Nim więcej wartości, coraz więcej Jego olśniewających przymiotów. Zdążając do fundamentalnej miłości człowieka:

– trzeba poznawać jego godność i wartość, niezależnie od tego, czy on jest piękny, dobry i sympatyczny, czy też brzydki, niesympatyczny i nieprzyjazny. „Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą” (Mt 6,44);

– trzeba uczyć się nieustannie empatii, to znaczy spostrzegania sytuacji i nastroju człowieka, i czynn timer wczuwać się w każdą sytuację człowie-

ka-matki, oczekującej z ogromnym niepokojem na swą córkę, która obiecała powrót na godzinę dziesiątą, a już zbliża się północ; człowieka-babci, która oczekuje dobrego słowa, a to słowo nie przychodzi; człowieka-gospodarza, który daje znać, że chce się już uczyć albo spać, a gość ślepy i głuchy; jakże cierpią sąsiedzi, gdy jakiś tępak nie pozwala zasnąć ludziom, którzy o piątej idą do pracy czy gdzieś wyjeżdżają; a jak rozstraja nerwy, gdy ktoś trzaskaniem drzwi rozdziera rodzący się spokój! Profesor Foerster twierdzi, że panowanie lub niepanowanie nad klamką jest wyrazem panowania lub niepanowania nad sobą. Empatia wymaga także cichego chodzenia po schodach i po podłodze. To zdolność spostrzegania i właściwego reagowania na każdą sytuację drugiego człowieka w swoim środowisku. Ludzie bez empatii to kandydaci na okrutników i zbrodniarzy. To ludzie „bez serc, bez ducha”!;

– trzeba się uczyć życzliwości, troski, dobroci i poczucia odpowiedzialności za słowo, namowę, propozycję. Do miłości prowadzi i stanowi jej integralny współczynnik doniosła cecha stosunków międzyludzkich – wdzięczność. Profesor Hirschfeld, światowej sławy wrocławski uczony, w swej książce pt. „Historia jednego życia” pisze, że wdzięczność jest wyrazem kultury duchowej człowieka. Jeżeli komuś bardzo trudno wypowiadać słowa: „proszę”, „przepraszam”, a zwłaszcza „dziękuję”, to znaczy że tkwi jeszcze w prymitywnym egocentryzmie i egoizmie, który uniemożliwia rozwój altruizmu i miłości. To człowiek ślepy, bo nie widzi, jak wiele zawdzięcza innym ludziom;

– trzeba się wciąż uczyć poświęceń, walki i trudu, przewycięzać kult wygody, chodzenia po linii najmniejszego oporu. Tego praktycznie uczą nasze

czasami „mordercze” pielgrzymki, ale tylko wtedy, gdy i dalej żyjemy w ich duchu. Szczególnie dużo pracy, trudu i walki może wymagać ten okres, który się zaczyna od przebudzenia popędu seksualnego do późniejszego małżeństwa. Właśnie ten okres „burzy i naporu”, według myśli Stwórcy, musi być wykorzystany do opanowywania siebie. W ramach tej nauki musi się ukształtować w nas zdolność i siła omijania okazji do sprzeniewierzenia się VI przykazaniu Dekalogu. Na ogół na tej płaszczyźnie panuje mit siły i pewności siebie – „jestem silny, potrafię oprzeć się każdej pokusie”. Otóż kto tak myśli, jest osobą naiwną albo zakłamaną, bo prawda jest inna. Wielki znawca psychiki i moralności młodzieży, profesor Foerster, pisał, że dziesięć razy łatwiej obejść okazję do prowokujących okoliczności aniżeli napotkane przewyciężyć. Współczesna nam lekarka i pisarka Hillard w artykule „O czym nie chcą wiedzieć kobiety” pisze, że w pewnych sytuacjach, nawet nieorganizowanych celowo, z reguły powstaje zaciemnienie umysłu i paraliż woli, z których nikt nie wychodzi ocalony od grzechu. I tu się sprawdza przestroga Mickiewicza: „Dość raz ponieść szwank na wstydzie, za jednym upadkiem następny idzie”. Dzieje się to w spotkaniach w wolnym pokoju, pod jednym namiotem, na wycieczkach i wyjazdach lub na wczasach we dwoje, na przyjęciach z alkoholem i w wielu innych spotkaniach prowokujących popęd i pożądanie. Do tych prowokacyjnych sytuacji należy oczywiście zaliczyć wszelkie kontakty z pornografią – filmy, zdjęcia, stroje.

Oto niepełny wykaz tego, czego trzeba się uczyć w drodze do autentycznej miłości Boga i człowieka. A więc przed nami wiele pięknej roboty, wiele studiów, lektur, rozmów, rekolekcji, rozmyślań,

trudu i walki. Nie bójcie się tych zadań. My, duszpasterze, pomożemy wam.

Z konieczności czasowej kończąc tę homilię, winienem przypomnieć właściwie najważniejszy współczynnik w pracy nad miłością: łaskę Bożą! Bóg zaszczenia w każdym poczętym człowieku załóżek, ziarenko tej Bożej wartości. Chrześcijanie otrzymują na chrzcie i przez inne sakramenty jeszcze więcej tego daru. A po chrzcie i między sakramentami możemy go otrzymać przez różne formy modlitwy i ofiary, jak i ta nasza pielgrzymka ukierunkowana nadprzyrodzonymi pobudkami. Dzięki łaskom-darom możemy ubogacać i uintensywniać naukę i pracę w tej dziedzinie. Toteż trzeba się modlić. My z reguły modlimy się o bardzo wiele, o bardzo różne rzeczy, ale któż się modli bezpośrednio o miłość? Czasem na nabożeństwie do Serca Jezusa. A na co dzień kompletnie zapominamy o rzeczy najważniejszej, którą wybrała Maria, za co ją Jezus pochwalił w Betanii (por. Łk 10,42).

Możemy się modlić i prosić o pomoc w tej nauce i pracy uosobioną Miłość – Ducha Świętego. Ale możemy też modlić się do Tej, która stała się Oblubienicą Ducha Świętego, do Matki Najświętszej. Wszyscy chrześcijanie, a szczególnie spokrewnione z Matką Bożą swoją płcią dziewczęta i kobiety, a jeszcze bardziej te, które podjęły trudy pielgrzymki i publicznie deklarują swoją miłość do Niepokalanej, powinny z pokochaniem osoby pokochać Jej Osobę i umiłowaną przez Nią czystość, która jest warunkiem miłości.

Dzisiaj wielu młodych katolików żąda wyjaśnień i uzasadnień: Dlaczego takie pojęcie miłości? Dlaczego czystość? Czy to nie staromodne postulaty? Smutno się dzieje po pielgrzymce. Miłe wspomnienia, ale w dalszym ciągu, po tyłu „zdrowaśkach”,

różańcach i deklaracjach tak słaba obrona siebie i innych przed ciśnieniem antychrześcijańskich haseł i wzorów okaleczonej, spłaszczonej, a nawet zwulgaryzowanej postaci miłości. Dlaczego tyle niedowierzania i chwiejności? A przecież młodzież katolicka powinna zwyciężać i uczyć zwycięstwa nad wrogami miłości pod jednym hasłem: „Jestem chrześcijaninem, chrześcijanką, kocham Maryję i z pełnym zaufaniem idę za Niepokalaną!”. Choćby stu lekarzy, pisarzy, gwiazd filmowych i tzw. postępowych koleżanek i kolegów wzywało na inne, „ułatwione” drogi życia, winniście bez żadnych wahań i wątpliwości, bez żadnych dyskusji iść za wszystkimwiedzącym i kochającym Jezusem i Jego, i naszą kochającą Matką. Na tym szlaku możesz się umęczyć jak na dzisiejszej pielgrzymce, ale będziesz przeżywać podobną do dzisiejszej radość z przebłyskami szczęścia, którego pełnię znajdziesz na Górze, której tylko symbolem jest ta Jasna Góra, do której zdążać winniśmy przez całe życie.

Z pewnością znacie obrazy chrześcijańskich malarzy, które przedstawiają Niepokalaną w białobłękitnej szacie, a u Jej stóp wije się wąż – symbol zła. Wąż chciałby się dostać do Jej serca, ale Ona siłą swej czystości trzyma go pod stopami. Oto symbol i wyzwanie. Zły duch atakuje czystość. Ale czyste, napromieniowane autentyczną miłością kobiety, mocą swej czystości potrafią utrzymać pod stopą wroga moralnej bieli i błękitu. To samo powinni czynić wszyscy napromieniowani autentyczną miłością mężczyźni.

Zakończmy to niedokończone rozważanie postanowieniem: od tej pielgrzymki każdego dnia, gdy dzwony dzwonią na „Anioł Pański”, gdy rozlega się hejnał mariacki, gdy wskazówka naszego

zegara wskazuje godzinę dwunastą – wszyscy odmawiamy jedno „Zdrowaś Mario” na uproszenie pomocy Matki Bożej w pracy i modlitwie, w dążeniu do autentycznej miłości.

Dlaczego tylko jedno „zdrowaś”? Jeżeli ktoś zdecyduje się odmawiać więcej, to jeszcze lepiej, ale żeby kogoś nie wystraszyły trzy minuty – niech wystarczy na pierwszy krok jedna minuta. W religii, a zwłaszcza w życiu wewnętrznym, liczby nie grają istotnej roli, ale warto sobie uświadomić, że jak nas jest tutaj ponad dziesięć tysięcy – tyle myśli, tyle drgnień serc popłynie ku Niebu. Co za błogosławiona i potężna fala, jakież potężny będzie jej rezonans! Ile światłej siły wejdzie w okrąg naszej szarej, skrwawionej i nieczystej, z ogromnym deficytem miłości ziemi. Przyjmijcie tę propozycję!

A przy spotkaniach z braćmi i siostrami z naszej pielgrzymki zapytajcie: Jak wam idzie z tą małą przygodą „zdrowaś”? Jeżeli tylko dziesięć procent uczestników odpowie na to wezwanie „tak”, mój trud się opłacił. Niech się tak stanie!

*IX wrocławska piesza pielgrzymka na Jasną Górę,
1990.*

MÓDLICIE SIĘ I NIE USTAWAJCIE

Człowiek myślący mówi i działa w imię jakiegoś sensu, jakiejś racjonalności. Zgubić sens, to zgubić treść mówienia i działania. Toteż i dzisiaj, na tym wspaniałym zgromadzeniu, winno się pojawić pytanie o sens tego, co robimy.

I powiedzmy sobie z miejsca radykalną prawdę: jeśli by nie było Boga, Istoty samoistnej, wszechpotężnej, ale i racjonalnej, osobowej – Boga, który jest absolutną Prawdą i Miłością, to wtedy nasze spotkanie byłoby stratą czasu...

Jeśli by historyczny Jezus z Nazaretu – który mówił o sobie, że jest Synem Bożym równym Bogu Ojcu, który wskrzeszał zmarłych i sam zmartwychwstał, który nazywał siebie Drogą, Prawdą i Życiem – nie był tym, za kogo się uważał, wtedy znów znajdujemy się w świecie absurdu, a nasze spotkanie, na którym wzywamy Jego Imienia, staje się w gruncie rzeczy żalną komedią...

Ale jeżeli taki – i jeszcze bogatszy w atrybuty, Bóg istnieje, a wszelkie znaki na niebie i na ziemi czynią Go oczywistym dla ludzi, którzy mają dobrą wolę i dobre oczy ducha; jeżeli Jezus uwierzył swoje posłannictwo od Boga; jeżeli zmartwychwstał; jeżeli naprawdę był i jest Drogą, Prawdą i Życiem; jeżeli z miłości do człowieka stał się nawet chlebem, wtedy spotkanie nasze w Jego świątyni na początku nowego etapu pracy naukowej jest ze wszech miar racjonalne, słuszne i godne środowiska akademickiego.

Początek roku akademickiego to dobry czas, aby wyznać Mu swoją wiarę i swoją wierność, aby wyrazić Mu najgłębszą cześć i miłość. Aby prosić Go o zesłanie Ducha Świętego z darami mądrości i miłości, bez której nie ma pokoju i szczęścia na ziemi ani zbawienia w zaświatach. Aby tutaj, przewyciężając wszelkie formy zarozumiałości i pychy, na kolanach prosić o cześć i wierność dla każdej okruszyny prawdy, bo i ona zbliża nas do Prawdy absolutnej, która już jest Osobą a zarazem Miłością. I to właśnie czynimy na tym spotkaniu. Ale gdybyśmy to czynili tylko dziś, uczynilibyśmy o wiele za mało. To wyznanie wiary, tę miłość i pokorne modlitwy winniśmy wprowadzić w krwiobieg naszego życia codziennego: w nasze rodziny, domy i warsztaty pracy, w nasze laboratoria i studia, do zakurzonych książek i skryptyów, w nasze myślenie i czyny.

Jeżeli Chrystus był i jest Bogiem, to należy każdy dzień i każdą pracę zaczynać, wykonywać i kończyć z Bogiem Prawdy i Miłości. Tym bardziej winniśmy starać się wejść na tę drogę. Jak twierdzą nasi socjologowie, Polacy lubią wielkie zrywy emocjonalne i powierzchowne formy religijności, doroczne rekolekcje, wystanie parę godzin w kolejce pod konfesjonałem, nocne czuwanie, „morderczą” pielgrzymkę, a potem – długi niż, duchowe niedożywienie, śmierć łaski i życia nadprzyrodzonego...

Stajemy się podobni do małych bohaterów uroczej i głębokiej książki Nowakowskiego „Przylądek Dobrej Nadziei”, którzy zaczęli odmawiać pacierz wieczorny na cały tydzień. Mądra matka powiedziała: „Nie, dzieci, modlić się trzeba co dzień, jak co dzień się je i śpi (...)”. A nas Jezus uczył: „Módlcie się i nie ustawajcie” (por. Mt 26,41).

Stary filozof Epiktet latami powtarzał: „Módl się jak oddychasz”.

A wielki konwertyta doktor Alexis Carrel napisał: „Jeżeli się modlisz rano, a potem o Bogu zapominasz, jesteś barbarzyńcą pomalowanym na kolor chrześcijański”.

A my się często uważamy za dobrych chrześcijan, jeśli rano odmówimy „paciorek”, którego nauczyła nas mama. Przeżyliśmy wielkie zrywy po wyborze Polaka na Stolicę Apostolską. A potem uniesienie narodowe pod hasłem „Solidarność”. Jeszcze w oczach mamy uroczystość II Kongresu Eucharystycznego i III wizytę Ojca św. w naszej Ojczyźnie... Zrywy były imponujące, potężne były rzeki pielgrzymów na Jasną Górę w ślucie i w skwarze, w modlitwach, uniesieniach, w obietnicach i ślubowaniach.

I cóż z tego zostało na co dzień? Czy wielka część tych tłumów nie uważa już za trudne poświęcenie pięciu minut na poranną i wieczorną modlitwę? I z pewnością znaczna część tych, co na pielgrzymce w trudne poranki uczestniczyli we Mszy św. i przyklękali przed każdym kościołem nawet w błocie, nawet ta część – czy nie opuści niedzielnej Eucharystii tylko z powodu wyjazdu do domu czy na wycieczkę bądź na grzyby? Czy i ci chociaż zauważają mijane po drodze na wykłady świątynie? Czy poślą choć jedno słowo pod rubinową lampkę oliwną? A jak będzie z troską o najwyższą wartość moralną, o miłość, której uczy się na pielgrzymce choćby przez słowo brat, siostra? Ileż na co dzień spotykamy cierpkich ja-gód antymiłości!

Boże, jakie to smutne, gdy w tak czcigodnym środowisku akademickim wyrastają obok wspa-niałych głów i serc gorących chwasty zawiści,

chciwości, intryg, naruszania godności i praw człowieka!

W pogoni za sukcesami „życiowymi” często tracimy dokładnie to, co najważniejsze: autentyczną miłość. I niejeden uczony chętnie zamieniłby nawet dwa doktoraty na płomyk utraconej miłości w rodzinie, w domu czy środowisku pracy. A św. Paweł za Jezusem uczył: „Największa jest miłość” (1Kor 13,13).

Miał słuszną wielki Pascal, gdy zaszył do swej kurtki notatkę-talizman ze słowami: „Jedna myśl jest więcej warta niż cały wszechświat materialny, a jedno drgnienie miłości więcej niż wszystkie myśli ludzkie od początku świata!”. To jest prawidłowa hierarchia wartości.

Drodzy, studiujecie i będziecie studiować wybrane przedmioty zawodowe, ale obok, albo przed nimi, winny być studiowane najwyższe, absolutne wartości, decydujące o jakości życia na wieki: Bóg, Jezus, Ewangelia, człowiek i jego przeznaczenie, miłość i przygotowanie do małżeństwa i życia rodzinnego. Ponieważ nie czyni się tego na uczelniach – tam raczej wypacza się prawdę o miłości – ofiaruje wam pomoc duszpasterstwo akademickie. Organizuje dla was spotkania eucharystyczne, rekolekcje, wykłady, konwersatoria z różnych dziedzin teologii, stwarza dla was środowisko wyższej kultury religijno-moralnej.

Nie mówcie, Drodzy, że uczęszczaliście na katechezę, a więc macie dostateczne wykształcenie religijne. To za mało. Wasza wiedza religijna i wasze życie religijne winny się ubogacać i pogłębiać równoległe do rozwoju wiedzy ogólnej. Inaczej nastąpi zachwianie równowagi, aż do utraty wiary – co stanowi dramat losu ludzkiego.

Nie mówcie również: „Nie mam czasu”. Dla tych „przedmiotów” czas musi się znaleźć, bo od ich „przestudiowania” zależeć będzie nie tylko jakość kilkudziesięciu lat, lecz całej wieczności...

Stykając się z krwawymi dramatami rozdartych małżeństw i rodzin, duszpasterze akademicy szczególnie gorąco apelują o korzystanie z akademickich studiów na temat: miłość – małżeństwo – rodzina. I po wielokroć już wyjaśnialiśmy, że z tego studium winna korzystać młodzież w pierwszych latach studiowania, zanim nastąpi wybór par, bo właśnie przy błędnym wyborze często już nawiązują się dramaty, czego można uniknąć przez przemyślenie warunków dobrego wyboru.

Inauguracja roku akademickiego 1987/88.

WIARA I CZYN

DANA MI JEST WSZELKA WŁADZA

Człowiek dąży do posiadania władzy. A gdy ją posiadzie, choć zawsze w miniaturze wobec władzy Boga, biada innym i jemu samemu – napędzanie, poniżanie, więzy, więzienia, tyrania i śmierć wokoło.

Władza to trucizna, to wiadomo od tysiącleci. Oby nikt nigdy nie uzyskał władzy materialnej nad innymi! Ale dla człowieka, który wierzy, że jest nad nami coś wyższego – i jest dlatego świadomy swojej ograniczoności – władza nie jest jeszcze śmiertelną groźbą. Dla ludzi bez owej wyższej wiary – władza to trupi jad. Jeżeli się nim zarażę, nie ma ratunku.

Jezus posiada władzę absolutną: „Dana mi jest wszelka władza” (Mt 28,18). Ale On jej nie nadużywa. Nawet ją ukrywa. I nie mówi: Idźcie i podbijajcie! Idźcie i napędzajcie! Straszcie i karzcie, a nieposłusznych depczcie i zamykajcie w więzieniach! Lecz mówi: „Idźcie i nauczajcie”, tzn. ukazujcie wartości, wychowujcie w trudzie i cierpliwości, a nawet sami idźcie do więzień i bądźcie gotowi na śmierć.

Dlaczego taka droga? Bo Jezus wie, że groźbami, batami, więzieniami i wszelką siłą materialną można stworzyć stado, kolektyw tchórzy, grupę aresztantów, ale nigdy wspólnotę ludzi wolnych. Wspólnotę ludzi wolnych – rodzinę, społeczeństwo można stworzyć tylko przez wyzwalenie w człowieku wewnętrznej siły grawitacyjnej, siły przyciągania, którą nazywamy miłością.

Nawet w dziedzinie materii tylko dzięki wewnętrznej sile przyciągania, grawitacji, tworzy się mikrokosmos i makrokosmos. Biciem, kluciem, nakładaniem obręczy nie zbuduje się z oddzielnych elementów ani atomu, ani komórki organicznej.

Tym bardziej w świecie moralnym i duchowym. Tam tylko miłość prowadzi od wielkości do jedności.

Idealną jednią w wielości jest Trójca Przenajświętsza. A tę jednię natury w troistości Osób tworzy idealna, absolutna Miłość.

I do takiej idealnej jedności przez miłość jesteśmy wszyscy wezwani. Jest to droga długa, trudna, ale jej skracanie przez używanie władzy i siły nie prowadzi zgoła do celu – prowadzi do stada, do łamania charakterów, do tyranii i niewoli.

Tworzenie wolnej jedności w człowieku, rodzinie, społeczeństwie, państwie i rodzinie ludzkiej może się odbywać tylko drogą wyzwiania i rozpalania miłości, której niewyczerpalne źródło jest w Trójcy Przenajświętszej.

KRÓLESTWO NIEBIESKIE

Można by streścić naukę Jezusa, całą Ewangelię jednym słowem – królestwo niebieskie, królestwo Boże. Jezus, gdy wystąpił z publiczną działalnością, zaczął właśnie od tego słowa: „Przybliżyło się do was królestwo niebieskie” (por. Mt 4,17).

Ewangelia to właśnie objawienie i proklamacja tego królestwa. Jakież ono jest? Nieraz na ten temat słyszeliśmy różne rozważania, może nawet coś przeczytaliśmy i może niektórzy z was powiedzą, że tyle razy o tym słyszeli, o czym tu jeszcze mówić?

Moi przyjaciele drodzy, tak nie mówcie. Bóg bowiem jest Istotą nieskończoną, umysł ludzki nie jest w stanie go ogarnąć. Nigdy do dna Pana Boga nie ogarniemy, okiem nie obejrzymy. Ale nie tylko Pana Boga nie jesteśmy w stanie w pełni pojąć, objąć ramami swego umysłu, lecz także nie możemy tego uczynić z Jego działalnością, także z innymi prawdami, które wiążą się z Jego istnieniem. Tak samo to są treści bez dna. Przypomnę słowa rosyjskiego filozofa, Dymitra Mereżkowskiego: „Jak niebo nocą – im dłużej patrzeć, tym więcej gwiazd”. Im głębiej, im dłużej patrzymy w treść jakiejś prawdy, tym więcej gwiazd odkrywamy i nigdy do dna.

Otóż Jezus, jako najlepszy pedagog i dydaktyk, jako najlepszy znawca wszystkiego, proklamując Ewangelię, królestwo Boże, nie używa słów adekwatnych, bo takich nie ma. Tylko matema-

tyka albo logika formalna posługują się nimi, natomiast nie ma takich słów odnoszących się do Pana Boga i Jego dzieła. I stąd też Jezus używa analogii: Królestwo niebieskie podobne jest do sieci, do perły, do skarbu ukrytego w roli. Wciąż „podobne”... Gdy mówimy o Bogu, że jest dobry, to słowo wyraża tylko podobieństwo, ale nigdy adekwatność – Bóg jest nieporównanie dobry, do „entej” potęgi trzeba podnieść to ludzkie słowo.

Nam się czasem wydaje, że rozumiemy, co to jest miłość, miłość Boga do nas i nas do Niego. Nieprawda. Jeżeliby ktoś tak sądził, to byłby bardzo spłaszczonym człowiekiem. Nie jesteśmy w stanie nawet miłości ludzkiej objąć adekwatnym słowem.

W innym miejscu Jezus powie: królestwo niebieskie podobne jest do ziarna gorczycznego – małe ziarenko, ledwie dostrzegalne kura prędzej dostrzeże niż my, a jednak Jezus mówi, że podobne jest do Niego. Ale jeżeli zostanie ono wrzucone do „roli”, zostanie uprawione, wyrasta z niego krzew albo nawet i drzewo, na którym ptaki wija swoje gniazda (Mt 13,32).

Jezus też mówi w innym miejscu, że królestwo niebieskie „w was jest”... Gdy Apostołowie sądzili, że Jezus mówi o królestwie ziemskim, o zorganizowanym państwie, o królu, On zdecydowanie ich koryguje.

Prostuje też słowa Piłata, który zadaje pytanie: „Czy ty jesteś królem?” – Jezus odpowiedział: „Tak, jestem królem” (J 18,37), ale „królestwo moje nie jest z tego świata”, „królestwo moje nie jest stąd”. Na pozór wydaje się ono małe, niepozorne, właściwie o czym tu mówić, co tu proklamować? I w dodatku z takim królem, który został pobity, poniżony, skrepowany, ukoronowany na szyder-

stwo cierniem... Należałoby się wstydzić takiego króla!... A On oświadcza, że jest królem, jeżeli oczywiście te słowa „król”, „królestwo” nie zaciemniają jednak tego królestwa Bożego, bo słowa te są u nas zdeprecjonowane i nie pomagają nam pojąć tego przynajmniej w jakimś zakresie.

Otóż królestwo niebieskie, takie na pozór małe, jest potęgą, siłą witalną. Ilustracją tej potęgi jest ziarno gorczyczne, które jest małe, a potem rozrasta się; perła – cóż to, kawałek szkielek, ktoś może w ogóle tego nie docenia; skarb – jakieś miedziaki, monety, a jednak ludzie myślący i widzący sprzedają wszystko, rzucają „na stos”, aby taki skarb nabyć, aby wejść w uszczęśliwiające dynamizmy tego niepozornego z zewnątrz królestwa.

Jest ono wieczne i rozrasta się na ziemi i we wszechświecie, i w bezkresie wieczności, to jest w Królestwie, w Absolucie, w samoistnym Bogu, we Wszechpotędze i Wszecchmiłości. Jest wieczne, nigdy nie upadnie, nie załamie się, nie rozłoży. W nim wszyscy jego mieszkańcy znajdują pełnię życia i szczęścia.

A my skłonni jesteśmy do kultu królestw ziemskich, a ich cechą charakterystyczną, a zwłaszcza imperiów, jest dynamizm, chciwość, rozszerzanie się, podbijanie narodów i ludów. Dążą one do jak największej władzy nad poddanymi. Najczęściej ustanawiają normy prawne, organizują siły zbrojne pod kątem utrzymania w ryzach swoich obywateli. Są hałaśliwe, demonstracyjne, fasadowe, wielkie i dumne, uzbrojone od stóp do głów. Jesteśmy i dziś świadkami takiego imperium, które budzi lęk, postrach ludzi.

Ale znam trochę historię i wiem, że takie świeckie imperia, w których siłą dośrodkową jest strach, lęk, więzienia, baty, wcześniej czy później

się rozpadają i dają w ten sposób świadectwo o sile królestwa Bożego.

Widzimy te zjawiska szczególnie na przykładzie Imperium Romanum. Było potężne, miało wielkie wojsko, gwardię, kulturę materialną. Na chrześcijan patrzono z góry jak na grupy niedorozwiniętych Żydów, traktowano ich wiarę jako zabobon. A oto to chrześcijaństwo rosło i rozrastało się wciąż jak drzewo gorczyczne, a Imperium Rzymskie ulegało erozji. I nie tyle siły zewnętrzne dokonały jego zagłady, ale siły wewnętrzne, te drożdże, ziarna, niepozorne dynamizmy tego życia wyższego, które fermentowały, ogarniały coraz szersze kręgi ludzi i dokonywały osłabienia tego Imperium. Nie było ono gorsze od tych nam znanych. Rozpadło się na naszych oczach to dumne, zarozumiałe, aroganckie, uzbrojone w żelazo. A im więcej dumy, pewności rządców takiego imperium, tym prędzej będzie się rozkładało, tego nie trzeba udowadniać.

Toteż chrześcijanie nie powinni popadać we frustrację, że oto nam się nie udało poskromić imperium, rozluźnić, doprowadzić do gruzów. Na to trzeba czasu, ludzi, chrześcijan, którzy podejmą poważnie, na serio proklamację królestwa Jezusowego, którzy pójdą za głosem Pana Jezusa: „Szukajcie najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości jego” (por. Mt 6,33).

Tego dokonają ludzie, którzy w sobie, w swojej rodzinie, w najbliższych kręgach na zasadzie obowiązku misyjnego będą szukać, budować, rozszerzać.

W jaki sposób będzie się to odbywać? – pytamy po raz setny.

Otóż królestwo Chrystusowe tu, na ziemi, które „w was jest”, to królestwo prawdy – w tym szerszym

i najszerszym zakresie – w sobie przede wszystkim. Ono nie znosi fałszu. Jest to królestwo sprawiedliwości – oddaj, co komu należy: komu cześć – cześć, komu sprawiedliwość – sprawiedliwość.

To także królestwo wolności – nie ma w nim gwałtu. Jezus nikogo nie straszył, nie naginał ani nie wykluczał. Daje swobodę: macie prawo odejść, tylko pomyślcie, dlaczego odchodzicie? Jak Ojciec Święty powiedział podczas pierwszej wizyty w kraju na Błoniach Krakowskich: Człowiek może powiedzieć Bogu: nie. Może się do Niego nawet tyłem odwrócić, tylko, człowieku, nie bądź głupi, zapytaj nawet po raz pięćdziesiąty, dlaczego mówisz Chrystusowi: nie! Ale jesteś wolny, możesz to głupstwo, to szaleństwo zrobić. To także królestwo wolności, życzliwości, siła dośrodkowa dobra w skali doczesnej i wiecznej. Jest ono królestwem miłości, tej autentycznej, głębinowej, bezinteresownej. Jeżeli ktoś robi coś interesownie, to nie jest miłość, to jest handel wymienny, komercjalizm.

O tej autentycznej miłości pisze nawet ateista Erich Fromm. Na pytanie, czy istnieje miłość interesowna, odpowiada, że nieporozumienie tkwi w samym pytaniu. Bo jeżeli pytasz o miłość interesowną, to nie pytasz o miłość, tylko o coś innego. Miłość z definicji jest bezinteresowna.

Otóż właśnie wyzwalając i utwierdzając takie wartości w sobie, utwierdzaj je i poszerzaj w kraju. Jeszcze musimy tutaj wymienić bardzo doniosłe współczynniki, takie jak praca, ofiara, poświęcenie. Jeżeli to wszystko zdynamizujemy w sobie, to czynimy to, do czego Jezus wzywa: Szukaj królestwa Bożego, buduj i rozszerzaj je. Ono wtedy spontanicznie się rozszerza, jak drożdże w dobrze rozmieszanym cieście. Możemy krótko, w jednym zdaniu streścić to wezwanie Jezusa

do walki o królestwo Boże, które wypowiada św. Paweł w jednym z listów: „Zło dobrem zwyciężaj” (Rz 12,21). Zło możesz zwyciężyć tylko dobrem, a jeżeli chcesz je zwyciężać złem, to nie tylko nie budujesz, ale rujnujesz, powiększasz kapitał zła, powiększasz zło.

Jeżeli na nienawiść odpowiadasz nienawiścią, to przecież zło powiększone jest o jeszcze jedną osobę. Gdy jeszcze on i ja werbujemy stronników, ta nienawiść bardzo szybko się rozszerza, jak te złośliwe komary, muchy czy bakterie. Otóż zło może być zwyciężane tylko dobrem i to w tych wymiarach jak: prawda, sprawiedliwość, wolność, życzliwość, ofiara i miłość.

Boże mój, a jakże my niepoważnie traktujemy tę Twoją proklamację, jak nadal jesteśmy czcicielami Baala, potęgi głośnych czynów, oręża, wielkich ludzi, którzy wynaleźli takie czy inne instrumenty, by niszczyć człowieka i przyrodę.

Adam Mickiewicz, idąc za Jezusem, trawestując Jego myśl, powiedział: „Przyjdzie czas, gdy wielkie imiona pogniją, a z cichych ziaren uwite kłosa świat pokryją. Przeminiem z hałasem i gawędą. Błogosławieni cisi, oni ziemię posiedzą”. I tę ziemię, i tamtą, ostateczną.

Toteż szukajcie nie tylko tu, w kościele, ale i w warsztatach, i przy stole, na spacerze, w dyskusjach – wszędzie jako ci sami chrześcijanie.

Na serio traktujcie tę proklamację królestwa i wtedy będziemy zmierzać do polepszenia sytuacji także naszej Ojczyzny, bo gdzie imperia się rozkładają, tam mniejsze narody zaczynają rozkwitać.

Ale też nie mówmy, że wszystko stracone albo że „szablą odbierzemy”, jak śpiewano w pieśniach patriotycznych. To się skończyło, szablą nie odbie-

rzemy, nie wydrzemy z paszcz czołgów czy rakiet wolności ani godziwego życia; odzyskamy je tylko budując królestwo niebieskie w nas! Ono nie zna granic. Już fermentuje nawet w sercu wielkiego imperium i dokona ono tej błogosławionej dezintegracji jakby to powiedział profesor Kazimierz Dąbrowski – aby na jej gruzach powstała bogata integracja, wspólnota, rodzina, królestwo Boże na ziemi i w wieczności.

Stegna, 25 lipca 1984.

KTO BĘDZIE ZBAWIONY

Najbardziej istotną treścią dzisiejszego słowa Pana jest pytanie skierowane do Jezusa z tłumy: „Panie, czy tylko nieliczni będą zbawieni?” (Łk 13,23). Tego człowieka i innych ludzi, którzy chodzili za Nim, interesowało najbardziej to, co stanowi rzeczywiście istotę losu ludzkiego – zbawienie. Kto, kiedy i jak będzie zbawiony? Te pytania zadawali Jezusowi.

Niestety, w ostatnich czasach, mimo że rozwinęły się pewne formy modlitwy, liturgii, o wiele za mało stawiamy pytań na temat naszego zbawienia, na temat losu człowieka, jego przeznaczenia, sensu, zadania. To stanowi istotę naszego życiorysu, naszej biografii, przecież po to zostaliśmy stworzeni, ażeby osiągnąć zbawienie.

W starych katechizmach, tych, z których uczyły nas matki, były wyraźnie podkreślone pytanie i odpowiedź: „Po co Pan Bóg stworzył człowieka?” – „Po to, żeby Go znał, kochał, Jemu służył, a potem otrzymał życie wieczne”. I jeszcze słyszeliśmy jasną odpowiedź na pytanie: „W jaki sposób możemy być zbawieni?” – „Łaska Boża jest do zbawienia konieczna”. Człowiek o własnych siłach nie może być zbawiony, nie może wdrzeć się do królestwa Bożego i zasiąść za stołem na tej bezkresnej uczcie.

A to jest właśnie nasz ostateczny cel – królestwo Boże na tamtym lądzie i wieczna ojczyzna. To jest porównanie, metafora, ale ponieważ z reguły uczy

są pogodne, radosne, chociaż na chwilę uszczęśliwiającego człowieka na ziemi, Jezus nie waha się porównywać tego naszego zbawienia z przebły-skami szczęścia urządzanych na ziemi uczt. A co tam zgotował tym zbawionym, swoim wybranym, „tego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło”. I właściwie tam powinniśmy kierować możliwie często swój wzrok. Codziennie powinniśmy patrzeć na ten szczyt, który nas czeka, żeby się nie dać zgubić w małostkowości, w drobiazgach i porwać w wiry mniejszych i większych codziennych wydarzeń, czasami bardzo małych spraw. Żebyśmy umieli przedzierać się przez te wiry, mroki i spoglądać tam, na tę górę naszego zbawienia, gdzie „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1Kor 2,9).

Jeżeli będziemy wznosić się na ten szczyt, przeżyjemy coś podobnego jak wzlot podczas jazdy samolotem. Gdy jesteśmy na dole, jeszcze na lotnisku, wszystko jest ważne – i domy, i ludzie tacy bliscy, bo jesteśmy tak bardzo związani ze wszystkimi. A jak wzniesiemy się na wysokość pięciu tysięcy metrów nad poziom morza, znajdziemy się już ponad pułapem chmur, to wszystko nabiera innych wymiarów i znaczeń, wtedy wszystko maleje, nic nie widzimy na dole, domy i inne budowle stają się miniaturkami, domkami z kart. I wtedy wszystko staje się piękne w proporcji do bezkresu błękitu albo lawiny słońca, blasku, w którym się znajdujemy.

Żebyśmy codziennie oderwali się choćby na moment na modlitwie porannej czy wieczornej i unosili się ponad mgłę i obłoki doczesnego świata, ponad nasze cierpienia, doznania, kłopoty i braki,

które często podnosimy do rangi tak wysokiej, że zdolne są po prostu niemal wszystko utopić, zamiast zainwestować w ten skarb – wtedy nabieralibyśmy coraz bardziej właściwego dystansu do codzienności i wszystko widzielibyśmy we właściwych proporcjach. Żebyśmy traktowali to jako śmieć wobec zbawienia. Wszystko się zbawia przez Krzyż Jezusa, który był i jest kluczem do zbawienia. Wszyscy jesteśmy przeznaczeni do zbawienia.

„Nie jesteśmy jak grzyby po deszczu – jak pisał Tołstoj – które urosły po ulewnym, ciepłym deszczu, a potem deptano je igniły”. Pewno i one mają jakiś sens w przyrodzie, ale jeżeli człowiek zrezygnuje z siebie i przyjmie rolę tego grzyba, który nie wie, po co się zrodził w tym lesie świata i dokąd zmierza, to właściwie tam nie ma zbawienia dla tego człowieka, jest ono zakwestionowane. Dziś, gdy się nad tym tematem zastanawiamy i widzimy w pewnych momentach dość ostro ten cel naszej podróży, naszej ewolucji od łona matki poczynając, jesteśmy zaniepokojeni i nawet przerażeni i pytamy: Czy będziemy zbawieni?

Otóż Jezus zapewnia nas, że będziemy zbawieni tylko pod pewnymi warunkami. Zbawienie nasze zawisło od Jego łaski, od Jego krzyża, bo On właśnie ten krzyż podjął dla naszego zbawienia. „Zbawienie przyszło przez krzyż” – śpiewamy. Człowiek, który podjąłby największe ofiary czy jakiegokolwiek wymyślnie modlitwy, nie mógłby o własnych siłach osiągnąć zbawienia.

Nasi bracia w Starym Testamencie, którzy byli prawi, sprawiedliwi, nie osiągnęli zbawienia. Oni znajdowali się w przedsionku sali biesiadnej, użyję znów tego porównania, przygotowanej dla nas przez Boga. Znajdowali się gdzieś pośrednio między stanem wiecznego mroku, wiecznego oddale-

nia a stanem oglądania jasności i blasku Pana Boga. Gdy mówimy w „Wyznaniu wiary”, że Jezus „zstąpił do piekiel”, to właśnie zstąpił tam, do tego przedsionka nieba, ażeby obwieścić tym, być może, milionom oczekujących duchów radosną nowinę, Dobrą Nowinę, Ewangelię – że niebo jest dla nich otwarte, że będą oglądali twarzą w twarz nieskończony majestat Pana Boga.

Otóż można by i tak to widzieć, że w łonie matki dziecko przygotowuje się do tego, ażeby spełnić swoje zadanie tu, na świecie. Człowiek wierzący, chrześcijanin, przez chrzest włącza się w łono Kościoła i w nim spontanicznie, nie zawsze ze świadomością, a częściej bez niej, dojrzewa do tych trzecich i ostatnich narodzin – do życia wiecznego. Tak jak w łonie matki dziecko jest włączone w arterie krwionośne, powoli, bez jego świadomości formują się organy życia przyrodzonego w czterowymiarowym świecie, tak też w łonie Kościoła-Matki w każdym chrześcijaninie formują się, bez jego świadomości, organy życia nadprzyrodzonego.

Wiara wciąż się w nas pogłębia, pogłębia się wciąż miłość, nadzieja i wszystkie formy miłości Boga i człowieka. Jeżeli jesteśmy włączeni w łono Matki-Kościola, jeżeli ta Boża krew przebiega bez przeszkód przez arterie i żyły naszego organizmu wewnętrznego, wtedy odbywa się to nasze przygotowanie – przez Krzyż, przez zbawcze działanie Chrystusa – do narodzin, do wejścia w krainę, gdzie panuje światłość wiekuista i ten klimat, o którym św. Paweł mówi, a którego charakterystykę wcześniej przywoływaliśmy: „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1Kor 2,9).

Włączając się w ten organizm Kościoła powszechnego, Mistycznego Ciała Chrystusa, w łono Matki-Kościoła, i spełniając wszystkie sakramenty, oczyszczając swoją duszę w sakramencie pokuty, włączając swego ducha przez Eucharystię – równocześnie musimy pamiętać także o naszych braciach. Ktoś słusznie napisał, że żaden człowiek, zwłaszcza żaden kapłan, nie zbawi się sam. Będzie zbawiony w społeczności albo nie będzie zbawiony. Stanowimy jeden organizm zbiorczy w łonie Kościoła, organizm mistycznego Ciała Jezusa, jesteśmy ze sobą zespoleni, za siebie odpowiedzialni. Jeżeli przestanę być odpowiedzialny, zapominam o swoich braciach, nie dbam o nich, bylebym sam był zbawiony, mogę się wtedy ze zbawieniem rozminąć. Muszę być – tak jak Jezus, choć na małą skalę – odkupicielem mego otoczenia nie z własnej mocy, ale mocą Krzyża Jezusa i mocą Jego sakramentów i Jego łaski. Mam być „małym odkupicielem” mego środowiska.

Matka, córka, syn czy ojciec w rodzinie, w środowisku pracy, w zgromadzeniu zakonnym, w grupie społecznej, we wspólnocie muszą wciąż, sprawując swoje zbawienie, pamiętać także o zbawieniu braci nie tylko w najbliższym środowisku, ale i największym środowisku – całego świata i całej ludzkości.

Oto sens modlitwy za naszych braci, odnoszenia się do nich z ofiarną pomocą. Boże, nie bądźmy tacy zarozumiali, bo nasza modlitwa sama z siebie właściwie ma bardzo małe znaczenie, a czasem może go w ogóle nie mieć. Gdybyśmy sądzili, mówiąc „Panie, zbaw czarną Afrykę” czy „zbaw Rosję”, że to od nas zależy, byłibyśmy skończeni zarozumiali. Modląc się za innych, czynimy to na tej zasadzie, że jesteśmy włączeni

w Chrystusa, z Nim zespoleni, że właściwie wyrażamy, jako „mali odkupiciele”, Jego wolę i Jego pragnienie – jeżeli jesteśmy włączeni w Kościół i w Niego samego.

Otóż biorąc do swego umysłu i serca te ziarna, które nam dzisiaj Chrystus przypomniał, czuwajmy nad tym, aby wrony, kruki czy dzikie ptactwo, jak w tej przypowieści (por. Mt 13,4), nie wydziobały ich, żeby te ziarna prawdy o zbawieniu w nas żyły, żeby się w nas rozwijały i przynosiły owoce w stosunku do nas samych i naszych braci najbliższych i do całego świata. Żebyśmy na małą skalę byli zbawicielami i odkupicielami człowieka i świata.

*Dzień skupienia,
Wałbrzych, 24 sierpnia 1980.*

KUSZENIE JEZUSA I KAŻDEGO CZŁOWIEKA

Jak tam było? Na pewno był Bóg-Człowiek i osobowy, inteligentny kusiciel (por. Mt 4,1-4).

My także bywamy i będziemy kuszeni. Jak? Różnie. W najcięższych dniach i godzinach.

Dziecko pyta: Dlaczego, proszę księdza, jak klękam do paciorka, wtedy przychodzą mi do głowy różne myśli?

Myślący starsi chrześcijanie pytają: Dlaczego przy modlitwie, na Mszy świętej, nawet przy Komunii św. przychodzą niezwykle ciekawe myśli i wyobrażenia? Dlaczego w nas tyle wybiegów, usprawiedliwień i lenistwa w stosunku do niewielkich nawet obowiązków i trudów w życiu religijnym? Dlaczego tak szybko ulegamy zniechęceniu, buntom, rozpaczom? Dlaczego grzech, zło są takie atrakcyjne, dlaczego umieją przemawiać tak „życiowym” i „inteligentnym językiem”? Dlaczego tak szybko rozrasta się plaga alkoholizmu – tak sprzeczna ze zdrowym rozumem, godnością człowieka i dobrem narodu? Dlaczego tak nędzne argumenty „za” stają się dla wielu chwytliwe i „przekonujące”. Po co mam być inny? Pokażę, że jestem mężczyzną, że jestem dziewczyną „nowoczesną”. Wypiję dla „odwagi”. Upiłem się z ciekawości – jak to jest być pijanym. Wypada oblać imieniny, zdany lub niezdany egzamin, dyplom itp.

Jak to wytłumaczyć? Bez wątpienia drzemią i budzą się w naszej skażonej naturze różne ciemne siły i złe skłonności. Ale wywołuje i dynamizu-

je je osobowa negacja wszelkiego dobra i prawdy. Jezus nazywa ją diabłem lub szatanem, który nie oszczędza nawet najświętszych ludzi. On umie znaleźć w nich najsłabszy punkt obrony, „pięty Achillesa”, umie wyzyskać najtrudniejszą sytuację, by odwrócić ich od Boga i zniewolić w grzechu.

Porównaj strategię Mefista wobec Małgosi, interwencję jego z rozterką sumienia Iwana Karamazowa, zabiegi złych duchów o duszę Konrada w więzieniu.

I ty byłeś i będziesz kuszony. A więc czuwaj! Strzeż słabego punktu, „pięty Achillesa”. „Czuwajcie i módlcie się!”. Odrzucaj pokusę natychmiast, bez żadnych wahań i pertraktacji! „Pójdź precz!”. Wtedy aniołowie przystąpią do ciebie i będą ci służyć. Przeżywać będziesz radość zwycięstwa.

Zacznij od dziś stosować tę Chrystusową metodę walki z kusicielem!

31 marca 1982.

MIŁOWAĆ ŁAZARZA

Kilka słów odpowiedzi na słowo Pańskie, które jest skierowane do nas. Znow kontrast – obraz z czasów mgły wielkiego adwentu i mroku oraz obraz z Nowego Testamentu.

W Starym Testamencie działy się rzeczy okrutne. Trędowaty, głosiło Prawo, musiał nosić rozewrane szaty, włosy w nieładzie, brodę zasłoniętą i, co gorsze, gdy zbliżali się do niego ludzie, miał wołać: Nieczysty, nieczysty!

W Nowym Testamencie obraz radosny, pogodny: „Tyś moją ucieczką i radością moją” – śpiewał trędowaty, gdy padł na kolana. Z pewnością go odpychano, z pewnością wołano: Nieczysty, nieczysty! Ale on przedarł się jednak jakoś przez ten tłum i znalazł się przy Tym, który potrafi najbardziej rozfalowanym tłumom rozkazać i są Mu posłuszne równie jak rozfalowane jezioro Genezaret. Wyciągnął ręce i wołał: „Jeżeli chcesz, możesz mnie oczyścić!” (Mk 1,40). Jezus wyciągnął ręce do niego i rzekł: „Bądź oczyszczony”. I został oczyszczony.

To są obrazy miniaturowe, ale przecież ilustrują charakter epoki, w której mało było wrażliwości, mało empatii, gdzie panował duch wielkiego okrucieństwa.

I obraz Nowego Testamentu, obraz Tego, który przyszedł, by oczyścić i leczyć, aby uzdrawiać i podnosić, aby wyzwalać w człowieku, w swoich wyznawcach przede wszystkim tkliwość, wrażli-

wość, empatię, ażeby pochylać się właśnie nad człowiekiem nieczystym, niedołężnym i słabym.

A więc można by powiedzieć za profesorem Kazimierzem Dąbrowskim: Nie bójcie się w chrześcijaństwie, nie bójcie się słabi, nie bójcie się chorzy, nawet bądźcie błogosławieni chorzy, nawet niespełna rozumu, nawet opętani. Nie bójcie się! Bądźcie pozdrowieni w Nowym Testamencie! On przede wszystkim do was się zwraca i pochyla się nad wami, przede wszystkim nad tymi maluczkimi, najbiedniejszymi, najbardziej cierpiącymi.

Nadal panuje taki porządek, że skutki grzechu pierworodnego jeszcze dają o sobie znać. Ale kto się zetknie z Tobą, Panie, kto prosi, jak ten trędowaty, z wiarą: „Możesz mnie oczyścić?” (Mk 1,40), ten zostaje oczyszczony. I dostaje światło i moc z zewnątrz, by umiał znieść to cierpienie, ażeby mógł nawet ofiarować je na chwałę Bożą, tak jak uczy św. Paweł: Czy jecie, czy pijecie, czy chorujecie, czy stajecie w obliczu śmierci, wszystko na chwałę Bożą czyńcie. We wszystkim jest sens, ze wszystkiego wyście, wyście ku zdrowiu, ku jasności, ku radości.

Jezus pragnie, abyśmy również, jako Jego wyznawcy, naśladowali Go, jak Paweł wzywa: „Bądźcie naśladowcami moimi, jak ja jestem naśladowcą Chrystusa!” (1Kor 11,1). Na małą skalę powinniśmy też być odkupicielami naszych braci. W tym sensie trochę przenośnym, ale i dosłownym, bo nie my właściwie oczyszczamy ludzi, nie my podnosimy, nie my uzdrawiamy, tylko On przez nas może to uczynić. Jeżeli znajdzie w nas mieszkanie, przyjęcie, jeżeli w Nim możliwie się w pełni jednoczymy.

Tak, mamy Go naśladować. Jeżeli wprowadzamy rozróżnienie wśród ludzi, jeżeli dzielimy ich na miłych i niemiłych, na sympatycznych i niesympa-

tycznych, na lubianych i nielubianych – to właśnie Jezus pragnie, abyśmy się pochylili nad niesympatycznym, nielubianym, tym niemiłym, tym „nieczystym”, nawet czasami „trędowatym” w tym sensie, że to ciężki charakter, trudny człowiek, a my skłonni jesteśmy go omijać: „Nieczysty, nieczysty!”.

Otóż Jezus pragnie byśmy się nad nim pochylili, byśmy się pochylili nad wszystkimi Łazarzami, jakich spotkamy na naszej drodze. Ta przypowieść jest wzruszająca i jest odpowiednikiem tego pochylenia się Jezusa nad trędowatym.

Tam, u progu ucztującego magnata, leży być może jego sługa. W ten sposób jest emerytowany, że znalazł się przy progu i nikt ani z dworzan, ani z gości nie zwraca na niego uwagi. Przeciwnie, odwraca głowę i przechodzi koło niego mimo. Tylko litościwe psy przychodziły i lizaly jego rany. Tak było nie tylko w starożytności izraelskiej, ale i, jeszcze gorzej, poza jej zasięgiem. Słaby człowiek, kaleka czy ułomne dziecko, znajdowali swoje miejsce w przepaści na stokach skały.

Jezus rozbudził w swych wyznawcach coś z tych psów liżących rany. Powstały „prądy” w poszczególnych ludziach, w grupach, potem i w samym Kościele i poza jego zasięgiem. Przecież te wszystkie nasze domy dziecka, przytułki dla starców, szpitale, ambulatoria, całe instytucje Czerwonego Krzyża wypłynęły z Serca Jezusa. Właśnie z Jego pochylenia się nad nieczystymi, nad trędowatymi. To wszystko dzisiaj jeszcze bardziej wchodzi w ten zimny, okrutny, pogański świat...

Wiemy dobrze, że w nowym świecie, w obrębie kultury chrześcijańskiej, jeszcze niemało jest cieni okrucieństwa, cieni tych bogaczy, którzy w ten czy w inny sposób uczują, cieszą się swoją młodością, zdrowiem, urodą, bogactwem, talentami. Cieszą

się i każą się innym cieszyć, ale nie podziela się z naszymi braćmi Łazarzami, trędowatymi. Dużo ludzi jest w naszych domach, czasami babcia, dziadek, matka są takim Łazarzem, któremu psy liżą rany. A dzieci?... I właściwie w każdym budynku, nie tylko w domach dzieci upośledzonych, znajduje się chyba jakiś Łazarz. Jeden czy kilku. W tym rzecz, że jeśli chcemy być naśladowcami Jezusa, naśladowcami św. Pawła, jeżeli chcemy oddalić się od ponurych obrazów starych czasów, to musimy spostrzegać ludzi wszędzie i nad nimi się pochylać. Przynajmniej jakoś pogłaskać tego człowieka. Nie musimy długo z nim przebywać – choćby malutka uwaga, choćby uśmiech czy wyciągnięta ręka.

Pogłaskać – to słowo wiąże się z tym, co wczoraj przeżyliśmy z naszym bratem psem, jakby powiedział św. Franciszek. Był smutny, gdy szedł do nas. Gdyśmy go głaskali, ożywił się, odnalazł jakby swoją młodość. Jaki uradowany poszedł daleko w góry. Pomyślałem sobie, mój Boże, ile to mocy, ożywczych prądów, które przywracają młodość, radość, zdrowie nawet zwierzęciu. Jakże czasami jesteśmy skąpi w gesty wobec naszych braci, zwłaszcza starych, chromych, niemitych, trędowatych, Łazarzy...

Jeśli będziemy robić rachunek sumienia, może postarajmy się dostrzec w naszych kręgach także tych trochę dyskryminowanych ludzi i może coś postanowimy, może coś ofiarujemy Jezusowi poza wyjątkowo łatwą modlitwą. Abyśmy nie odwracali naszych twarzy od ludzi ułomnych, kalek, brzydkich, starych, ażebyśmy przede wszystkim spostrzegali tych umiłowanych przez Jezusa...

*Dzień skupienia,
Bardo Śląskie, 12 lutego 1979.*

NAJWIĘKSZA JEST MIŁOŚĆ

Na naszą religię chrześcijańską składa się pewien zasób wiedzy religijnej, filozoficznej, metafizycznej. I tej wiedzy o Bogu i człowieku powinniśmy się uczyć, powinniśmy ją pogłębiać wciąż i na nowo, gdyż religia nie zna granic, nie zna dna, jej nigdy dość. Obracamy się tam bowiem w kręgu tajemnic, a im bardziej się zanurzamy, tym horyzont tych tajemnic staje się szerszy. To jest paradoksalne.

Coś podobnego dzieje się także i w wiedzy świeckiej, im bardziej uczeni zanurzają się w daną problematykę, tym szersze horyzonty niewiedzy otwierają się przed nimi, a w religii w szczególności.

Ale oprócz wiedzy, obrzędów, liturgii, która też należy do religii, zwłaszcza chrześcijańskiej, istnieje wartość najwyższej rangi, która nie ma równej, o której powiedział nasz Pan, gdy na podchwytliwe pytanie odrzekł faryzeuszom, że największym przykazaniem Bożym, największym przykazaniem Zakonu, religii, nawet Starego Testamentu, a szczególnie Nowego Testamentu jest to: „Będiesz miłował Pana Boga swego z całego serca swego, z całej duszy swojej, ze wszystkich sił swoich” (Pwt 6,5). I podobne drugie: „a bliźniego będziesz miłował jak siebie samego”.

Otóż Jezus powiedział jednoznacznie, że najwyższą wartością jest to, co się nazywa w chrześcijaństwie miłością. Święty Paweł w swoim sławnym liście do Koryntian, w 13. rozdziale, mówił:

„Gdybym miał wiarę, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym”. Trzy wartości wyróżnione są w religii – mówił św. Paweł: „wiara, nadzieja i miłość – te trzy, a z nich zaś największa jest miłość” (1Kor 13,13).

Trzeba i warto poświęcić pewną ilość czasu i trudu, ażeby pogłębić swoją wiedzę, ażeby ją coraz bardziej ugruntować, zakorzenić w naszej świadomości. Ale winniśmy się jej uczyć, a nawet studiować miłość. Jest to najwyższa wartość, to jej trzeba poświęcić jak najwięcej uwagi, czasu i trudu, to jest jasne.

I dlatego też od pewnego czasu – bo kapłan ma również swoje falowanie w życiu wewnętrznym; raz akcentuje jedną prawdę, drugi raz przeżywa drugą, trzeci raz fascynuje się inną – jakby na nowo zacząłem uświadamiać sobie, jakby kurtyna przed moją świadomością się podniosła: przecież ty tyle czytasz, tyle studiujesz, tyle teologii już masz za sobą, a przecież jednego tylko potrzeba, właśnie tego, co obrała Maria w domu, do którego Jezus przychodził w gościnę i tam ją pochwalił przed Martą, krytykującą swą siostrę. „Marto, Marto troszczysz się o bardzo wiele, a jednego tylko potrzeba” (por. Łk 10,41). Jezus miał na myśli działanie i postawę miłości. To zjednoczenie z nią – to jest istota rzeczy; zabiegasz o bardzo wiele, a jednego tylko potrzeba.

I otóż odkryłem kiedyś tę fascynującą prawdę i to wezwanie. Powiedziałem sobie, jeżeli miłość jest najwyższą wartością, to wtedy powinienem jej poświęcić stanowczo więcej czasu, uwagi, ofiary, trudu, więcej tego uczenia się jej. Słyszeliście o tym, gdy św. Jan Apostoł był stary, schorowany, uczniowie przyprowadzali go pod rękę do świątyni na spotkanie, powtarzał jako homilię wciąż to

samo. Mówił: Syneczkowie, bracia, miłujcie się wzajemnie, miłujcie się nawzajem i jeszcze raz miłujcie się nawzajem. Uczniowie kiedyś zwrócili mu uwagę: Mistrzu, wciąż powtarzasz to samo, może byś coś innego nam powiedział. A on odpowiedział z poważnym wyrazem twarzy: Syneczkowie, jeżeli to przykazanie wypełnicie, to właściwie wszystko wypełnicie, niczego więcej nie potrzeba, jako że „Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy” (Mt 22,40). Jeżeli tutaj, na tym obszarze będziesz bogaty/bogata, to jesteś na drodze zbawienia, szczęścia czy okrucich szczęścia tutaj, na tym świecie, a pełni szczęścia za horyzontem.

Stąd też, moi młodzi przyjaciele, ja również, nie dorastając do kolan tego wielkiego Apostoła, którego tulił Jezus do swojej piersi, nie dorastając do jego miłości, pomyślałem, że coś podobnego powinienem czynić wciąż, ilekroć spotkam się z młodzieżą. Wciąż mówić o najlepszym, o czymś najbardziej wartościowym. A skoro miłość jest najbardziej wartościowa, to wtedy – o miłości. Jest to temat przebogaty i od strony psychologicznej, i od teologicznej, i od strony praktycznej. I właśnie ten obszerny temat powinniśmy opracować, zanurzyć się w nim. Ośrodki duszpasterstwa akademickiego mają na uwadze przede wszystkim pogłębienie wiedzy religijnej, bo żeby kochać, trzeba wiedzieć, kogo mam kochać, jak mam kochać, trzeba studiować, czym jest miłość, jakie są jej aspekty, jak ją można pogłębić, zdobywać, ubogacić. To wszystko należy do naszych zadań. Drodzy, na pewno w ciągu tego minionego roku akademickiego jakiś krok poczyniliście w głąb tego królestwa miłości, w głąb – można by powiedzieć – Serca Jezusowego. Może więcej uczyniliście na płaszczyz-

nie pogłębienia wiedzy, to też dobrze. Czuwajmy, ażeby te wartości, może nie ugruntowane jeszcze, nie rozplynęły się na wakacjach.

Stary filozof Seneka dość często powtarzał takie słowa: „Wyszedłem między ludzi i mniejszym wróciłem człowiekiem”. Rozumiemy, co to znaczy. Można wyjść między ludzi, można wyjść do przyrody, do tego szerokiego wartkiego świata i można niestety wrócić mniejszym człowiekiem, uboższym w miłość chrześcijaninem.

Otóż nie powinniśmy tego za żadną cenę uczynić. Powinniśmy dążyć, żeby te wartości, które już zakiełkowały w naszych sercach, utrwalić, ubogacić, szukać, zdobyć i przyswajać nowe. A wakacje dają szansę. Przede wszystkim przed naszymi oczami otwierają się wielkie, wspaniałe horyzonty tej groźnej i pięknej przyrody. Jeżeli będziemy wędrować z ciężkim plecakiem albo też maszerować w jakimś szyku niezorganizowanym czy też skoordynowanym, jeżeli nie będziemy mieli utkwionych oczu w ziemię, w ścieżkę czy też chodnik, po którym idziemy, i jeżeli te oczy podniesiemy i spojrzymy na horyzont naszej ziemi, naszej wiosny czy naszego lata, jeżeli podniesiemy oczy jeszcze wyżej, wieczorem czy nocą w rozgwieżdżone niebo – wtedy może, drodzy przyjaciele, będziecie się ubogacać, będziecie przeżywać, kontemplować to piękno, które jest tylko mdłym odbłaskiem absolutnego piękna, piękna Pana Boga.

Kasprowicz, który wadził się jako młody poeta z Panem Bogiem, o czym sam pisze później, w wieku dojrzałym przyszedł do wiary i to pogłębionej. I sam wyznaje w „Księdze ubogich”: „Nie trzeba dębów tysięcy. Ta jedna licha drzewina z szeptem się ku mnie przegina i mówi – jest Bóg i czegoż ci więcej”. Modlił się też za tych, którzy

mają oczy spuszczone, którzy raczej tracą niż zyskują: „Ludzie, kochani ludzie, gdybym tak mógł, jak nie mogę, wyzwoliłbym waszą duszę, na skalną pchnąłbym ją drogę. Nie wleklelibyście się wówczas jak błędnych owiec gromada, nie wiedząc ku jakiej przełęczy swe kroki zwrócić wypada”. „Widniałyby wam wierzchołki, Boskimi wzniesione rękoma, i ścieżka, co do nich prowadzi, byłaby wszystkim wiadoma” („Księga ubogich” XXII).

A szkoda, że niektórzy tej ścieżki wiadomej nie odnajdują albo ubodzy wchodzą w tę krainę cudów i grozy przyrody i pracy twórczej i też wiele tracą.

Toteż moi drodzy przyjaciele, życzenie moje najserdeczniejsze, ażebyście te wakacje, przed którymi stoicie, wykorzystali. To jeszcze jedna szansa, ażeby studiować tego wielkiego, nieznanego Pana Boga w czeluściach kosmosu, ale też żeby się fascynować tym pięknem błękitu zachodzącego czy wschodzącego słońca, tymi cudami kwiatów, żeby przeżyć to piękno, a przez nie dojść miłości.

Nie darmo Cyprian Norwid napisze: „Piękno jest kształtem miłości”. Otóż niech piękno tych wakacji, które przed wami stoją, będzie dla was „kształtem” miłości.

Zakończenie roku akademickiego 1988.

NAM NIE WOLNO W MIEJSCU STAĆ

Podobnie jak w roku ubiegłym szukałem dla was jakiegoś najpiękniejszego prezentu z darów i wartości Bożych. Chciałem zrewanżować się chociaż w małym stopniu za waszą ciepłą życzliwość. I cóż, szukając tego słowa, tej wartości, znów natrafiłem na tę treść, ponad którą nie ma większej: perła drogocenna. Jezus powiedział, że warto wszystko sprzedać, ażeby tę perłę nabyć. Oczywiście znamy jej nazwę – to jest miłość.

Miłość to wielokształtny kryształ. Z różnych stron można na niego patrzeć i z różnych stron można widzieć cudowne światła, tęczowe barwy, można ujrzyć iskry sypiące się hen z bezkresów światłości wiekuistej.

Czym jest miłość do Boga? – zawężamy to pytanie do Boga. Otóż na to odpowiedział Jezus wiele razy. Między innymi: „Nie ten, kto mi mówi: Panie, Panie, wejdzie do królestwa niebieskiego, ale ten, kto pełni wolę Ojca mego” (Mt 7,21). A na Ostatniej Wieczerzy w swoim testamencie wypowiedział i te nam znane słowa: „Kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten Mnie miłuje” (J 14,21). A więc nie ten, kto mówi Panie, Panie, nie ten kto śpiewa tylko, nie ten kto deklamuje, recytuje, nie ten kto pięknie przemawia o miłości, nie ten kto się uśmiecha tylko, ale ten, kto pełni wolę Ojca, ten, kto zachowuje przykazania Jezusa. Jednym słowem ten, kto jest posłuszny, kto oddaje się do dyspozycji Panu Bogu.

Przypominacie sobie ten list, który Ojciec święty wysłał do młodzieży całego świata. Wyszedł tam z dialogu między młodzieńcem a Jezusem. Młodzieniec zadaje pytanie: „Nauczycielu, co dobrego mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?” (Mt 19,16). Jezus odpowiada mu najpierw pytaniem, a potem w dalszym ciągu mówi: Znasz przykazania: nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, nie oszukuj, czcij ojca swego i matkę swoją. W tych słowach przypomina Jezus rozmówcy niektóre przykazania Dekalogu. Szczęśliwy był ten młodzieniec, bo odpowiedział Jezusowi, że to zachowywał od swojej młodości, od swego dzieciństwa, a więc był posłuszny Panu Bogu. A to jest elementarna miłość, to są fundamenty autentycznej, niemówionej, niedeklamowanej miłości.

Drodroży, gdzie się uczyć takiej miłości – miłości oddania, miłości posłuszeństwa, miłości zawierzenia, miłości „do dyspozycji, Panie!”? Oczywiście uczyliśmy się jej przede wszystkim w szkołach swoich rodzin, w szkołach kościołów – naszych świątyń, w naszych salkach katechetycznych, uczyliśmy się przy różnych innych okazjach. Ale też tej miłości można się uczyć, i to jeszcze na jaką skalę, właśnie na tych pielgrzymkach. Dochodzimy do wniosku, że stają się one pierwszorzędą szkołą wszystkich wartości ewangelicznych, a przede wszystkim tej najwyższej – miłości. Pielgrzymka to właściwie szkoła miłości. Tylko trzeba rozumieć sens pielgrzymki, trzeba widzieć ją w świetle prawdy Bożej, w świetle teologii.

Czymże jest ona w jej świetle? Otóż nie jest to tylko sprawdzanie się, nie jest to tym bardziej wyczyn o charakterze sportowym, a nawet chociażby i o charakterze duchowym. Pielgrzymka nasza to znak pielgrzymki moralnej, to wezwanie do wspi-

nania się na górę moralną, to znak wspinania się na Jasną Górę naszego życia wewnętrznego, a więc przede wszystkim naszej miłości.

Toteż musi mieć ona ciąg dalszy po dojściu do naszego sanktuarium. „Nam nie wolno w miejscu stać”. Trzeba iść dalej i trzeba iść wzwyż. Z pewną radością słyszymy, jak niektórzy studenci mówią: „Fajna była pielgrzymka”. Radosne to. A niektórzy mówią: „Połkałem już bakcyła, na przyszły rok też pójdę”. To też radosne, ale to nie wszystko. Jeślibyśmy zakończyli tę pielgrzymkę na Jasną Górę i wrócilibyśmy do dawnych praw i obyczajów panujących także wśród większości katolickiej młodzieży polskiej; gdybyśmy zeszli w tę dżungłę walki o byt, wyrwanie sobie pierwszych miejsc w pociągu – kto silniejszy, kto bardziej cwany, ten pierwszy – to byłoby nieporozumienie, pomyłka! Tak nie może być. Nie można zmarnować tego wspaniałego, potężnego kapitału, potencjału moralnego, który się wyzwała na pielgrzymkach. Nam nie wolno roztrwonić tych pereł miłości, które tutaj po drodze zbieramy.

Toteż, moi przyjaciele drodzy, gdy z radością, w uniesieniu, ze ściśniętym gardłem niemal obserwujemy te wybuchy radości, które szczególnie mają miejsce już pod Jasną Górą, gdy czytamy transparenty naszych bratnich ośrodków, naszych bratnich miast i osiedli, gdy widzimy i słyszymy owacje mieszkańców miasta, gdy pozdrawiają nas paulini z tej świętej Góry, lży nam się w oczach kręca. Ale równocześnie chciałoby się pytać każdego chłopca i każdej dziewczyny: Bracie, czy nie zakończysz tej pielgrzymki tutaj pod murami Jasnej Góry? Nie wolno ci zakończyć. Na pielgrzymce nazywałeś wszystkich „braćmi” i „siostrami” – tak być powinno, okazywałeś szacunek

bratu i siostrze, dostrzegałeś ich potrzeby, ofiarowałeś pomoc i także swój radosny uśmiech, chociaż często bardzo trudny. To dobrze. Ale, drogi przyjacielu, zanieś to do swego rodzinnego domu, do swojego środowiska, żeby tam, w rodzinie, naprawdę wszyscy byli braćmi i siostrami, żeby nie było tam ponurej, mrożącej atmosfery. François Mauriac mówi, że jeżeli w tobie zabraknie miłości, wielu obok ciebie umrze z zimna? Czujecie, drodzy, obserwujecie, jak wielu umiera z chłodu, z zimna? Bo brak miłości, ziąb! Otóż ten ziąb trzeba przewyciężyć w swoich domach i w swoich środowiskach i tępić go jak zarazę.

Na pielgrzymce było dużo modlitwy. Czy nie mógłbyś o parę minut przedłużyć swoją modlitwę poranną i wieczorną? Czy nie potrafiłbyś przypominać sobie godzinę dwunastą nie jako godzinę czasu astronomicznego, tylko jako godzinę Maryi, jako godzinę Ojca świętego? Możesz to uczynić. Na pielgrzymce co dzień odmawialiśmy różaniec; nawet po trzy części – pięknie, dobrze. Co z tego zostanie? Czy choć jedno „Zdrowaś Maryjo”? A czy nie moglibyście bracie, siostrzo, zorganizować na przykład żywego różańca – zebrać piętnaście osób i zobowiązać się do odmawiania dziesięć „Zdrowaś Maryjo” w ciągu dnia? Tak niewiele, a takie to wspaniałe, taki to dalszy ciąg właśnie tej pielgrzymki na Jasną Górę.

Tutaj poskramialiśmy język, tutaj złych słów i podniesionych głosów się nie słyszy, tylko słowa dobre, przyjazne. Czy nie warto i nie trzeba przenieść ich w nasze codzienne życie, do naszych rodzin i domów, w życie naszych środowisk? Czy nie warto by podjąć zaciętej walki przeciwko brudom języka naszego ojczystego? Przyszły fale brudów, chamstwa, ordynarnych wyrazów, nawet

w środowiskach katolickich. Czy nie warto podjąć właśnie ten odważny trud, ażeby w sobie zahamować, zdusić, zgryźć to paskudne słowo? Tyle razy twój język, tyle razy twoje usta dotykały przynajmniej świętszego Ciała Pańskiego i teraz mają być na usługach zła, na usługach tego wstrętnego błota? Warto o tym pomyśleć, drodzy przyjaciele.

Na pielgrzymce uczestniczyliśmy co dzień we Mszy św. Czy nie warto by na baczność stanąć przed wieloma, którzy przychodzą niemal co dzień na Mszę św. w dni powszednie? Czy nie można by wykroić chociaż jednego dnia, jednego popołudnia, ażeby poza niedzielą i świętami wziąć udział w Najświętszej Ofierze dla zadośćuczynienia za to, że nieraz my sami znieważyliśmy Jezusa opuszczając Mszę św., tłumacząc się zimnym słowem: „Nie miałem nastroju”, „Nie miałem czasu”. A więc ekspiacja za siebie, ale i za wielu naszych braci, którzy nawet idą pod sztandarami chrześcijańskimi w wielkie uroczystości, a potem „nie mają czasu” na Mszę św.

W drodze pielgrzymiej przyklękaliśmy i przyklękamy na asfalcie, ba, na błocie, przed świątyniami, przed kościołami. Piękne to, wzruszające, gdy grupa klęka i zostawia na asfalcie swoje ślady czci Jezusa wyciśnięte kolanami. Piękne! Jakże wielu spośród was, nawet tutaj obecnych – przynajmniej się – przechodzi obojętnie koło świątyń w swoich miastach i wsiach. Ani iskry ciepła, ani słowa dla Jezusa w Najświętszym Sakramencie. Czy nie warto zmienić taki stan rzeczy?

Na pielgrzymce wielu z was przestało palić papierosy. Czy nie warto by ten termin przedłużyć na lata i na całe życie? Właśnie w imię pielgrzymki dobrze zrozumianej, na większą cześć i chwałę Niepokalanej Dziewicy.

Na pielgrzymce ubezpieczaliśmy wartość tak miłowaną, kochaną przez Matkę Najświętszą – czystość, że wyszło zarządzenie od naszych władz pielgrzymkowych, ażeby nie spać pod jednym dachem w stodołach, a tym bardziej pod jednym namiotem. Po co? Żeby się ubezpieczyć realnie przed naszą własną słabością. Żeby nas przed nią obronić. Jeżeli ktoś tych słabości nie rozumie dzisiaj, to albo już jest zepsuty, albo naiwny jak dzieciak! I jedno, i drugie jest złe. Stąd też, drodzy, warto przenieść ten mądry zwyczaj wypływający z głębin wartości autentycznej miłości człowieka do człowieka. A więc na rajdach, na wycieczkach, a także przy różnych odwiedzinach, w różnych sytuacjach powinni pielgrzymi Jasnej Góry rozumieć i wносить zdrowy, radosny klimat, ale nie pozwolić na spoufalanie się.

Profesor Fijałkowski mówi, że tutaj, w tej dziedzinie powinno się zachowywać dystans proporcjonalnie do wzmagających się uczuć – im uczucia są bardziej intensywne, tym bardziej powinniśmy czuć nad pewnym szlachetnym dystansem, nie jakimś ponurym, złowrogim, ale tym pięknym, szlachetnym. Z tym dystansem należy potraktować budzące się uczucia, a więc także budzącą się miłość erotyczną.

Moi przyjaciele drodzy, na pielgrzymce słuchało się wielu konferencji, wielu wykładów. Bogu dzięki, znaczna część młodzieży, zwłaszcza idącej w pielgrzymkach, przedłuża to, co się tutaj dzieje, przychodzi na katechezy, na wykłady, na konwersatoria i konferencje. Nieraz załamiemy się, nieraz upadniemy, ale wtedy nie śpiewajmy bezmyślnie pieśni: „Kochać, to znaczy powstawać”. Upaść może człowiek wielki, ale w upadku pozostaje człowiek nikczemny. Oto co znaczy przedłużać

pielgrzymkę na Jasną Górę naszego wyższego chrześcijańskiego życia, do szczytów czci i miłości Tej, która jest przy nas nie tylko na Jasnej Górze; co znaczy dalej iść, nie robiąc przerwy między tegoroczną i przyszłoroczną pielgrzymką.

Jeżeli to i coś więcej zostanie po tych pielgrzymkach letnich na jesień i na zimę, wtedy nie zmarnuje się ten wspaniały potencjał sił przyrodzonych i nadprzyrodzonych, wyzwających się na pątnicznych szlakach naszego kraju. Saint-Exupéry zawsze głosił, że człowiek jest zdolny przekraczać granice swoich możliwości. W tym roku doświadczyliśmy, zwłaszcza w tych pierwszych dniach pielgrzymki, że człowiek zdolny jest przekraczać granice swoich możliwości, tyle ma w sobie potencjału. Otóż to wszystko musi być upłynniane na co dzień. Jeżeli tymi kanałami, z tych wielkich zbiorników, popłyną choć małe strumyki prawdziwej, autentycznej religijności – nie tej sensacyjnej, szukającej znaków, objawień i temu podobnych użyźnią one jeszcze bardzo rozległe jałowe ugory moralne i oczyszczą zakażone obszary życia naszych ochrzczonych rodaków. Tylko tą drogą może przyjść prawdziwe odrodzenie narodu.

Niech jeszcze dopowiem to słowo: Ojczyzna. „Rzadko na moich wargach – niech dziś to warga ma wyzna – jawi się krwią przepojony, najdroższy wyraz: Ojczyzna”. Ta sprawa głęboko nam leży na sercu, drodzy, ale i wy, i ja nie wierzymy w wielkie słowa, tak jak Kasprowicz nie wierzył. Wierzymy tylko w słowa zanurzone i nasycone Ewangelią. Wierzę w słowo Chrystusa, w moc Ducha, wierzę i coraz bardziej wszyscy wierzymy, że trzeba „zwyciężać zło dobrem”.

Oto jest droga zwycięstwa także dla naszej Ojczyzny. Mickiewicz powiedział: „O ile polepszyście

wasze serca, polepszycie wasze prawa i poszerzycie granice wasze”. Wierzę w to, bo to jest Ewangelia. Tak, poszerzycie granice waszego wpływu ducha, waszej kultury, która nie lubi granic. Będąc wewnątrz bezbożnego imperium, możemy je od wewnątrz cywilizować, „uchrześcijańać”, przekształcać. To nasza misja historyczna, to nasza przemiana z przedmurza w czynne działanie! To nasze zadanie, które już po części wypełniacie.

Widzieliście, jak wiele oczu zza płotów na przedmieściach Wrocławia wygląda. Z pewnym oszołomieniem i podziwem patrzą na ten pokojowy pochód naszej drogiej młodzieży. Oni, bracia nasi z centrum imperium, mają dobry wzrok, słuch, oni słyszą i widzą. Ale chcą dostrzegać nie tyle transparenty, znaki i słyszeć piosenki, lecz autentycznego ducha Ewangelii, której urokiem i dobrem będą na pewno podbici, bo anima naturaliter christiana – dusza z natury chrześcijańska. Zwłaszcza anima orientis – wielkiego Wschodu – jest z natury chrześcijańska, tam drzemią ogromne potencjały wiary, tam się żarzą węgle, tylko trzeba je rozdmuchać. Nie można pluć na nie ani obelgami zasypywać, tylko trzeba razem z nimi rozdmuchiwać. I wtedy oni pójdą za krzyżem w tym autentycznym pochodzie pokojowym, zbawczym w skali wieczności i zbawczym dla naszego świata.

*IV wrocławska piesza pielgrzymka na Jasną Górę,
1984.*

NIE DAJ SIĘ ZWYCIĘŻYĆ ZŁU

Jak w ubiegłych latach przybyliśmy do świątyni Boga, aby u progu nowego roku akademickiego wspólnie podziękować za wakacje, aby prosić o nowe łaski „w wielkim dziele”. A rok akademicki to wielkie dzieło w życiu pracowników naukowych, wychowawców, studentów, narodu i Kościoła. To dar Nieba, który trzeba napęłnić owocną treścią i wszechstronną pracą.

I mamy za co dziękować – za słońce, góry, morskie głębiny. Powróciliśmy znad tamtych głębi z nasłonecznionymi twarzami, a może i ubogaceni w sercach.

Ale bylibyśmy nieszczerzy, gdybyśmy nie dojrzeeli różnicy między naszym dzisiejszym spotkaniem a inauguracją lat poprzednich. I że ta różnica nie dotyczy tylko scenerii czy nastroju ducha. W głębinach naszych serc są cienie smutku i niepokoju. W kraju bowiem nie ma pokoju, a i w naszym mieście niedawno wyzwalają się najniższe instynkty antymilości – nienawiści, okrucieństwa, a nawet tortur. Na uczelniach obostrzono rygory prawa wojennego.

Toteż obok niezliczonych pytań prywatnych i teraz, na wstępie tej homilii, zadajecie pytania: Co czynić? Jak się zachować, aby nie zająć postawy zaciekawionego widza-gapia albo postawy oportunisty, który idzie na wszystkie kompromisy ze swoim sumieniem, a równocześnie, aby nie wejść na drogi błędne?

Gdybym miał odpowiadać na te pytania we własnym tylko imieniu, zamilkłbym w tym miejscu. Ale postaram się mówić w imieniu najwyższej Mądrości i Mocy. Stajemy bowiem przed Majestatem Stworzyciela, przed mocarnym Miłosierdziem i w świetle Ducha Świętego, który „nauczy was wszelkiej prawdy”.

Rozkładamy więc na nowo przed sobą jedyny na świecie przewodnik-mapę – Ewangelię – i tam rozpoznajemy drogi i trasy naszego postępowania.

Gdy ją czytamy, bez trudu zauważamy, że Jezus za największe zło zniewalające człowieka i społeczeństwo uważał grzech i głosił orędzie wyzwolenia od tego zła moralnego i wzywał wszystkich do bezkompromisowej walki z nim we wszystkich jego postaciach, wymiarach i płaszczyznach, także na płaszczyźnie społecznej, która wysuwa się u nas na plan pierwszy.

Ale w tej walce, jak wiadomo, Jezus zdecydowanie wyklucza używanie siły fizycznej, przemocy. O tym mogą nie wiedzieć poganie, ateści, ale Jego wyznawcy muszą to znać i wyznawać. Jezus wyklucza broń nienawiści, odwetu, pogardy człowieka. Woła przez Apostoła Jakuba: „Nie daj się zwyciężyć złu, lecz zwyciężaj zło dobrem” – poszanowaniem człowieka, modlitwą o jego wyzwolenie. „Módlcie się za tych, którzy was prześladują” (Mt 5,44).

Wciąż powraca to pytanie: Czy to nie jest utopia, kapitulacja wobec zła? Nie! To naprawdę radykalne, choć powolne zwyciężanie. A jeżeli posługujesz się bronią zła – na nienawiść odpowiadasz nienawiścią, na pałkę kamieniem – wtedy tylko pomnażasz kapitał zła.

Wprawdzie zasad Ewangelii nie da się sprawdzić na krótkiej i powierzchniowej fali życia, bo one

prowadzą w niewymierne otchłanie ludzkiej egzystencji, ale kto ma dobre oczy, widzi ich sprawdzanie się nawet i na krótkiej fali historii – choćby na przykładzie ojca Kolbego czy Martina Lutera Kinga, który hasłem „Agape” – miłością i ofiarą wywalczył ludzkie prawa swym współbraciom, nie wylewając ani kropli krwi swych ciemniejszych.

W tym miejscu warto zauważyć, że Jezus, w wizji Boskiej, uczy także i zdrowego rozsądku, który jest przeciwieństwem jakimś odbiciem Boskiej mądrości. Święty Łukasz w rozdziale 14. zapisuje taką uwagę swego Mistrza: „Albo który to król (...)”.

Boże, wiem jak mogą być nadużyte te słowa i refleksje, ale cóż, odpowiedzialny duszpasterz nie może głosić swego słowa dla poklasku słuchaczy. Nie może pomijać nawet bardzo trudnych wymogów Ewangelii.

Jezus wskazuje jako największą broń w rozprawianiu się ze złem osobistym i społecznym – modlitwę i ofiarę. Ale ma na myśli modlitwę autentyczną. A my wszyscy skłonni jesteśmy i w tej dziedzinie niepostrzeżenie schodzić na manowce.

Modlitwą autentyczną wznosi się w klimacie wiary, ale i uległości, pokory i czystej intencji. Jeżeli byśmy pod wymawiane czy śpiewane słowa podstawiali inne intencje – na przykład popis stylizacyjny, wywarcie wrażeń estetycznych, a zwłaszcza grożenie komuś, drażnienie kogoś, demonstrowanie, wywieranie nacisku na Boga to taka modlitwa traci charakter i siłę nadprzyrodzoną, którą Jezus obiecywał każdej autentycznej modlitwie.

Dotyczy to również każdego nabożeństwa i każdej Mszy św. Jeżeli nasz udział w niej będzie miał inny cel aniżeli zawarty w samej czynności sakralnej – nie ma on charakteru religijnego i człowiek nie może liczyć na Bożą pomoc.

Taki akt może stać się obrazą Boga, bo redukowany On jest do wartości drugorzędnej, instrumentalnej. Bóg i religia nie mogą być środkiem do najwznioślejszych nawet celów – „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną!”.

Ewangelia, wzywając do walki ze złem, wskazuje na drugą siłę, która je zwycięża – na dobrowolną ofiarę.

Współczesną ilustracją mocy ofiary jest św. Maksymilian – gdyby poświęcił swoje życie „na złość” esesmanom czy dla zdobycia poklasku pośmiertnego czy w celu ucieczki z koszmarnej rzeczywistości – nie przeżywalibyśmy radości Jego kanonizacji. On uczynił to z miłości do bliźniego, nasyconej miłością do Boga, co wyniosło Jego czyn na wyżyny heroizmu i sprowadziło Boskie moce na ziemię.

Tak, mamy prawo i obowiązek walczyć ze złem w jego wymiarach społecznych, domagać się nieustraszenie od rządzących zachowania fundamentalnych wartości, jak prawda, sprawiedliwość, wolność i miłość wtaz z poszanowaniem godności i wszystkich niezbywalnych praw człowieka.

Ale my, chrześcijanie, mamy wezwanie przede wszystkim do walki z ciemnymi siłami gnieżdzącymi się w naszej duszy, z siłami, które od wewnątrz zatruwają i zabijają istotną substancję człowieczeństwa – jego ducha. Bogu dzięki, że naszą drugą ojczyzną jest Kościół (a może pierwszą?) – niezaprzeczalnie siła duchowa i społeczna, a na czele Kościoła stoi nasz rodak, a na czele Kościoła w Polsce biskupi i Episkopat.

Nikt z rozsądnych ludzi nie twierdzi, że biskupi są święci i nieomylni. Ale nikt nie zaprzeczy, że są patriotami i naszej ziemskiej ojczyzny – stanowią dla nas nadprzyrodzony i przyrodzony autorytet. Jak

przystąpiło na biskupów widzą, przeżywają, bronią prawdy, sprawiedliwości i praw człowieka, stoją na straży Ewangelii i tych wartości, które stanowią podwaliny ludzkiego społeczeństwa. Uznawajmy więc nadal tę instancję za reprezentującą nasze interesy duchowe i wieczne, ale też i narodowe, doczesne. Nie czynimy tego na kredyt. Episkopat, mimo ludzkich uchybień, dał dowody, jak jest wrażliwy na dobro narodu, na potrzeby ludzkie, cierpienia i krzywdy, jak domaga się naprawy Rzeczypospolitej, krzywd i poszanowania praw człowieka i obywatela.

Niektórych niepokoi ta metoda walki: dialog, rozmowy, spokój w przedstawianiu rachunku krzywd i potrzeb ludzkich. Ale to jest metoda – jak widać w świetle Ewangelii – i Chrystusowa, i rozsądna, i jedyna w naszych czasach.

Zaufajmy więc Ojcu świętemu, Episkopatowi. Będziemy walczyć, protestować, ustawiać te kolumny gmachu społecznego, jak prawda, sprawiedliwość, wolność, miłość. Może ktoś z was mieć wątpliwości, czy warto te rany i zatrucia obnażać w tym uroczystym dniu inauguracji?

Rzeczywiście, obnażanie i oglądanie ran w ogóle nie należy do radości duszpasterzy. Ale ci odpowiedzialni pamiętają wezwanie św. Pawła: „Nastawaj w porę i nie w porę” (2Tm 4,2). Nie mogą tuszować zła na żadnym obszarze życia; w imieniu własnym przykrywać Ewangelii dla upodobań słuchaczy; nie mogą szukać poklasku dla siebie ani nie mogą karmić ludzi banalnymi pociechami i płaskimi nadziejami; znieczulać sumień. Muszą z bólem i ciężarem iść w ślady wielkich proroków izraelskich i kaznodziejów Nowego Przymierza.

Może ktoś z was powiedzieć: Cóż my zrobimy, gdy stanowimy tylko mały odsetek studiującej młodzieży w Polsce i w naszym mieście? Na to

usłyszemy odpowiedź Chrystusa: „wy jesteście solą ziemi” i „światłem świata” (Mt 5,13-14). Jeżeli obleciecie się w żywą wiarę, niezłomną nadzieję; jeżeli napromieniujecie się darami Ducha Świętego: roztropnym męstwem i miłością; jeżeli będziecie dalecy od postawy „przepraszam, że wierzę..., że przeszkadzam”; jeżeli będziecie autentycznie się modlić i składać wielkoduszne ofiary, dokonacie większych dzieł aniżeli zdolne jest objąć oko ludzkie – wyzwolicie i ubezpieczycie w wolności dzieci Bożych siebie i walnie dopomożecie narodowi i Ojczyźnie do istotnego wyzwolenia od zła. „Ale nas zbaw ode złego”.

Ale na tej drodze – jeszcze jeden warunek: Przestańcie być indywidualistami. Włączajcie się do grup – wspólnot duszpasterstwa akademickiego. Tam znajdziecie zabezpieczenie wartości już przyswojonych i przyswojenie nowych; tam powinniście znaleźć warunki uzupełnienia i pogłębienia wiedzy religijno-moralnej oraz inspiracje wsparcia głębinowego i długofalowego działania dla ukształtowania osobowości chrześcijańskiej oraz odrodzenie i wyzwolenie naszego narodu.

Tylko nie poprzestańcie na sporadycznych kontaktach na fali zmiennej ochoty, lecz nawiążcie stałą więź z duszpasterstwem. Dopiero zaangażowanie w systematyczną pracę w ośrodku spełni nasze obietnice i wasze oczekiwania. Udział w rocznych pielgrzymkach i w uroczystościach nie ukształtuje was na miarę współczesnych zadań katolików-Polaków, jak nie uczynią tego i niedzielne nabożeństwa.

A więc oczekujemy Was wszystkich, a przez was i waszych koleżanek i kolegów. Przychodźcie! Nie bójcie się!

Mieście się na bacności przed byle jakimi prorokami i prorocत्वami. Nie dajcie się sprowokować

do nieewangelicznych, nierozważnych i nieodpowiedzialnych czynów. Powinniście bez utraty suwerenności wewnętrznej, a więc nie za wszelką cenę, skończyć studia. Nie dawajcie pretekstu do usunięcia was z uczelni. Uczcie się historii!

Bogu dzięki, że historia naszej Ojczyzny zrosła się z Kościołem i kultem Matki Boskiej. A na czele tej największej siły moralnej stoi w Wiecznym Mieście nasz ukochany Polak; a na czele naszego Kościoła w Polsce odpowiedzialny i patriotyczny Episkopat. Nie mamy podstaw widzieć w biskupach ludzi świętych i nieomylnych, ale nikt nie powinien zaprzeczyć, że są to prawdziwi patrioci, że to osobowości, które widzą, czują i przeżywają cierpienie naszego narodu. Bronią konsekwentnie prawdy, sprawiedliwości i wyrównania wyrządzonych krzywd i cierpień. Domagają się zwolnienia wszystkich uwiezionych i internowanych. Prowadzą żmudny dialog z władzami. I chrześcijanie muszą tę metodę odrodzenia i odnowy naszego kraju uznać za słuszną, bo to metoda ewangeliczna.

Otóż i na tej podstawie uznajemy nadal z zaufaniem tę instytucję za reprezentującą nasze interesy duchowe i wieczne, lecz także i narodowe – doczesne. Skupiamy się i jednoczymy się w Bogu i Panu naszym, w Jego Kościele – przy Królowej Polski, przy Ojcu świętym tak zatroskanym o nasze sprawy, przy naszym Episkopacie i przy duszpasterzach, abyśmy byli jedno, co jest drugim imieniem miłości... I w tej jedności-miłości – bez prorocत्व, ale z uzasadnioną nadzieją i optymizmem – możemy patrzeć w naszą przyszłość ostateczną i w naszą przyszłość bliższą.

Inauguracja roku akademickiego 1982/83.

NIE SĄ ONI ZE ŚWIATA

„Nie są oni ze świata, jak i ja nie jestem ze świata” (J 17,14). „Nie proszę, abyś ich zabrał ze świata, ale żebyś ich zachował od złego” (J 17,15). Co to za „świat”, przed którym przestrzega Jezus? Chyba nie przed pięknym światem natury, przyrody? Na pewno nie przed światem stworzonym przez Boga, który jest światem dobrym. „I widział Bóg, że było dobre”.

Ale istnieje świat „stworzony” przez antagonistę Boga, przez szatana, oraz świat „stworzony” przez człowieka stojącego na usługach złego ducha. Wprawdzie ani demon, ani sprzymierzony z nim człowiek nie może stworzyć czegoś istotnego, nie może stwarzać czegoś dosłownie, ale może pasyżytować na świecie Bożym, może wywoływać bezład, perturbacje, może „stwarzać” pasożytniczy świat zła. I widzieliśmy, i widzimy takie mroczne, przerażająco nieludzkie światy, choć chytróść antychrysta nazywa je „światami humanizmu”, „dobrobytu”, „postępu”.

Gdy mówimy o tym demonicznym czy bezbożnym świecie zła, skłonni jesteśmy widzieć go tylko na obszarze programowego ateizmu. Pewnie, że tam ten „świat” występuje w formie „najdoskonalszej”.

Ale ten potępiony przez Jezusa świat może powstawać i na obszarach objętych w zasadzie przez Boga i Ewangelię – zarówno w duszach poszczególnych ludzi, jak i w ciele społecznym.

Tym „złym światem” jest także:

– świat obojętności religijnej – świat indyferentyzmu, w którym w Boga się wierzy, ale z Nim się nie liczy w kształtowaniu losu własnego i losu braci-ludzi;

– świat tylko ziemskiej nadziei – „i mnie się coś od życia należy”, „tyle pożyczysz, co użyjesz”;

– świat skrzywionej hierarchii wartości, w którym na szczycie, zamiast Boga, umieszcza się bożyszczą każdej modnej współczesności i nowoczesności: przyjemność, wygodę, bogactwo, doznaniową i ubogą miłość, i w którym każda z tych wartości, w zasadzie dobrych, bo stworzonych przez Boga, „gdy staje się bogiem, staje się demem” (S. C. Lewis);

– świat statystyki, która w świecie materii może oddawać wielkie usługi dobru, ale jeżeli staje się podstawą do określania norm moralnych, wprowadza w ponury świat demona – gdy większość kradnie, nienawidzi, nie zachowuje VI przykazania, chce przyjąć za normę postępowanie większości;

– świat kompromisu, przystosowania do każdej idei, do każdego nacisku, bezprawia i gwałtu, do każdej prośby – byle zachować spokój, jedność, „nie wychylać się za żadną cenę („irenizm!”) – to też groźny dla wierzących w Boga „duch tego świata”.

Wszyscy skłonni jesteśmy zanurzyć się i rozpląnąć w takich „światach”, ulec takim „duchom czasu”. Nawet niektórzy teologowie proponowali Kościołowi i chrześcijanom przystać i przystosować się do takich „duchów”. Otóż inaczej uczy nas Jezus wolny, niezależny, zwycięski: „Jam zwyciężył świat!” (J 16,33). Uczy wolności, niezależności od wszelkich nacisków i więzów poza miłością,

która chce świata dobra i dobro ofiaruje. Najtrudniej uwalniać się od nacisków osób bliskich: przyjaciół, sympatii, krewnych. A Jezus potrafił powiedzieć nawet Piotrowi: „Zejdź mi z oczu, szatanie” (Mk 8,33). Musimy i my żyć w „tym świecie”, lecz „ten świat” przekształcać w „świat Boży” – przeciwstawiając się „temu światu”.

VII niedziela po Wielkanocy.

OTWÓRZCIE DRZWI CHRYSZTUSOWI

Zgromadziliśmy się w tej prastarej świątyni, przed ołtarzem Pana, aby Mu podziękować za wszystkie dary minionych wakacji i prosić o błogosławieństwo na nowy rok akademicki.

Gdyby nie było osobowego Boga, rozumnego Stwórcy i źródła wszystkich wartości i nadsensu życia, nasze spotkanie byłoby stratą czasu...

Ale skoro On jest, na co wskazują wszystkie znaki na niebie, na ziemi, w historii, w głębinach psychiki człowieka, wtedy postępujemy mądrze i słusznie, gdy się tutaj i teraz gromadzimy. A Stwórcy i Zachowawcy świata i człowieka należy się dziękczynienie i hołd. Wtedy rozsądną i słuszną jest rzeczą prosić Go o światło i błogosławieństwo w każdej dobrej sprawie, a zwłaszcza w dobrej i wielkiej. Jakże słusznie powiedział Mickiewicz: „W wielkim dziele dobrze, gdy kto z Bogiem poczyna”.

A przed nami dzieło naprawdę wielkie – zdobycie zawodu. Zawód to „kostium” na całe życie. Ciężko poruszać się, pracować i żyć, gdy źle leży, gdy nas gdzieś uwiera aż do bólu. I ciężko pracować i żyć, gdy ktoś źle wybrał albo źle się do zawodu przygotował.

Ale przecież w szkołach w ogóle, a w wyższych w szczególności, zdobywa się nie tylko zawód, lecz także wiedzę i oświatę w szerszym zakresie – młodzież uczy się szukania prawdy o świecie, prawdy o sobie i prawdy Najwyższej, która dopiero

ukazuje sens życia i działania człowieka, a w ten sposób zaspokaja najgłębszą potrzebę ducha ludzkiego, który chce wiedzieć, jak jest, jak naprawdę było, jak być powinno – chce prawdy. Jest to pojęcie złożone i nadużywane – zwłaszcza na płaszczyźnie społecznej, ekonomicznej i politycznej. W świetle gnoseologii wydaje się względnie proste: prawda jest to zgodność naszego poznania, widzenia z obiektywnym stanem rzeczy, do którego dojście nie jest jednak takie proste nawet wtedy, gdy nauczyciele wiele wiedzą i chcą swoim uczniom uczciwie wskazywać drogi do prawdy. A sytuacja staje się bardzo ciemna, gdy tej wiedzy i uczciwości nauczycielom brakuje.

Drodzy, mimo niemałych, a nawet dramatycznych trudności, pod pewnym względem studiujecie w spokojniejszej atmosferze. Jeszcze przecież tak niedawno pyszni mędrkowie głosili z katedr, że nauka, wiedza ogarnia już wszystkie obszary rzeczywistości: „Wiemy już, jak jest, i nie ma miejsca dla żadnej wiary”. Dzisiaj prawdziwi uczeni są o wiele skromniejsi i pokorniejsi. Już nie mówią apodyktycznie „jak jest”, tylko „ile wiemy”. A wiemy poza terenem nauk ścisłych i techniki naprawdę niewiele. Przyrównują obszar wiedzy do jasnej kuli zanurzonej w mroki niewiedzy – im bardziej powiększa się jej powierzchnia i objętość, tym bardziej powiększa się obszar mroku i tajemnicy.

Tak niedawno jeszcze głoszono, że wiara w Boga osobowego jest sprzeczna z nauką, a dzisiaj, zwłaszcza po sławnych deklaracjach Einsteina, wycisza się ten chór proroków śmierci religii. Oczywiście, że „wiara nie jest i być nie może jakąś zredukowaną formą nauk przyrodniczych – jak pisze Ratzinger – ani mitem wypełniającym

przestrzenie niewiedzy. Ale wierze potrzebna jest pokora prawdy i prawda pokory”. I to jest niesłychanie ważne, że pokora pojawia się w umysłach i sercach współczesnych uczonych i myślicieli. Nawet niedawny główny ideolog polskiego marksizmu, Adam Schaff, w jakiejś pokorze ducha napisał słowa: „Był czas bezwzględnego ateizmu, potem przyszedł czas, kiedy byliśmy ostrożniejsi: nie twierdziliśmy przy każdej okazji, że Bóg nie istnieje, natomiast dzisiaj mówimy, że jeżeli Bóg istnieje, to On jest znacznie większy niż ten, którego wyście nam pokazali”.

Nad tym ostatnim zdaniem powinni się nieraz zastanowić i katecheci, i wszyscy wierzący w Boga osobowego, bo rzeczywiście w naszych homiliach i katechezach zbyt często pomniejszaliśmy, w świadomości naszych uczniów i słuchaczy, samoistny, nieskończony Absolut. Jakże wtedy aktualne staje się wezwanie Asnyka do młodzieży sprzed stu lat: „Szukajcie prawdy jasnego płomienia, szukajcie nowych, nieodkrytych dróg! A z każdym krokiem w tajniki stworzenia coraz się dusza ludzka rozprzeźrza i większy staje się Bóg”. Oczywiście, Bóg jest zawsze nieskończenie wielki i niezmienny, ale staje się większy w świadomości człowieka. Za prawdziwą, pokorną wiedzą postępuje zawsze to „rośnięcie” Boga w umyśle i w sercu człowieka. I to jest także charakterystyczna cecha waszego, młodzi, czasu!

Od połowy XVIII do początku wieku XX w kołach oświeconych wierzono w zbawczą siłę rozumu. Sądono, za szlachetnym Sokratesem, że sama wiedza sprowadza na świat dobro, cnotę. Otóż w naszym wieku ten złoty mit został boleśnie obalony. Okazało się w naszych i waszych czasach, ile racji miał mądry Goethe, który

o nim napisał: „Er nennt Vernunft und braucht's allein, um tierischer als jedes Tier zu sein” – Nazywa się rozumem i jest samowystarczalny, żeby być bardziej zwierzęcym niż wszystkie inne zwierzęta.

Hitler nie był co prawda intelektualistą, ale przecież miał w swym sztabie i wysoce wykształconych, których rozum wymyślał z matematyczną precyzją maszyny do zabijania „podludzi”.

I Stalin przecież nie był pozbawiony nowoczesnej oświaty i rozbudował wcale naukowy „archipelag GUŁag” dla okorowywania i miażdżenia głów, w których pojawiały się idee niezgodne z „naukowym” poglądem na świat.

A morderca większości swoich rodaków, Pol Pot, w Kampuczy – miał przecież doktorat Sorbony. I niejeden z bliższych nam wyznawców „naukowego” światopoglądu wydaje rozkazy albo usprawiedliwia bicie bezbronnego już człowieka, który „brzmi dumnie”.

Tak, wy żyjecie i studiujecie w okresie moralnego bankructwa czystego rozumu. Stało się oczywiste, że „bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy”. A bez serc – to znaczy bez miłości – rozum i człowiek stają się straszni.

Niestety, jeszcze na gruzach tamtego mitu i w chrześcijańskiej Polsce nie zakwitła powszechna miłość. A przecież Jezus z Nazaretu przed blisko 2000 lat temu ogłosił ją najwyższą wartością moralną, podniósł ją do rangi najwyższego przykazania, ukazał ją jako warunek pokoju na ziemi, jako siłę dającą osobie ludzkiej wewnętrzną i wypływającą z niej zewnętrzną suwerenność, wolność i zbawienie ostateczne. I historia ukazała ją jako siłę przeobrażającą człowieka i świat, jako siłę tworzącą nowe epoki.

Zauważyli to i uwierzyli temu dobrze widzący geniusze dawnych i nowszych czasów. Błażej Pascal w swoim ubogim kaftanie pozostawił swym bliskim, jak testament, zapis na kartce: „Jedna myśl jest więcej warta aniżeli cały świat materii, a jedno drgnięcie miłości jest więcej warte aniżeli myśli ludzkie wszystkich czasów”. Stwierdził to i nam współczesny myśliciel Erich Fromm pisząc: „Bez miłości ludzkość nie mogłaby istnieć ani jednego dnia”. Obserwujemy i doświadczamy tego niemal na co dzień, że tam, gdzie gasną już ostatnie iskry miłości, ludzie umierają z zimna. Ale tu mowa o prawdziwej i głębokiej miłości, opartej o stabilne dynamizmy psychiki człowieka, miłości ofiarnej i trudnej, której obraz ukazał w swoim życiu, w działaniu i śmierci – Jezus z Nazaretu i Jego wielcy naśladowcy – od św. Pawła aż do ojca Kolbego i matki Teresy z Kalkuty.

A my słowo miłość na ogół zubożamy i spłaszczamy, redukując je do łatwej, spontanicznej sympatii i uczuć, do bierności i rezygnacji, do haselka „Podaj dłoń, uśmiechnij się (...)”. Taka miłość to krople rosy wobec życiodajnej ulewy i siły wodospadu, poruszającego ciężkie generatory energii. Mając przed oczyma tę małą, choć zawsze ciemną, miłość sprowadzoną do chwilowego wzruszenia, do uśmiechu i uścisku dłoni, skłonni jesteśmy nie wierzyć w jej siłę i skuteczność jako społecznego czynnika przeobrażającego złożone i konfliktowe stosunki społeczne.

My, w głębi serca, boimy się, że przez nią odalimy się od realizacji ideałów społecznych i narodowych, jak prawda, sprawiedliwość, wolność, równość wobec prawa, poszanowanie podstawowych praw człowieka. Gotowi jesteśmy sądzić, że realizacja miłości – to „opium” dla naszych słusz-

nych dążeń. I jesteśmy skłonni zaraz po wyjściu ze świątyni Boga-Miłości sięgać po broń antymiłości: nienawiść, wrogość, pogardę – po broń naszych biednych braci, którym rozkaz zastępuje sumienie.

Jezus w krytycznej sytuacji rzekł do Piotra: „Schowaj miecz do pochwy” (J 18,11) – dotyczy to wszelkich, i moralnych mieczy antymiłości. Kto tak myśli i postępuje, ten nie myśli i nie postępuje po chrześcijańsku.

A ponieważ każdemu grozi ta dewiacja, będziemy się starali uczyć żywej wiary i autentycznej miłości. To nasze wielkie dzieło i zadanie. To jest właśnie budowanie królestwa Chrystusowego, które „w was jest”. Jest drogą „cywilizacji miłości”, do której tak niestrudzenie wzywa cały świat nasz wielki wierzący Polak na Stolicy Apostolskiej i liczy na awangardową rolę naszego narodu, a zwłaszcza polskiej młodzieży.

My, duszpasterze, idąc za Ewangelią, nie obiecujemy wam żadnych korzyści doczesnych oprócz spokoju sumienia i przeżywania swej ludzkiej godności. Podążając za Chrystusem, nie narzucamy nawet prawdy i miłości.

Serdecznie was zapraszamy za Ojcem św.: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi – wierze, nadziei i miłości”. I będziemy zapraszać aż do utraty tchu. A gdy ktoś odmówi, płakać nad nim będziemy, aż opamięta się i przyjmie to zaproszenie.

Nasi drodzy seniorzy na 30-lecie Centralnego Ośrodka Duszpasterstwa Akademickiego we Wrocławiu ufundowali sztandar, który 8 lipca tego roku w sali Klementyńskiej na Watykanie poświęcił osobiście Jan Paweł II. Na sztandarze złotymi nićmi wypisano te wielkie i szczone hasła: Wiara – Nauka – Miłość.

To właśnie nazwa naszego wielkiego dzieła i zadań na ten rok i następne lata studiów na wyższych uczelniach w urzeczywistnianiu tych wartości, decydujących o losie indywidualnym i społecznym człowieka. Zapraszamy i za Ojcem świętym wołamy: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi” z Jego darami – wiarą, nadzieją i miłością!

Inauguracja roku akademickiego 1984/85.

PIĘKNO CZYSTOŚCI

Jeżeli oglądaliście obrazy lub uczestniczyliście w programie pobytu Ojca świętego w Łodzi, nie mogliście nie zauważyć, że papież czuł się wyjątkowo radosny, mając przed sobą rzeszę tysiąca pięciuset dzieci przystępujących do I Komunii świętej i że kontakty z dziećmi to charakterystyczny rys jego spotkań duszpasterskich. Widać, że sprawiają Mu niezwykłą radość.

Tym przypomina Jezusa, który brał w swoje Boskie ramiona te słabe istoty, osłaniał je przed przemocą starszych i mówił: „Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do mnie, do takich bowiem należy królestwo niebieskie” (Mt 19,13). A innym razem oświadczył: „Zaprawdę mówię wam, jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 18,3).

Dlaczego Jezus, dlaczego Jego Namiestnik czuje się radosny w towarzystwie dzieci? Dlaczego kocha je i stawia je starszym za wzór?

Otóż z pewnością głównie z tej racji, że są one niewinne, czyste. Przez czystość rozumieć winniśmy nie tylko wolność od aktualizowania pożądliwości ciała, lecz także i innych grzechów, jak pycha, chciwość, egoizm i wszelkie wykroczenia przeciw miłości. Jej brak najbardziej zagraża życiu duchowemu młodzieży, bowiem uleganie popędowi seksualnemu jest nieczystością, która odbiera radość i uśmierca miłość.

Jezus, jako Syn Boży, na Matkę wybrał sobie Pannę Najczystsza, która radością nappełniała Jego Serce i miliony serc kochających czystość. Nappełnia radością i nas w tej trudnej drodze-symbolu na Jasną Górę Niepokalanej. Jezus błogosławi czyste serca w Kazaniu na Górze.

I wzywają nas na nią i Jezus, i Jego Matka, i Jego odważny Namiestnik. Odważny, bo nie bał się nawet rozmiękczonej konsumpcją młodzieży zachodniej na wielkim stadionie paryskim przypomnieć „twardą mowę” etyki seksualnej. I otrzymał oklaski – znak akceptacji.

Ojciec święty wie, że niełatwą jest rzeczą zachować normy ochraniające niewinność i czystość. Toteż na Westerplatte przekazał młodzieży polskiej wezwanie, żeby każda i każdy z was nosił w sobie i aktualizował w swym sercu coś z Westerplatte. Co to znaczy? To znaczy bronić nieustępliwie wszystkich wartości ludzkich i Boskich w swoim sercu. Nie ustępować, nie oddawać ani skrawka, ani przyczółka swojej wewnętrznej, ojczystej ziemi żadnemu wrogowi, żadnemu księciu ciemności.

Tu są określone jasne granice, przy których musimy powiedzieć stanowczo: Nie! Choćby to kosztowało wiele trudu i ofiary, aż do ofiary z życia doczesnego na rzecz wiecznego, jak to uczyniła dziewczyna wsi podtarnowskiej, Karolina, którą Ojciec św. na naszych oczach wyniósł na ołtarze. Zachowanie czystości, niewinności jest trudne, jak w ogóle jest trudne zachowanie wierności Ewangelii i Ojczyźnie, która jest dla nas trudna i wymaga ofiar. Toteż już na poprzedniej pielgrzymce do kraju wołał do młodzieży z Jasnej Góry: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali!”. Jeszcze w tym kon-

tekście wskazuje na szczególne pokusy i zagrożenia współczesnego młodego Polaka: alkoholizm, narkomanie i rozwiązłość seksualną. Trudne zadania, ale w duchu Westerplatte, w zjednoczeniu z mocą Chrystusa, jesteśmy w stanie przekraczać granice ludzkich możliwości. Jesteśmy w stanie iść pod prąd opinii i własnej słabości. Jesteśmy w stanie przeciwstawić się najsilniejszym pokusom, ale pod warunkiem, że nie będziemy ich prowokować, na nie się wystawiać.

Mówi się ze zdumieniem, że stosunkowo mało żołnierzy poległo wśród apokaliptycznej nawałnicy ognia i żelaza na Westerplatte. A tak się stało, bo obrońcy nie wystawiali swoich głów na kule i bomby. W walce konieczne jest ukrywanie się przed wrogiem. W ruchomej walce – także ucieczka.

To i dla nas, na pielgrzymce i poza nią, wskazanie i zasada: nie narażać się lekkomyślnie, bo takie narażanie się prowadzi do klęski.

Właśnie tę zasadę ochrony skromności i ubezpieczenia czystości zachowujemy na pielgrzymce przez postulat jednopłciowych pomieszczeń i namiotów. Nie czynimy tego, żeby je po powrocie zarzucić, lecz tutaj uczymy się, jak dalej ubezpieczać się i walczyć na co dzień, jak iść pod prąd różnych opinii i mody. Takie zakazy i wymogi winniśmy ustanawiać dla siebie w różnych sytuacjach. I często iść pod prąd i pod wiatr. Nie wolno tłumaczyć się: „bo inni”, „bo lekarz”, „bo film”, „bo nic złego nie zamierzam”. Nie możesz być osobnikiem stada i nie możesz iść „owczym pędem” ani hołdować słabości czy naskórkowej przyjemności. Chrześcijanin, chrześcijanka mają swoje kryteria dobra, zła, niebezpieczeństwa, przyzwoitości, skromności i według tych kryteriów ustanawiają szczegółowe prawa.

Dochodzą głosy, że nasz drogi Ojciec święty martwi się postawą moralną polskiej młodzieży, bo tyle przyrzeczeń i deklaracji, tyle nabożeństw i pielgrzymek, a w dziedzinie moralności raczej regres – nieufność do praw etyki seksualnej.

Chrześcijanin, chrześcijanka to nie tylko człowiek sam zachowujący zasady etyki i przyzwoitości Bożej, lecz to także apostoł dobrej sprawy. Słowem i czynem stara się ukazywać swemu otoczeniu drogi i wartości wyższego, szlachetniejszego i radosnego życia w promieniach łaski. A tymczasem zauważa się równanie w dół.

W ostatnich czasach można spotkać, i wśród młodzieży deklarującej swoją przynależność do Kościoła, wypadki wyjeżdżania we dwoje na wycieczki i wczasy przy aprobachie otoczenia.

W tych samych czasach powstaje moda gaszenia świateł na zabawie. Warto postawić pytanie: Dlaczego nie chcesz widzieć twarzy człowieka? Dlaczego chcesz go tylko dotykać i czuć jego oddech? Czy to zabawa dzieci światłości?

I w ogóle nasuwają się niepokojące pytania, czy młodzież katolicka ceni moralność chrześcijańską, a w niej – niewinność i czystość? Czy ma wyczulone radary na wykrywanie nieprzyjaciela i niebezpieczeństwa? Czy ma poczucie odpowiedzialności za innych ludzi – za poziom moralny przynajmniej swego środowiska – czy nie przyjmuje postawy Kaina: „Czyż jestem stróżem mojego brata?”. Czy zamierza zabrać z pielgrzymki – z tych rekolekcji letnich – wielkie „coś” dla życia codziennego, dla przemiany moralnej całego narodu?

„Wy jesteście na ziemi światłem mym (...)”. Patrząc na was od ołtarza i radując się wami, myślę sobie: Jakby się cieszył nasz Ojciec święty, widząc wasze piękno i czując woń czystości. Może cie-

szyłby się wami tak jak czystymi dziećmi łódzkimi. Ale niewątpliwie zadawałby pytania o miłość, o wierność, o Westerplatte, co zostanie po pielgrzymce, o jutro i pojutrze Kościoła i narodu, o wasz przyszły wielki los... On na was liczy, że tym razem nie zawiedziecie Jego, a przede wszystkim Jezusa i Jego przeczystej Matki!

*VII wrocławska piesza pielgrzymka na Jasną Górę,
1987.*

PRAWO I DUCH

Dlaczego „Twoi uczniowie nie poszczą?” (Mk 2,18-22). Jezus „rewolucjonista”, „anarchista”? Burzy prawo? Nie anarchista, ale poniekąd rewolucjonista: nie znosi prawa, lecz je wypełnia.

Pan Jezus wie lepiej od nas, że prawo ma doniosłe znaczenie, o ile służy człowiekowi, o ile stoi na straży ducha, zabezpiecza wartości: bezpieczeństwo, pokój, sprawiedliwość, miłość do Boga i człowieka. Prawo Starego Testamentu stało także na straży zdrowia – przepisy higieny!

Ale Jezus wie, że prawo może stać się pustą literą, która zabija, gdy jest niesprawiedliwe, gdy stróże prawa i wykonawcy tracą sprzed oczu wartości, gdy spowija się je taką siecią drobiazgowych przepisów, że duch umiera, a pozostają przepisy dla przepisów. Znamy takie zjawiska w prawodawstwie świeckim, gdy w tomach przepisów gubi się urzędnik i petent – „bez duszne przepisy”.

Podobne anomalie wdzierały się i wdzierają się do ludzkiego prawa religijnego. Faryzeusze stworzyli sieć drobiazgowych przepisów, które stały się tabu, bożyszczem; nie prawo dla ludzi, lecz ludzie dla prawa. Zagubili hierarchię praw i ich ducha. Posty, obmywanie rąk – ponad cześć i miłość dla Boga. Formalizm, legalizm.

Na wystawie „Rodzina człowiecza” kobieta adwokat mówi do sędziów: „Sędziowie, bądźcie sprawiedliwi, ale nie na tyle, aby nie rozumieć słabości człowieka”.

Pan Jezus podejmuje „rewolucję”, nie znosi Zakonu, lecz go wypełnia, wyzwala ducha prawa. „Nie przyszedłem znieść, ale wypełniać” (Mt 5,17). Jak to rozumieć, omówię na przykładzie postu. Jezus wysoko ceni post. Sam pości, bo post wyzwala ducha spod hegemonii ciała, służy zbliżeniu i zjednoczeniu z Bogiem, może być aktem pokuty.

Ale gdy Bóg jest z nami, gdy urządza nam ucztę – po co jest post? Szabat i niedziela dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu. Szabat i niedzielę należy zachować, uświęcać, ale dlaczego nie można by było w dzień święty nieść pomoc cierpiącemu, wykonując nawet ciężką pracę? Dla nas to jasne, ale faryzeusze, chcą zachować literę prawa, zabijają jego ducha – miłość.

Nie wolno jednak lekceważyć i łamać praw nawet najmniejszych, aby zapewnić sobie swobodę, niezależność. Trzeba za nimi dostrzegać dobro, wartości, ład i miłość. Trzeba przez dobrą intencję wlewać tam wartości jak świeże wino w nowe dzbany. „Ktokolwiek więc zniósłby jedno z tych przykazań, choćby najmniejszych, i uczyłby tak ludzi, ten będzie najmniejszy w królestwie niebieskim” (Mt 5,19).

Matka Boża nie była zobowiązana do wypełniania przepisów starego Zakonu, a jednak je wypełniała z petyzmem: poddała Jezusa obrzezaniu, dokonała ofiarowania, odbywała pielgrzymkę do świątyni jerozolimskiej.

Nie wpadaj w drugą zabijającą ducha skrajność. Nie mów: po co te przykazania, prawa. Jeżeli sam tego nie widzisz, uwierz, że one zabezpieczają dobro i bronią przed złem. Wtedy prawo będzie twoim drogowskazem i uchwytem nad przepaściami ziemskiej podróży.

*VIII niedziela po Objawieniu,
25 lutego 1973.*

SÓL ZIEMI I ŚWIATŁOŚĆ ŚWIATA

Pan Jezus, Syn Boży, w swej Ewangelii nie uczy ani historii, ani polityki, ani teorii ewolucji, ani umiejętności uprawy roli czy sposobu wyrabiania konserw. Tego wszystkiego może i powinien nauczyć się człowiek sam.

Jezus uczy tego, czego człowiek tylko z wielkim trudem mógłby się dowiedzieć albo sam nie dowiedziałby się nigdy. Uczy o Istocie Najwyższej, Niewidzialnej, o Stwórcy tego wielkiego, nieskończonego świata. Uczy też o sensie, celu i zadaniu człowieka na ziemi i o jego losach w wieczności. Uczy, jak żyć i postępować, aby osiągnąć życie wieczne – zbawienie.

Nauczając o tych sprawach najtrudniejszych i najważniejszych dla człowieka – bo proszę wskazać ważniejszą sprawę niż istnienie Boga i nasze zbawienie wieczne – Zbawiciel posługuje się obrazami i porównaniami wziętymi ze świata przyrody, z codziennego życia współczesnych Mu ludzi – z uprawy pól, winnic, zacyzniania i pieczenia chleba, z konserwowania potraw i zapalania świec. Istnieje bowiem pewne ogólne podobieństwo między prawami i zjawiskami materii a życiem nieśmiertelnej duszy.

Otóż i w dzisiejszej Ewangelii Jezus w nauce odwołuje się do bliskiego ludziom obrazu soli i światła. Mówi do Apostołów: „Wy jesteście solą ziemi” (Mt 5,13), a przez nich mówi do nas: Wy, moi wyznawcy, chrześcijanie, powinniście być

solą i światłością świata, solą i światłem dla otaczających was ludzi.

To znaczy, że musimy odznaczać się pewnymi właściwościami wśród ludzi – jak sól i światło wśród świata zmysłów i materii.

Sól konserwuje artykuły spożywcze, zabezpiecza je przed gniciem i zrobaczywieniem. Jeżeli umieścimy gdzieś poza lodówką kawałek mięsa bez posolenia, za kilka dni pojawiają się w nim robaki, które spowodują jego gnicie. Sól nadaje też jałowym potrawom smak... Otóż Jezus pragnie, by Jego wyznawcy byli dobrze posoleni solą Ewangelii, aby byli zdrowi moralnie, aby nie dopuszczali zgnilizny zła i grzechu i żeby bronili przed demoralizacją, zgnilizną swoje dzieci i swoje otoczenie, żeby pomagali światu zachować zdrowie i smak pięknego, moralnego życia.

A światło? Jaka wielka wartość! Ile ono jest warte – choćby jego promyczek – doświadczamy wtedy, gdy go zabraknie, gdy je stracimy! Może przeżyliśmy nocną burzę i błędziliśmy wśród ciemności szukając drogi i drogowskazów? Jakże wyglądaliśmy wtedy choćby płomyka, choćby jednej gwiazdki i choć strzępka zorzy! Jakiś niepokój nas ogarniał, gdy wyczerpała się bateria naszej latarki, gdy przerwany został prąd w przewodach i nasz dom i ulice ogarnęły mroki... A jeszcze gorszy niepokój ogarnia człowieka, gdy słabnie jego wzrok, gdy coraz gorzej widzi światło – gdy ślepnie, gdy zanurza się w ciemność.

Coś podobnego dzieje się często w naszych duszach, gdy nagromadzą się w nich pytania i wątpliwości: po co żyję? po co cierpię? dlaczego tyle niesprawiedliwości? dokąd iść i co robić? Ciemność – nie mam światła i drogowskazów. Niektórzy wtedy, pod wpływem nacisku bezsensu i rozpaczają, odbierają sobie życie.

Otóż Jezus pragnie, aby Jego wyznawcy nosili w sobie dużo wiary, która jest najcenniejszym światłem ducha, żeby w jej świetle widzieli sens życia, porażek, cierpień, żeby widzieli najlepsze światło, prawdę i drogę, jaką jest Chrystus.

Pragnie, ażeby tą żywą wiarą dzielili się z bliźnimi, z wątpięcymi, z niewierzącymi, żeby im pomagali otwierać oczy na to najlepsze światło.

Największy poeta Polaków, Adam Mickiewicz, żył i tworzył w jasnym blasku wiary. W jednym z utworów pisał: „Ach, ty bez wiary byłbyś niewiomy”.

I największy uczony naszych czasów, Albert Einstein, napisał: „Kto nie widzi we wszechświecie Wielkiej Tajemnicy (tak nazywał Boga) i nie korzy się przed Nią – ma wypalone oczy, jest ślepcem”.

Módlmy się dzisiaj szczególnie gorąco, żebyśmy coraz więcej tej wybornej soli czerpali z Ewangelii i coraz bardziej rozplómieli swe serca wiarą, nadzieją i miłością przez codzienną modlitwę, przez Drogę krzyżową, przez czytanie Pisma św. i przez udział we Mszy św. – jeżeli nie osobiście, to choć przez radio – abyśmy wypełnili swoje zadanie i wezwanie Jezusa, abyśmy byli solą ziemi i światłością świata...

WIARA

Czy wszyscy uświadamiacie sobie, że przyszlście, przynajmniej te paręset kroków, najbardziej przez Polaków uczęszczaną i wydeptaną drogą? Drogą królów i rycerzy, drogą wieszczów i prostaczków, którzy kolanami swymi wygładzali chropowate kamienie jezdni. Drogą triumfów, rozpaczy i nadziei. A więc ta droga jest dla nas święta, jak święte jest miejsce, na którym stoimy.

Czy zdajecie sobie sprawę, po co tutaj przybyliście? Przybyliśmy tutaj, jak co roku, aby na tej świętej Górze lepiej się skupić przy Matce Jezusa i naszej Matce, a przez Nią przy naszym Bogu Wszechmocy i Wszechmiłości, aby z tej Góry lepiej ujrzeć panoramę naszych najwyższych duchowych potrzeb i zadań. Aby sprawdzić kurs i trasę podróży, aby przez modlitwę nabrać sił do dalszej drogi, pracy i zwycięskiej walki z własną słabością i z przeszkodami terenu.

A jakie potrzeby i zadania wylaniają się w bieżącym roku na plan pierwszy, ukazał nam naczelny duszpasterz Kościoła, Ojciec święty Paweł VI. Słyszemy, że idzie przez Kościół nurt niepokoju i fermentu, także i w dziedzinie wiary. Za daleko idący konformizm względem prądów teologii niekatolickiej i postulatów zlaicyzowanych społeczności sprowadził wielu katolików, a nawet katolickich teologów, nad przepaście niewierności Kościołowi i Objawieniu Bożemu. To napełniło niepokojem Ojca świętego, który w licznych wystąpieniach

i przemówieniach daje wyraz trosce o nieskazo-
ność doktryny katolickiej. Szczytem ustosunko-
wania się papieża do graniczących z niewiernością
prądów teologicznych było złożenie uroczystego
Credo, rozszerzonego wyznania wiary, w któ-
rym wyakcentował i wyjaśnił zagrożone prawdy
należące do nienaruszalnego depozytu prawd
objawionych. Niepokój naczelnego Pasterza trwa.
I stąd biskupi polscy, z księdzem Prymasem na
czele, wzywają katolików naszego kraju do wspar-
cia Ojca świętego i Kościoła swoimi modlitwami
i swoją czystą, konsekwentną wiarą. I nas objęto
mobilizacją. Ale czy my sami posiadamy głęboką
i czystą wiarę? Czy tą wiarą żyjemy na co dzień?

Duński konwertyta franciszkański, Jan Jör-
gensen, napisał wymowną przypowieść o zbun-
towanym lesie. Na urodzajnej pochyłości rósł
bujny i piękny las. Mienił się w słońcu tysiącem
odcieni zieloności. Rozsiewał zapachy soczystych
liści i kwiatów. Rozbrzmiewał dostojnym szumem
drzew i głosami niezliczonych ptaków. Aż pewnego
dnia kilka znudzonych osik podniosło głos i we-
zwało las do buntu wobec słońca. „Czy nie widzi-
cie, bracia i siostry – wołały drzewa – że jesteśmy
w niewoli słońca? Rozwijamy swoje liście i korony,
gdy słońce wschodzi, a zwijamy je, gdy zachodzi.
Żyjemy, rośniemy i owocujemy z jego łaski. Trzeba
skończyć z tą starą niewolą. Precz ze słońcem!”

Agitacja chwyciła. Wezwanie starych dębów do
rozważki i opamiętania zostało zagłuszone woła-
niami: „Konserwatyzm! Zacoianie!”. I las przyjął
nowy styl życia. Gdy słońce wschodziło, drzewa
schylały liście, kwiaty stulały korony, a gdy słoń-
ce kryło się za horyzontem, las otwierał się ku
sztucznym światłom planet i ciemnej otchłani
nieba. Aż oto w niedługim czasie zaczęło się dziać

coś niedobrego z pięknym lasem. W środku lata liście zaczęły żółknąć i opadać na ziemię, zniknęły zapachy, zamarł śpiew. Pojawiło się robactwo. Odśloniły się konary i sterczały ku niebu jak żałobne kikuty. Las przestał prawdziwie żyć.

Czy w tej wymownej metaforze duńskiego uczonego nie znajdują odzwierciedlenia pewne zjawiska duchowe naszego czasu – zagrożenia i potrzeby? Czy nasz „młody las” nie zuboża życia, nie traci radości i nie ulega zrobaczywieniu na skutek odwracania się od Boga?

Oczywiście sytuacja jest pod tym względem zróżnicowana i złożona. W niektórych krajach daje się zauważyć wyraźny zwrot młodzieży ku Bogu. Ostatnie sondaże socjologiczne wykazują, że we Francji Woltera i Gide’a ponad osiemdziesiąt procent młodzieży deklaruje swą wiarę w Boga. Przed kilku dniami jeden z Czechów powiedział mi: „Nasze stare pokolenie wegetuje bez wiary, ale młodzież zaczyna wypełniać świątynie”.

A u nas? Dane socjologiczne i bezpośrednie obserwacje wskazują na to, że i nadal liczba wierzącej w Boga polskiej młodzieży przekracza osiemdziesiąt procent. Ale pytanie: jak jest z siłą, konsekwencją i treścią wiary – i to chrześcijańskiej? Przecież wiara chrześcijańska to spora suma prawd i zasad objawionych przez Chrystusa, ściśle określonych i zobowiązujących. To nie tylko uznanie jakiejś „wyższej siły” ani panteizm czy deizm.

Statystyka „wierzących” jest liczbowo optymistyczna. Liczbowo, bo dla chrześcijanina nawet jeden niewierzący jest nieobliczalnym dramatem losu ludzkiego, nad którym trzeba płakać.

Gdy się jednak zjrzy i w tej optymistycznej statystyce do szczegółowych odpowiedzi na posta-

wione pytania, gdy się posłucha wypowiedzi i dyskusji młodych chrześcijan, gdy się przyjrzy ich codziennemu życiu, optymizm mocno przygasa.

Co za chaos w treściach wiary! Co za synkretyzm i dowolność w akceptacji zasad etycznych! Co za niekonsekwencje w życiu i postępowaniu bez poczucia winy! Jak wiele wiary uczuciowej, tradycyjnej, klerykalnej, która rozpada się wobec pierwszego lepszego wzburzenia uczuć czy zmiany środowiska! Jak mało miłości, a w ślad za tym i apostołstwa, bo ono jest ostatecznie funkcją miłości, przeżywania wartości religijnych.

„Wierzę w Boga, bo tak mnie wychowano”. „Wierzę, bo z wiarą jest mi dobrze”. „Jestem wierzący, ale w stworzenie świata nie wierzę”. „W Chrystusa wierzę, ale nie wierzę w raj po śmierci i nie wierzę w Kościół”. „Jestem katoliczką, ale stosunków przedmażeńskich nie uważam za grzech”. „Należę do Kościoła, ale nie zamierzam brać ślubu kościelnego, chyba że po paru latach”. Oto fragmenty odpowiedzi „wierzących” na pytania ankiety na jednej z wyższych uczelni.

Zresztą dostatecznie znanym i nie mniej smutnym wyrazem niekonsekwencji religijnej wśród „wierzących” była reakcja na encyklikę „*Humanae vitae*”.

Szczególnie zagrożona jest moralność, a w związku z nią i wiara na osi on – ona, miłość, małżeństwo, rodzina. Niebezpieczeństwo tego zjawiska potęguje fakt, że zaczynają w nim przewodzić dziewczęta, które swoją godność ludzką i swój awans społeczny zawdzięczają Jezusowi; które przez płęć tak bliskie są Najczystszej z kobiet; które przez swą naturalną wstydlivość i skromność hamowały brutalność popędów, a tym samym stały na straży uroku i potęgi czystości. Z wyjątkową goryczą wysłuchiwaaliśmy

w ubiegłym roku uwag ateistycznego moralisty, że w procesie demoralizacji gorsze i bardziej winne stają się dziewczęta. Nie bez smaku goryczy obserwuje się między innymi fakty, że dziewczęta katolickie dają preferencje agresywnym amoralistom przed chłopcami, którzy w imię chrześcijaństwa i prawdziwej miłości przede wszystkim okazują szacunek swoim koleżankom i sympatiom.

Jeżeli ktoś powie, że takie postawy mają miejsce tylko poza kręgami duszpasterstw akademickich, to ogromnie się ucieszymy, ale i wtedy warto przypomnieć, że w społeczeństwie nie ma obszarów izolowanych i tego rodzaju nurty nie omijają żadnej „samotnej wyspy”. A więc trzeba mieć oko na wszystko, co się dzieje nawet u naszych sąsiadów.

Jeżeli mamy zamiar na serio odpowiedzieć na oczekiwanie Chrystusa i Jego Matki, musimy naszą wiarę wciąż ubogacać w nowe treści. Musimy przyjąć z zaufaniem, choćby i „twardą” mowę zasad moralnych Ewangelii; musimy strzec konsekwencji naszej wiary i apostołować świadectwem życia; musimy strzec więzi wiary z miłością. Tylko w takim kontekście wiara stanie się bogatą, radosną, wspierającą i zbawczą rzeczywistością naszego życia. Bo „wiara bez uczynków martwa jest”. Jeżeli nie staje się „ciałem”, przemieni się w mglisty światopogląd albo obumrze całkowicie. Bo „jeżeli nie postępujesz tak, jak myślisz, zaczniesz myśleć tak, jak postępujesz” – pisał Tomasz Merton.

I to jest przeklęta droga zdrady wiary. I to są prawa rozwoju i wzrostu tego daru Bożego, tego Bożego ziarna, które potrzebuje do rozwoju odpowiedniej gleby, klimatu i uprawy.

Jak te zasady przetłumaczyć na język naszego działania w konkretnych warunkach naszego

życia? Nieustannie poznawać i pogłębiać treści katolickiej wiary. Dawać jej obudowę refleksyjno-filozoficzną – wychodzić z wiary uwarunkowanej tradycją, środowiskiem i uczuciem do rozumnej wiary z wyboru.

W tym dziele nie może być żadnego zastoju, bo zastój to opóźnienie i śmierć. I tutaj należy dawać zdecydowaną preferencję pracy i modlitwie zespołowej, dialogowej, wspólnotowej, albowiem gdzie dwóch albo trzech zgromadzi się w imię szukania Prawdy i Dobra, tam jest On sam – Droga, Prawda i Życie...

Pamiętając o tym, że „wiara bez uczynków” to ta, która musi umrzeć, że „jeżeli nie postępujesz tak, jak myślisz, zaczniesz myśleć tak, jak postępujesz”, czyli znajdziesz się w stanie tragicznej zdrady siebie i prawdy – należy obok problemów prawdy stawiać problemy praktyczne: jak wcielać zasady wiary w życie, jak zakwasić całą swoją osobowość kwasem ewangelicznym, jak to w naszych czasach uczynił Dag Hammarskjöld, którego myśli, oceny i motywy działania były przesycone duchem Ewangelii.

Tutaj nieodzowny jest trud i zdolność chodzenia „pod prąd”, zdolność nonkonformizmu wobec ciśnienia swego środowiska, obiegowej opinii czy mody. Chrześcijanin bowiem naszego czasu, który przyjmie zasadę „nie narażenia się”, „ułatwienia” sobie życia, musi skończyć na zakłamaniu, zobojętnieniu i reneacji.

Wiara – to wartość niewymierna, to „zaślubiny duszy przez Boga”, jak kilkakrotnie powtarza słowa św. Jana od Krzyża Dag Hammarskjöld w swoich „Drogowskazach”. To współżycie z Bogiem i jako takie musi być oceniane i przeżywane. Chrześcijanin dojrzały nie może stawać przed in-

stancją ateistyczną jak oskarżony przed sędziowskim trybunałem, jękając się i usprawiedliwiając: „przepraszam, że jestem wierzący”. Bez demonstracji, ale i bez poczucia winy czy niższości, winniśmy dawać świadectwo wierze; winniśmy w imię niezwykłych praw Boskich i ludzkich, w imię 18. artykułu Karty Praw Człowieka i artykułów naszej Konstytucji, żądać poszanowania naszych przekonań.

A jeżeli dotknie nas jakaś dyskryminacja, wyrażajmy odważnie poczucie naszej krzywdy, ale po cichu postarajmy się trochę cieszyć – jak pierwsi chrześcijanie – że możemy znieść coś z cierpienia dla imienia Chrystusa. Jeżeli zaś po takiej porażce wyrażamy żal do Boga i odwracamy się od środowiska, które nie zapewniło nam przywilejów bezpieczeństwa, to znaczy, że nie było dobrze z naszą wiarą albo z naszym charakterem.

Wiara ceniona i przeżywana nie może być zamknięta, ona musi się spontanicznie wyrazić duchem apostołstwa. Kto ceni i przeżywa wiarę jako najwyższą wartość, nie może w ateistycznym świecie widzieć tylko człowieka „o innych poglądach”, a w wykolejonym moralnie „żyjącym innym stylem”. Duch apostołstwa wyrazi się przynajmniej w niepokojach, że ten człowiek nie posiada czegoś decydującego o jego szczęściu, i w trosce o ukazanie mu tej wartości. Ale ta troska nie może się wyrazić nadęciem czy pogardą dla jego osoby.

Życzliwość, dobroć, miłość, pokora i dostateczna wiedza – oto główne składniki dobrej atmosfery dialogu i apostołstwa, a największą jego siłą – świadectwo życia.

Ponieważ wiara z miłością stanowią rdzeń nadprzyrodzonych wartości życia wewnętrznego, trzeba je zasilać pokarmem z nieba, systema-

tycznie odżywiać dopływem łaski. Znamy system odżywiania, ale czy go wykorzystujemy w sposób pełny? Modlitwa – nie „pacierz”! Modlić się to więcej niż odmawiać teksty. Alexis Carrel pisał, że to źródło energii jest „tragicznie nie wyzyskane”. Spowiedź – nie sprawozdanie z grzechów, lecz spotkanie z Chrystusem przebaczącym. Msza św. – nie wysłuchanie, lecz uczestniczenie, włączenie się do Eucharystii przyjmowanej nie do ust, lecz i do serca.

Cześć Matki Bożej, Królowej Polski – jest nieodzownym ogniwem integralnej wiary katolickiej, jej Osoba stanowi niezniszczalny składnik polskiej kultury duchowej. Wiedzieli to dobrze nawet nasi wrogowie. Ale cześć to nie tylko pieśni, apele, litanie, pielgrzymki i ślubowania, nie tylko w sytuacjach beznadziejnych „Pod Twoją obronę”, lecz widzenie w Niej najwyższych wartości duchowych, akceptacja i asymilacja tych wartości. To model i wzór mojej osobowości. W szczytowym wyrazie czci – pełne oddanie się w niewolę miłości.

Ale dla naszej przeciętnej młodzieży byłoby już optymistyczne – choć to zakrawa na gorzką ironię – gdyby nasze polskie dziewczęta liczyły się choć odrobinę więcej z Matką Boską niż z opinią koleżanek czy lękiem przed epitetem „dewotka”, „nie-nowoczesna”, a chłopcy – z jakimś prymitywnym modelem męskości.

I ostatnie uwarunkowanie żywej, radosnej i wspierającej Kościół wiary naszego „młodego lasu”: systematyczność pracy i odżywiania. „Zryw” – choćby heroiczne – nie kształtują organizmu duchowego, osobowości człowieka, to uczynią tylko systematyczna praca i odżywianie. Ale ogarnia nas smutek, gdy przestajemy was widzieć w niedzielę przy Stole Pańskim, gdy tylko garstka

najwierniejszych bierze udział w szarych, roboczych konwersatoriach, gdy nie widzimy was z katolicką książką czy gazetą, a tam przecież głównie zdobywa się wiedzę religijną, ubezpiecza się wiara i miłość, buduje się osobowość. „Sezonowa” pobożność ma krótkie nogi.

Niechże i ta nasza dzisiejsza uroczystość będzie miała swój dalszy ciąg w codziennej modlitwie i systematycznej pracy na nizinach życia.

Niech to liturgiczne wyznanie wiary będzie dzisiaj inaczej wypowiedziane i niech już dzisiaj staje się „ciałem”.

Niech „młody las” wchłania promienie słońca, niech mieni się tysiącem barw, niech rozbrzmiewa radością, niech żyje najpełniejszym życiem wiary i miłości.

*Dzień Młodzieży Akademickiej,
Jasna Góra, 11 maja 1969.*

WOLNOŚĆ CHRZEŚCIJANINA

Jak naprawdę przedstawia się wolność chrześcijanina? W sposób zasadniczy zajmuje się tym problemem św. Paweł w Liście do Galatów. W pierwszej części Listu zwraca się przeciwko niewłaściwemu pojmowaniu chrześcijaństwa, które powoduje, iż wiarę w miłosierdzie Boga odkupiającego przez Jezusa, zastępuje się samą sprawiedliwością według prawa. Kto mniema, że własnymi czynami coś sprawi, kto sądzi, że jest „w porządku”, ponieważ spełnia swoje obowiązki nałożone przez Boga, a przez to Bóg zapewni mu wszelkie łaski, ten pozostaje zamknięty w sobie.

Pozostaje sam jak małżonek, który spełnia skrupulatnie wszystkie obowiązki małżeńskie, zamykając się jednocześnie w skorupie własnych interesów, poglądów i zapatrywań. Jakże często małżeństwa, które zewnętrznie są idealne, kostnieją od wewnątrz, rozpadają się, ponieważ brak im dialogu, brak wspólnoty. Tradycja chrześcijańska nie stanowi wskazówek do osiągnięcia bezbłędnego samousprawiedliwienia. Chrystus przyniósł wspólnotę z Bogiem, żywą wymianę miłości między Bogiem a człowiekiem, bez której człowiek skazany jest na izolację. Kto nie pozwala, aby istotną rzecz podarował mu ktoś inny, ten obraca się wokół własnej osi, własnego osiągnięcia. Zbawienie, wyzwolenie do prawdziwej wolności polega na tym, że człowiekowi otwiera się więzienie, którym jest on sam dla siebie, gdy sam stanowi oś własnego życia.

Ale czy człowiek, który obraca się wokół osi innego, jest wolny? Pismo św. rozwiązuje ten problem genialnie: jeśli przestaniesz obracać się wokół siebie samego, wtedy doświadczysz, że Bóg obraca się wokół ciebie, że jesteś centrum, osią, wokół której krąży Jego Miłość. „Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak życie moje obecne jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie” (Ga 2,20).

Podobnie występuje św. Paweł przeciwko innemu niewłaściwemu pojmowaniu wolności. Nieporozumieniem jest sądzić, jakoby „uwolnienie”, jakie przyniósł Jezus Chrystus, było gładkim dla samowoli, czynów i myśli według własnych kapryśków. Ten kto uważa, że miłosierdzie Boże daje mu dyspensę od wysiłków zmierzających do spełnienia Jego życzeń, czyni zasadniczo tak samo, jak ten, kto – opierając się na własnej sprawiedliwości – sądzi, że podoba się Bogu. Jeden i drugi obraca się wokół siebie samego, są ulegli własnej woli. Na ten fakt zwraca uwagę św. Paweł w słowach: „Wy zatem, bracia, powołani zostaliście do wolności, tylko nie bierzcie tej wolności na zachętę do hołdowania ciału. Wręcz przeciwnie, miłością ożywieni służcie sobie wzajemnie” (Ga 5,13).

To zdanie stawia nowe akcenty. Kto obraca się wokół Boga, kto – uwolniony od samego siebie – żyje życiem Bożym, ten też będzie się obracał wokół swojego bliźniego. Da mu świadectwo wolności, do której go Chrystus powołał. Swoim życiem przemówi do bliźniego: nie jesteś sam, nie jesteś w pułapce swojego „ja”, nie jesteś również jednym z trybów nieograniczonego mechanizmu świata, bo jestem dla ciebie! W ten sposób tamten uwierzy, że Bóg jest dla niego. Nie może być inaczej, ponieważ ten, kto wkroczył w miłość Bożą, kto zezwala, aby

Ona go obdarowała i uwolniła, ten nie może się nie dać wciągnąć w rytm życia samego Boga, „który miłował mnie i oddał życie dla mnie”. Święty Paweł uważa to za znak prawdziwej wolności, że „miłością ożywieni służymy sobie wzajemnie”.

Co mówią nam te słowa w naszej dzisiejszej sytuacji? Jak możemy świadectwem chrześcijańskiej wolności odpowiadać na pytania i zarzuty stawiane chrześcijaństwu i Kościołowi? Chrześcijaństwo nie polega tylko na trzymaniu się tego, co słuszne i prawdziwe ani na odrzuceniu tego. Nie można mówić o wolności Chrystusowej, jeśli własne prawa i poglądy czyni się jedyną miarą postępowania. Wolność polega raczej na tym, że każdy w danym momencie, niezależnie od sytuacji, uwalnia się od siebie samego i włącza się w rytm owej Miłości, która sprawiła, że człowiek stał się centrum Bożego Serca. Być obdarowanym i móc obdarowywać, to jest chrześcijańska wolność.

A jak problem ten przedstawia się w życiu codziennym? To, co w moim sercu, w moim życiu narasta, czego nie mogę zrozumieć, rozwiązać, to, co mi nie pozwala na swobodny oddech – to nie należy do mnie, lecz do Tego, który mnie umiłował, który niósł to w swoim sercu i je przemieniał. Jestem wolny właśnie tam, gdzie spotykam moją własną niewolę, jeśli tylko Jemu ją powierzam. Nie obezwładnia mnie żadna wina, żadne rozczarowanie, żadna ciemność ani opuszczenie, ponieważ On wszystko to wziął na siebie.

Z drugiej strony wolno mi miłującą obecność Boga uczynić treścią wszystkich moich godzin, dla mnie i dla drugich. Być może nie wiem, co tobie, mojemu bliźniemu, dać lub powiedzieć w tym momencie, lecz wiem, że On tą samą miłością umiłował ciebie. Dlatego mogę przekazać ci Jego

„tak” tym spojrzeniem, tym gestem, tą milczącą obecnością, tym czynem, tym słowem.

I każdą godzinę wypełnić tą treścią. Pustka i monotonia tych godzin należą do mojego wielkiego Brata – Jezusa, a monotonia i pustka mojego sąsiada do mnie. W tym dwojakim kierunku trwam: do Jezusa i do sąsiada, ponad własne „ja”, uwolniony od siebie, wolny ku Bogu, ku światłu.

Pytania o wolność chrześcijanina, stawiane dziś Kościołowi od wewnątrz i od zewnątrz, nie otrzymały „patentowej” odpowiedzi. Jeżeli my, chrześcijanie, odważymy się żyć tą wolnością na co dzień, wtedy wytworzy się klimat, w którym duch samej wolności, duch Chrystusa, przygotowuje odpowiedzi, jakich potrzebuje świat i Kościół.

ZAWIERZENIE JEZUSOWI

Stary Testament przedstawia nam scenę alegoryczno-metaforyczną upadku człowieka i jego zachowania. Popenił grzech, odmówił zaufania Bogu, a w ślad za tym i posłuszeństwa. I przedstawiono tego dramatyczne następstwa w tej rzeczywiście pięknej scenie alegorycznej: wąż – symbol zła; dialog Boga z wężem; z ludźmi, którzy zgrzeszyli. Zachowanie ludzi było osobliwe. Zamiast po grzechu, w poczuciu winy, zbliżyć się do Pana Boga, nawet Go poszukać, upaść Mu do nóg i przeprosić Go, to niemądrzy – a grzech zaślepia, odbiera mądrość – ukrywają się w krzewach w lesie. Im się wydawało, że Bóg ich tam nie zobaczy. Dojrzał ich tam Pan i wydał swój wyrok.

Konsekwencje: zamknięte bramy Raju, trudy, cierpienia, śmierć. Tak się zakończyło pierwsze wydanie człowieka świętego, nieskalanego, zjednoczonego z Panem Bogiem, uszczęśliwionego Rajem.

A teraz drugie wydanie człowieka: cierpienie, walki, udręki, nienawiści. Dramatu dopełniają grzechy osobiste i człowiek ulega coraz większemu zatruciu, zrobaczywieniu...

Ale już w tej odległej przeszłości słyhać było głos zapowiedzi przyścia dnia miłosierdzia Bózego nad człowiekiem. „Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, między potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiażdży ci głowę” (Rdz 3,15).

A więc gdzie radosna i optymistyczna zapowiedź? Gdzieś w dalekiej przyszłości zaświeci jutrzeńka, a za nią słońce.

I oto druga scena, którą przedstawia nam Kościół w dniu dzisiejszym (Mk 8,19). To już scena naprawy, w której człowiek może w jakiejś mierze powrócić do pierwszego wydania, do pojednania z Bogiem, z człowiekiem i do złagodzenia swoich bólów, cierpień i swojej śmierci.

Drugie wydanie już się ma ku końcowi, ma przynajmniej otwartą drogę do powrotu – to jest Nowy Testament, Ewangelia, to „nasienie” Niewiasty, które ściera głowę złemu duchowi. Święty Marek tak jakoś szczególnie śledził te wydarzenia, w których Jezus występuje jako mocarz, jako ten, który wciąż depta głowę złego ducha, jest jego i szatana pogromcą.

Ale jest nie tylko jego pogromcą, ale także przyjacielem tych biednych, dźwigających na sobie dziedziczone jarzmo grzechu pierworodnego. I pochyła się nad nimi, okazuje im dobroć i miłosierdzie, a ponieważ jest mocarzem, ponieważ wszystkie moce, wszystkie siły świata i przyrody są Mu posłuszne – uzdrawia, odradza, leczy. Przede wszystkim leczy ducha. Kto do Niego przyszedł, kto się z Nim zetknął z dobrej woli w pokorze i wierze, ten powraca do pierwszego wydania, ma otwarte bramy Raju. Już ten symboliczny Anioł z ognistym mieczem nie strzeże, nie odpycha człowieka od jego zbawienia ostatecznego.

Wzruszająca scena, którą przedstawia nam dzisiaj św. Marek. Oto tłum, masa ludzi, słysząc Jego głos i jakich dzieł dokonuje, rusza za Nim opuszczając swoje miasteczka, domostwa, nie zabierając ze sobą żadnych walizek, taboru, żadnych kosztów, kanapek. Porzucili wszystko, nawet

swoje warsztaty, i poszli na pustkowie za Jezusem. Widocznie wierzyli Mu, zasmakowali w Jego mowie, poczuli się jakoś dobrze, pewnie, bezpiecznie w Jego bliskości. Chcieli być jak najbliżej Niego. Chcieli się po prostu z Nim jednoczyć. Otaczali Go, dotykali, poszturchiwali, prosili, błagali, bo czuli, że z Niego promieniuje moc, siła odradzająca ducha, a nawet i ciało. Jezus, widząc że trzy dni trwają przy Nim, a są głodni, ponieważ nie zabrali zapasów, lituje się nad nimi. To scena rozmnożenia chleba i ryb. To nasycenie tysięcy ludzi. Wzruszająca, kontrastowa scena w stosunku do tamtej, którą nam przedstawiło pierwsze czytanie. Oto leczenie, wielkie oczyszczenie, oto jakaś transfuzja Boskiej Krwi do tej krwi zakażonej, zatrutej.

Ilekcję patrzymy i rozważamy te sceny rozmnożenia chleba, z reguły widzimy przed sobą pierwszoplanową osobę, tego głównego bohatera – Jezusa. Ale warto kątem oka spojrzeć zawsze i w tę drugą część sceny, na tych, którzy byli trochę w cieniu, na ten tłum. Od niego można się też niemal nauczyć.

My stanowimy część tamtego tłumu, tamtej rzeszy. Może się od nich, od naszych braci sprzed dwóch tysięcy lat, czegoś nauczymy? Zachowanie ich było osobliwe. Po pierwsze, zawierzili Jezusowi, poszli za Nim, nie ubezpieczali się. Jego Osobę i Jego naukę umieścili na szczycie hierarchii wartości, pozostawiając wszystko, nawet chleb. Dla nich Słowo Jezusa i sama Jego postać były wartością nadrzędną. A potem, gdy usłyszeli te dziwne słowa polecenia (kazał ludowi usiąść na ziemi), znów nie mądrzą się, nie pytają po co, tylko mają zaufanie do Niego, do Apostołów i siadają i otwierają się na przyjęcie tego, co idzie. Przyszło wielkie i wstrząsające.

I oto nauka dla nas, duszpasterzy, i dla was – żeby Jezusa, Jego sprawy, słowa, Ewangelię widzieć jako wartość nadrzędną, dla której trzeba poświęcić czasami i te najniższe wartości, nawet chleb, nawet kilka godzin głodu czy jakiegoś trudu. A może i więcej zażąda i wtedy trzeba Mu powiedzieć: Oto ja, sługa, służebnica Pańska.

Jeżeli coś powie, do czegoś wezwie, nie usprawiedliwiać się, nie podejmować jakiegoś policyjnego dochodzenia: a po co, a dokąd, a sił mi nie wystarczy. Jeżeli czuję wezwanie, polecenie płynące z kart Ewangelii czy nauki Kościoła albo z mojego sumienia, powinienem bez reszty spełnić to wezwanie, polecenie. Panie, choć Cię nie rozumiem, nie wiem, co to znaczy, nie mogę odczytać Twego znaku, wezwania, ale idę za Tobą, zawierzam Ci. I wtedy dzieją się rzeczy wielkie.

Wtedy nawet na pustyni możemy się nasycić, ubogacić, regenerować, oczyścić wewnętrznie i zbliżyć się do tego stanu pierwszego wydania człowieka, do stanu tego raju wewnętrznego, do królestwa niebieskiego, które „w was jest”. I do tego królestwa, które jest także poza nami, Jezus chce nas wszystkich zaprowadzić.

Może w jakiejś mierze i my jesteśmy, czy chcielibyśmy być, podobni do tamtych naszych braci, bo i my też przyszliśmy, zostawiliśmy swoje umiłowania, osoby, książki, pokoje, meble, swoje otoczenie. I przyszliśmy trochę na pustynię. Nasze porównanie wypadnie niestety trochę inaczej, bo tu mamy za wygodnie, ale oderwaliśmy się fizycznie i duchowo. Zawsze jednak coś zyskujemy i odczuwamy, jak Jezus przez ludzi jest dla nas dobry, litościwy, jaki jest pełen miłości. Dobrze nam tu być.

Ale Jezus powie, jak po Przemienieniu, że jednak trzeba potem iść na niziny, w to trudne, cza-

sami pospolite życie. Skoro jednak przeżyliśmy ten Tabor, przeżyliśmy coś z tego rozmnożenia chleba i raz skosztowaliśmy go, to powinniśmy być silniejsi na dalszy ciąg naszego życia. I powinniśmy bez słowa i wahań wstać i pójść za Jezusem. Jest dzień skupienia – warto pojechać, nawet na pustynię. A ta pustynia zakwitnie kwiatami i owocami. Oby się tak stało dziś, jutro i w całym naszym życiu, aż wejdziemy w pełnię Jego Królestwa.

*Dni skupienia,
Bardo Śląskie, 10-11 lutego 1979.*

ZŁO DOBREM ZWYCIĘŻAĆ

Dzisiaj nie będziemy rozrywać tych niezagojonych ran, nie będziemy składać żadnych deklaracji. Stojąc pod krzyżem zapytajmy naszą Drogą Patronkę: Co mamy czynić? Jak się w tym czasie zachować? Ona nam natychmiast odpowiada w imieniu swoim i Jezusa: Nie załamujcie się, módlcie się, bądźcie wierni Ewangelii i Jezusowi – napełniajcie się miłością. Bądźcie cierpliwi, ufajcie.

Czy to nie banał z tą modlitwą? Wciąż modlitwa? Dzisiaj za nią idą liczne rozczarowania. Czy rzeczywiście każda modlitwa jest wysłuchana?

Należy uświadomić sobie, że Bóg nie musi i nie może załatwiać naszych nawet autentycznych prośb w formie, kształcie i terminie przez nas określonym. My możemy się w tym wiele razy mylić. A On dobrze widzi i dobrze wie i na każdą prośbę odpowiada w lepszym rozwiązaniu i w lepszym terminie, niż zaplanowaliśmy. Chrześcijanin prosząc zawiera oczom i sercu Boga. W podtekście jego modlitwy zawsze znajdują się słowa Jezusa z ogrójca: „Nie moja wola, lecz Twoja, Ojcze, niech się stanie”. Chrześcijanin nawet nie wywiera nacisku na Boga, nie ulega niecierpliwości, nawet nieufności.

Na marginesie należy przypomnieć, że nie każda prośba, nie każda pieśń religijna jest modlitwą. Jeżeli nasza prośba, nasze spotkanie, nasza pieśń jest formą demonstracji, jakiegoś protestu

społecznego, w jakichkolwiek warunkach, wtedy taka modlitwa przestaje mieć charakter aktu sakralnego, przestaje w ogóle być modlitwą. Toteż uważajmy na czystość intencji spotkań i modlitwy kierowanej do Wszechpotęgi i Wszechmiłości i okazujmy zawsze i cierpliwość, i zaufanie.

Jeżeli nawet uznamy modlitwę za sprawę najwyższej wagi, za sprawę wcale niebanalną, to wtedy możemy usłyszeć wewnątrz pokusę, a na zewnątrz słowa: „A jednak modlitwa to za mało, zwłaszcza w czasie wojny. Teraz trzeba działać!”. Otóż i Jezus, i Jego Matka mówią do nas zawsze, a teraz w szczególności: „Trzeba działać, bo wiara bez uczynków jest martwa”. Ale co robić? Jak robić?

Ewangelia określa nam prawa chrześcijańskiego działania. Najpierw granice negatywne: nie wolno w działaniu poniżać żadnego człowieka; nie można żadnego człowieka uczynić środkiem do działania; nie można człowiekiem manipulować; nie można człowieka zabijać ani fizycznie, ani moralnie; nie wolno siać nienawiści i wrogości, bo to są trucizny. Trudne, ale nie wolno na kamień odpowiadać kamieniem. Działania przekraczające te granice byłyby destruktywne, samobójcze.

Ewangelia podaje też najogólniejsze pozytywne prawa działania, które redukują się ostatecznie do hasła: „Zło dobrem zwyciężaj” (Rz 12,21), to znaczy prawdą, sprawiedliwością, poszanowaniem nawet nieprzyjaciela, życzliwością. „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem”. Jednym słowem, poza sentymentem, wielowarstwową miłością, jest to jedyna skuteczna broń na przezwyciężenie każdego zła.

Niejednen z nas jednak zapyta: Czy są jakieś przykłady, że takim sposobem działania potra-

fimy obronić nasze najdroższe wartości religijne, moralne, narodowe? A jednak zna – i nasza historia, i historia świata – zwycięstwa odniesione bronią moralną.

Wspomnijmy wielkiego Mahatmę Gandhiego. Przecież on rzucił hasło, by w walce o wolność kraju nie rozlać ani kropli krwi nieprzyjaciela. I hasło to zrealizowano, cele zostały osiągnięte – wielkie Indie zostały wolne.

I dzieje naszego Sierpnia. Gdyby robotnicy Wybrzeża wyszli na ulice pod sztandarami „walki klas” i gdyby chwycili za morderczą broń z żelaza, nasz kraj z pewnością pograżyłby się w odmetach wojny i z pewnością spłynąłby strumieniami bratniej krwi, a hasła sprawiedliwości i wolności byłyby na długo zakute w kajdany. A dzięki temu, że pierwsze szeregi protestujących robotników stanęły pod znakiem Ewangelii, Krzyża i Jasnogórskiej Królowej, gdy następne, nie bez pewnych dywagacji od zasad Ewangelii, zachowały w zasadzie tę wyjściową postawę – wielu poszło za kraty, wielu cierpi i cierpieć będzie, niektórzy oddali życie. Nie myśleli o biciu i zabijaniu, nawet o zadawaniu ran i cierpień swoim bliźnim. I dlatego autentyczne wartości polskiego Sierpnia zostały głęboko wpisane w myśli i serca naszego pokolenia.

I pozostały trwałymi i owocującymi wartościami naszego narodu, bez względu na to, jak się potoczą losy naszego kraju. „Na próżno nie pada nikt z ludzi, na próżno nie pada żadna ofiara, bo z każdej ofiary Bóg siłę rozbudzi i nowa rozpali się wiara”. Toteż i ich, i nasze ofiary nie pójdą na marne, jeżeli zanurzone są w ofierze Jezusa.

A więc nie wolno nam ulegać załamaniu, prostracji, zniechęceniu, ale też nie wolno działać na oślep – metodą nieewangeliczną, bo byłoby to

działanie destrukcyjne. Należy wyciszać hałasy odwetu, należy łagodzić napięcia, powstrzymać język i pióro od różnych form odgrażania.

W ogóle nie powinniśmy przeceniać działania zewnętrznego, czasami „niedziałanie” zewnętrzne jest prawdziwym i owocnym działaniem. Przypomnijmy sobie fragment listu Adama Mickiewicza z roku 1833 do swoich przyjaciół: „Piszę do was, bo znam waszą miłość do ludzi, Ojczyzny i wolności, i lękam się, abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu. Jest niepożyteczna światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od jej zwycięstwa zależy cała siła zewnątrz. Kraj i człowiek wewnątrz bezładny – upada”.

Zawsze i wszędzie jest miejsce na szerokie działanie wewnętrzne – na terenie naszej osobowości, rodziny, środowiska. Tu jesteśmy wolni, czy przynajmniej powinniśmy być, niezależni, choćbyśmy nawet siedzieli za kratami czy w ciasnym pokoju swego mieszkania. I właśnie należy zwrócić szczególną uwagę na zachowanie suwerenności naszego sumienia, swojej osobowości, bo „narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból!”.

Trzeba na tym terenie rozwinąć szeroką aktywność, zająć się systematyczną i radykalną pracą nad usuwaniem ogólnie nam znanych wad narodowych i tych wad, które ujawniły się w minionych miesiącach, jak indywidualizm, ambicjonalizm, a nawet zacierzwienie i namiętności w dyskusjach.

Trzeba podjąć pracę nad ukształtowaniem charakteru młodego Polaka. O tym na początku naszego wieku pisał szeroko filozof Stanisław Brzozowski. Niestety, głos jego był wołaniem na puszczy. Do tego nieodzowna jest znajomość historii, pogłębiona wiedza z etyki, religii i nauki

społecznej Kościoła. Trzeba rozszerzyć pole widzenia naszych realiów i zadań na przyszłość. Trzeba na serio i konsekwentnie traktować wartości religijne, jak modlitwa i Msza święta.

Z bólem wyznam, że ze wzruszeniem szedłem z moimi przyjaciółmi duszpasterzami na zaproszenie strajkującej młodzieży do sal wykładowych, aby tam sprawować Najświętszą Ofiarę – najwyższy akt kultu religijnego. Nie mogliśmy jednak nie zauważyć, że znaczna część tej młodzieży nie spełniała obowiązku uczestniczenia we Mszy świętej niedzielnej, w warunkach względnie normalnych. A jeszcze większa część traktowała lekceważąco nasze zaproszenie do pracy w ośrodkach duszpasterstwa akademickiego. Chociaż czyniliśmy bardzo wiele, aby te wykłady były dostosowane do poziomu, potrzeb i czasu studiujących. Może teraz nie doznamy zawodu.

Oczywiście nie zapominajmy ani na jeden dzień o naszych braciach pozbawionych wolności, cierpiących moralnie i fizycznie. Oni też wzywają nas do pracy duchowej.

Ale módlmy się także i za naszych braci odbierających wolność, zadających ból swoim rodakom, żeby zrozumieli, że to fałszywa droga do pozytywnych celów, że na tej drodze pogłębia się tylko trująca wrogość i nienawiść. Budzą się uczucia odwetu i zemsty. I mówmy im o tym, nawiązujemy dialog, chociaż często bardzo trudny. Starajmy się osłabiać te napięcia w świetle wiary i Ewangelii – to też nasi bliźni, bez cudzysłowiu. I winniśmy im życzyć dobra, aby uświadomili sobie, że i oni staną przed ostatecznym trybunałem sprawiedliwości, którego istnienie przeczuwają wszyscy, przynajmniej w formie – jak pisze Szczepański – „nieznanego trybunału”.

Gdyby tego ostatecznego trybunału nie było, wtedy żylibyśmy w świecie tragicznego absurdu, wtedy Herod, Neron, Hitler i wszyscy im podobni kaci byłiby zrównani ze swoimi ofiarami w krainie nicości. Ale przeciw takiemu zrównaniu z ofiarami buntuje się natura ludzka, cała ludzkość.

Jeżeli kaci depczą piersi sprawiedliwych – jak pisał Jan Jakub Rousseau – musi istnieć absolutny trybunał poza wiecznością, trybunał absolutnie sprawiedliwy. Istnieje taki trybunał i zgroza temu, kto przed nim stanie z sumieniem obciążonym nieprawością i nienawiścią, zbrodnią. Módlmy się, aby nasi bracia przestali czynić zło, aby wykorzystali szansę i podjęli pokutę. Należy też nieść pomoc potrzebującym, których coraz więcej w naszym kraju.

Wzruszające – wyzwoliła się, jak obserwujemy, fala spontanicznej solidarności. Naprawdę ludzie mają dobre oczy – wypatrują braci z potrzebami i spieszą im z pomocą. Bogu dzięki. To jeszcze jeden z owoców niedokończonej odnowy moralnej, która musi iść naprzód. Niebezpieczeństwo zaprzepaszczenia jej tkwi w naszej narodowej nieśtałości: zrywy i prostracje; wielkie słowa i zniechęcenie. Toteż warto zawiesić na pewien czas te wielkie słowa, te wielkie obietnice, a nawet pęd ku byle jakiemu działaniu.

Wyjedźmy i wejdźmy „na głębie” – jak wzywał nas Pan Jezus – w strefę życia wewnętrznego, moralnego, religijnego, ale i społecznego. I tam kontynuujmy wytrwale i cierpliwie głębinową odnowę, wspierając się wzajemnie.

Warto w tym miejscu znów przytoczyć znaną i jakże trafną uwagę naszego wieszca, Adama Mickiewicza: „A każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych gra-

nic. O ile polepszyście i powiększyście duszę waszą, o tyle polepszyście prawa wasze i powiększyście granice wasze” – z „Ksiąg Pielgrzymstwa”.

Toteż wyjdźmy na głębie, a gdy przyjdzie czas, nie przez nas i nie przez mnożące się przepowiednie oznaczony, lecz przez dobrego, wszystkowiedzącego Boga, wtedy będziemy gotowi na spotkanie z wielkim Zmartwychwstaniem, na spotkanie chwalebnych tajemnic i życia stojącej w bólu pod krzyżem Matki Najświętszej i naszej Matki. Uczmy się od Niej postawy, zaufajmy bezgranicznie Ewangelii.

Powiedzmy dziś na tej Mszy świętej Jezusowi, głównemu bohaterowi Ewangelii, i trwajmy w tej postawie wyrażającej się słowami: Niech się stanie Twoja wielka, święta i dobra wola.

13 lutego 1982 (stan wojenny).

Nota biograficzna
księdza prałata
Aleksandra Zienkiewicza
(1910-1995)

Ks. prałat Aleksander Zienkiewicz, „Wujek”, należy do najwybitniejszych kapłanów-społeczników, intelektualistów i wychowawców archidiecezji wrocławskiej na przestrzeni jej dotychczasowych dziejów. Po roku 1945 wpisał się w historię Kościoła wrocławskiego jako główny duszpasterz młodzieży akademickiej i inteligencji katolickiej oraz organizator ośrodków duszpasterstwa młodzieży tak we Wrocławiu, jak i w całej archidiecezji wrocławskiej. Urzędował przy ul. Katedralnej pod „Czwórką” na pierwszym piętrze do 1994 r. „na nieustannym dyżurze”.

Przyszedł na świat 12 sierpnia 1910 r. na Wileńszczyźnie, we wsi Lembówka. Był synem Kazimierza oraz Jadwigi Wróblewskiej, która wywarła największy wpływ na jego życie.

Do szkoły powszechnej uczęszczał w latach 1920-1926 w Duniłowiczach. Ukończył ją w 1926 r. i w tym samym roku został przyjęty do Niższego Seminarium Duchownego diecezji pińskiej w Nowogródku. W 1928 r. zostało ono przeniesione do Drohiczyzna nad Bugiem i przemianowane na Biskupie Gimnazjum Męskie. Jego założycielem był świątobliwy bp piński Zygmunt Łoziński, z którym Aleksander Zienkiewicz zetknął się osobiście i który wywarł na nim wielkie wrażenie. W 1931 r.

złożył państwowy egzamin dojrzałości i został przyjęty do Wyższego Seminarium Duchownego im. św. Tomasza z Akwinu w Pińsku.

Święcenia kapłańskie przyjął z rąk ówczesnego ordynariusza diecezji pińskiej bpa Kazimierza Bukraby, w dniu 3 kwietnia 1938 r., w katedrze pińskiej pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli. Otrzymał nominację na kapelana bpa ordynariusza Kazimierza Bukraby oraz na sekretarza Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży w Pińsku. Jednakże praca biurowa nie odpowiadała młodemu kapłanowi. Został wkrótce mianowany kapelanem sióstr nazaretanek w Nowogródku, rektorem kościoła farnego w tym mieście oraz prefektem Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza.

Zasłynął jako utalentowany kaznodzieja młodzieży, która od razu znalazła w nim troskliwego, w pełni jej oddanego oraz wypróbowanego przyjaciela.

Wybuchła wojna. Pierwszymi ofiarami wśród polskiej ludności byli czterej księża. Wówczas ks. Aleksander Zienkiewicz uzyskał godność dziekana nowogródzkiego i wikariusza generalnego w północnej części diecezji pińskiej. Kiedy terror hitlerowski osiągał swoje apogeum i pociągał liczne ofiary wśród polskiej ludności, przełożona nazaretanek, siostra Stella, powiedziała ks. Aleksandrowi Zienkiewiczowi następujące słowa: „Jeżeli potrzebna jest ofiara z życia, niech raczej nas rozstrzelają aniżeli tych, którzy mają rodziny – modlimy się nawet o to”. A kiedy zostało zagrożone życie księdza Aleksandra Zienkiewicza, który ukrywał się w różnych miejscach przed hitlerowcami, ta sama siostra wypowiedziała następujące słowa: „Ksiądz kapelan jest o wiele potrzebniejszy

na tym świecie niż my, toteż modlimy się teraz o to, aby Bóg raczej nas zabrał niż Księdza, jeżeli jest potrzebna dalsza ofiara”.

Modlitwy siostry Stelli i pozostałych sióstr zostały wysłuchane. Dnia 1 sierpnia 1943 r. zostały rozstrzelane w lesie oddalonym od Nowogródka o około 5 km.

Po egzekucji sióstr ks. Aleksander Zienkiewicz musiał ukrywać się w Wilnie. Do Nowogródka powrócił po opuszczeniu tego miasta przez Niemców. Dzięki jego zabiegom doczesne szczątki nazaretanek-męczenniczek zostały w dniu 19 marca 1945 r. ekshumowane i przeniesione do wspólnej mogiły przy nowogródzkiej farze. Pośmiertny kult nazaretanek-męczenniczek zaowocował ich beatyfikacją. Dokonał jej Jan Paweł II w dniu 5 marca 2000 r.

Po ustaniu działań wojennych ks. Aleksander Zienkiewicz służył ofiarnie katolikom w Nowogródku. Jednakże w 1946 r. władze bezpieczeństwa zmusiły go do opuszczenia rodzinnych stron. Przybył do Gorzowa Wielkopolskiego, skąd w sierpniu udał się na Dolny Śląsk. Pierwszą jego placówką duszpasterską był Syców koło Oleśnicy Śląskiej, gdzie pełnił funkcję prefekta Publicznej Szkoły Powszechnej oraz miejscowego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego. Jednocześnie podjął studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, które jednak kolidowały z jego pracą duszpasterską, dlatego przerwał je po dwóch latach.

Dnia 1 sierpnia 1947 r. administrator apostolski mianował go kapelanem sióstr nazaretanek oraz prefektem I LO oraz Liceum Pedagogicznego we Wrocławiu.

W dniu 9 kwietnia 1951 r. został mianowany prefektem Arcybiskupiego (Wyższego) Semina-

rium Duchownego, a w dniu 15 września tegoż roku – rektorem Niższego Seminarium Duchownego w Żaganiu.

Dnia 5 września 1952 r. został mianowany referentem nauki chrześcijańskiej do spraw młodzieży, a 12 września 1952 r. otrzymał nominację na wicerektora Arcybiskupiego (Wyższego) Seminarium Duchownego we Wrocławiu. Jako rektor cieszył się wielkim autorytetem tak wśród profesorów, jak i alumnów.

Pod wrażeniem jego osobowości był prymas Polski, sługa Boży kard. Stefan Wyszyński. Gdy wiosną 1957 r. przybył na zaproszenie biskupa Bolesława Kominka do Wrocławia, to w gmachu seminaryjnym powiedział: „Lata 1951-1956 były ciężkie dla Wrocławia, tarcia ideologiczne były ogromne. Komunizm natrętnie wciskał się do Seminarium, ale szczęściem od Boga... był ks. prałat Zienkiewicz – słońce życia kapłańskiego. Nie pozwolił, by młodzieży seminaryjnej stała się krzywda. Takiego rektora zazdroszczą wam inne diecezje w Polsce”.

Kiedy w wyniku tzw. odwilży październikowej religia powróciła do szkół podstawowych i średnich, ks. Aleksander Zienkiewicz podjął się nauczania religii w I, a następnie także i w III Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu.

Dnia 1 lipca 1958 r. przestał – na własną prośbę – pełnić urząd rektora Arcybiskupiego (Wyższego) Seminarium Duchownego. Objął wówczas urząd rektora Katolickiego Instytutu Naukowego, późniejszego Dwuletniego Pomaturalnego Studium Katechetycznego.

Dnia 24 października 1958 r. został członkiem Komisji ds. Filmu, Radia, Telewizji i Teatru, a następnie cenzorem wydawnictw religijnych oraz

członkiem Komisji Egzaminacyjnej Księży Katechetów Szkół Średnich. W dniu 28 lutego 1959 r. został przewodniczącym Wydziału Duszpasterskiego Kurii Arcybiskupiej, a 14 marca 1963 r. otrzymał dekret nominacyjny na archidiecezjalnego duszpasterza młodzieży akademickiej.

Ks. Aleksander Zienkiewicz nigdy nie przywiązywał żadnego znaczenia do odznaczeń kościelnych. Przyjmował je jedynie dlatego, iż stanowiły wyraz uznania władzy kościelnej dla jego pracy, a do przedstawicieli Kościoła miał zawsze głęboki szacunek. W swym testamencie z 1993 r. napisał: „Proszę złożyć moje ciało w najskromniejszej trumnie, w czarnej sutannie bez żadnych dystynkcji. W homilii mszalnej czy nad grobem żadnych superlatywów i pochwał, gdyż naprawdę w świetle słów Pana widzę siebie jako «sługę nieużytecznego», który w sposób bardzo niedoskonały wypełniał wolę swego Pana”.

Nominację na kanonika Kapituły Katedralnej przyjął dopiero z rąk abpa Bolesława Kominka 27 maja 1972 r. Dnia 14 maja 1964 r. papież Paweł VI odznaczył go, na wniosek abpa B. Kominka, godnością papieskiego szambelana. Dnia 16 maja 1981 r. Jan Paweł II odznaczył go godnością pralata honorowego.

Obok zajęć dla studentów prowadził wykłady na Dwuletnim Pomaturalnym Studium Katechetycznym z ascetyki, dydaktyki i charakterologii. Przez wiele lat był spowiednikiem alumnów Arcybiskupiego Seminarium Duchownego.

Był jednym z inicjatorów Tygodni Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu.

Należał do Komitetu Intelktualistów, którzy przyczynili się do sprowadzenia do Wrocławia Panoramy Raclawickiej.

Jako członek Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Rodzin (do 1989 r.) oraz Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Akademickiego (1989-1994) z wielkim zaangażowaniem brał udział w pracach tych Komisji.

Dużo czasu poświęcał głoszeniu słowa Bożego w wielu kościołach archidiecezji wrocławskiej. Był bowiem cenionym konferencjonistą i rekolekcjonistą. Często też głosił rekolekcje dla kapłanów i alumnów. Jego kazania przyciągały wiernych nie tylko ze względu na solidne przygotowywanie nauk, ale także i ze względu na klarowną ich treść. Mówił zawsze jasno, zwięźle i piękną polszczyzną.

Obok licznych i pracochłonnych funkcji pełnił też „Wujek” odpowiedzialną i zaszczytną godność diecezjalnego ojca duchownego, a od 1976 do 1983 r. administratora domu przy ul. Katedralnej 4, gdzie mieściło się legendarne duszpasterstwo akademickie „Czwórka”, które stworzył. Do śmierci w nim służył młodzieży studiującej na wszystkich uczelniach. Od 25 marca 1976 r. pełnił też funkcję rektora kościoła Św. Piotra i Pawła.

Powyższe funkcje i godności ukazują jego wyjątkową rolę w historii archidiecezji wrocławskiej w okresie powojennym. Nie da się ująć w jego budżecie czasowym wysiłków podejmowanych w konfesjonale, w prywatnych rozmowach z młodzieżą i ludźmi dorosłymi. Wszystkim starał się pomagać tak duchowo, jak i materialnie. Sam żył bardzo skromnie. Troskę pastoralną okazywał wszystkim, którzy zwracali się do niego o pomoc czy radę. Objął nią także absolwentów, którzy wstąpili w związki małżeńskie. Dla nich organizował specjalne spotkania niedzielne zwane popularnie Rodzinami Rodzin.

Czasy stanu wojennego ujawniły w sposób szczególnie wyrazisty jego niepospolite cnoty i cechy charakteru. W tym czasie dom pod „Czwórka” był prawdziwą ostoją dla prześladowanych i zagrożonych aresztowaniem. W 1982 r. stał się też siedzibą Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego. W latach 80. uratował wielu ludzi od więzienia i internowania. Nawet komuniści i ludzie z aparatu władzy czuli wobec niego duży respekt i darzyli go autentycznym szacunkiem.

Przeszedł do wieczności w dniu 21 listopada 1995 r.

Ks. Aleksander Zienkiewicz należy do kapłanów wielkiej świętobliwości. Głównym źródłem jego rozwoju duchowego był zawsze Chrystus. Jego zawołaniem życiowym było: „Mniej dyskutować o Chrystusie, więcej żyć Chrystusem”. W swym testamencie z 1993 r. napisał: „Zawierzcie Jezusowi... Trzymajcie Jego dłoń w swojej dłoni! Nie wypuście Jej nigdy ze swojej dłoni, bo On wtedy tylko od nas odchodzi, gdy my oddajemy swą dłoń bogu cudzemu, bożyszczu, idolowi”.

U podstaw jego ujmującej duchowości leży głęboka cześć Matki Zbawiciela. Różaniec stanowił jego umiłowaną modlitwę. Organizował pielgrzymki młodzieży na Jasną Górę. W kościele Św. Piotra i Pawła zakładał koła żywego różańca (wiele z nich istnieje nadal).

Polskę ukochał całym sercem tak jak własne życie. W swych wykładach czy kazaniach z estymą mówił o wielkich bohaterach narodowych, o poetach, pisarzach polskiego pochodzenia. Był zamiłowanym wielbicielem i znawcą polskiej poezji i literatury. Najbliższy jego sercu był Adam Mickiewicz, który tak jak on przez większość swego życia tęsknił za rodzinnymi stronami. W 1946 r., opusz-

czając rodzinne strony, zabrał w wielkiej tajemnicy księgę metrykalną, zawierającą zapis na temat chrztu Adama Mickiewicza z dnia 12 lutego 1799 r. Wyrazem jego patriotyzmu było organizowanie różnego rodzaju pomocy dla rodaków na Wschodzie. Dla tego celu utworzył organizację „Oriens”.

Ks. Aleksander Zienkiewicz nie uzyskał nigdy tytułu profesora wyższej uczelni. Był świadomy swej gruntownej wiedzy teologicznej i humanistycznej. Potrafił z niej korzystać w słowie mówionym i pisanim. Jego twórczość naukowa obejmuje ponad 100 pozycji drukowanych, w tym kilka pozycji książkowych. Taką ilością nie mogą się nieraz poszczycić ludzie nauki o głośnych nazwiskach. Ale nie ilość jest ważna w twórczości ks. Aleksandra Zienkiewicza, lecz prace twórcze, oryginalne. Pod względem merytorycznym należy ocenić je bardzo wysoko, zwłaszcza gdy idzie o prace z zakresu etyki życia małżeńskiego, rodzinnego, charakterologii.

Godne uwagi są jego kazania. W 2000 r. ukazały się pośmiertnie jego rekolekcje wielkopostne pt. „Rodzić się dla świata wyższego”, a w 2001 „Czyste sumienie to znak miłości”. Jego rozprawa pt. „Miłości trzeba się uczyć” doczekała się już pięciu wydań.

W r. 2000 ukazała się w Krakowie jego pozycja książkowa pt. „Wzrastać w światłości. Stawać się chrześcijaninem. Stawać się księdzem”.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje także jego twórczość publicystyczna. Ks. Aleksander Zienkiewicz zamieszczał swe artykuły głównie w takich czasopismach, jak „Wiadomości Kościelne”, „Wrocławski Tygodnik Katolicki”, „Niedziela”, „Gość Niedzielny”, „Nowe Życie”.

ks. prof. Józef Swastek

Nota edytorska

Publikowane tu kazania i homilie księdza Aleksandra Zienkiewicza zostały opracowane na podstawie zachowanych rękopisów i maszynopisów oraz na podstawie tekstów odtworzonych z nagrań magnetofonowych.

Najwcześniejszy tekst włączony do tej edycji powstał w roku 1956, a najpóźniejszy datowany jest na 1991 r. Wobec braku jakiegokolwiek adnotacji przy kilku tekstach, trudno jest ustalić datę czy miejsce ich wygłoszenia, choć można przypuszczać, że w większości głoszone były w katedrze Św. Jana Chrzciciela lub w kościele Św. Piotra i Pawła we Wrocławiu.

Większość tekstów pochodzi ze zbiorów przekazanych wychowankom ks. prałata Aleksandra Zienkiewicza przez ks. Piotra Śmigielskiego. Pozostałe pochodzą z innych zbiorów prywatnych.

Żadna z publikowanych homilii nie została przez Autora przygotowana do druku, chociaż niektóre z nich zawierają poprawki naniesione odręcznie.

Przygotowanie niektórych tekstów do druku wymagało drobnych retuszy, koniecznych przy transpozycji tekstu mówionego na tekst przeznaczony do lektury.

Wyboru dokonano, mając na uwadze szczególną aktualność duszpasterską, ponadczasowość tematyki oraz oryginalność myślową.

Z uwagi na ogromną różnorodność materiału kaznodziejskiego i brak datowań, podział całości zbioru oparto na dwóch niewspółmiernych kryteriach: chronologicznym, związanym z biegiem roku liturgicznego, oraz tematycznym, stosując wewnętrznie porządek alfabetyczny względem tytułów.

Jadwiga Wartalska



Augusto Bergamini

CHRYSTUS ŚWIĘTEM KOŚCIOŁA

Rok liturgiczny

*Historia, celebrowanie, teologia,
duchowość, duszpasterstwo*



Augusto Bergamini

Chrystus świętem Kościoła.

Rok liturgiczny.

*Historia,
celebrowanie, teologia,
duchowość,
duszpasterstwo*

Autor książki poprzez tytuł „Chrystus świętem Kościoła” chciał podkreślić podstawowy sens paschalny roku liturgicznego. „Chrystus bowiem został złożony w ofierze jako nasza Pascha. Tak przeto odprawiamy święto nasze, nie przy użyciu starego kwasu, kwasu złości i przewrotności, lecz – przaśnego chleba czystości i prawdy” (1Kor 5,7-8). Te słowa św. Pawła zainspirowały wszystkie rozważania i studia, które umieszczają w swoim centrum misterium paschalne w różnych jego aspektach biblijnych, liturgicznych i teologicznych.

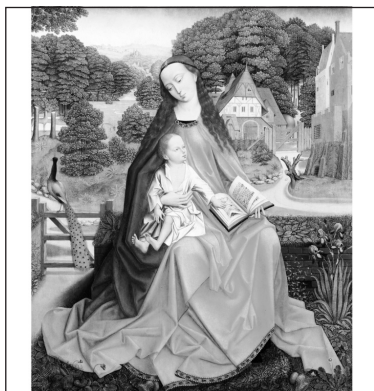
Autor przedstawiwszy zasadnicze aspekty roku liturgicznego prezentuje poszczególne okresy: Adwent-Narodzenie Pańskie-Objawienie Pańskie; Wielki Post-Pascha-Zesłanie Ducha Świętego; Okres Zwykły w ciągu roku; kult Matki Bożej i świętych. Każdy z okresów i świąt jest rozważany w aspekcie jego historii, celebrowania i teologii w oparciu o Liturgię Słowa i modlitwy Kościoła. Stąd wywodzą się wskazania pastoralne i wskazówki dla życia duchowego.

Niniejsza książka ukazała się we Włoszech w pięciu wydaniach, ponadto były przekłady na język portugalski i hiszpański. Oddając do rąk czytelnika polskie wydanie mamy nieustanną nadzieję, że ofiarujemy kapłanom, zakonnikom i zakonnicom oraz świeckim wartościowe i użyteczne narzędzie do studiowania, świadomego uczestnictwa w akcji liturgicznej, zaangażowania w pracę duszpasterską, narzędzie do ubogacenia życia duchowego.



WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW

„Bratni Zew” sp. z o.o., ul Grodzka 54, 31-044 Kraków
tel. 12/428 32 40, tel./fax 12/428 32 41, www.bratnizew.pl



Gianni Cappelletto

Słuchajcie dzisiaj Jego głosu

(Ps 95,7)

Słowo Boże w życiu Kościoła

Lectio divina



Gianni Cappelletto

Słuchajcie
dzisiaj
Jego głosu
(Ps 95,7)

**Słowo Boże
w życiu Kościoła**

Lectio divina

Książka ukazuje czytelnikowi jasno i zrozumiale, jak ważne i podstawowe jest dla życia Kościoła słuchanie słowa Bożego zawartego w Piśmie Świętym, oraz jak to się staje możliwe w doświadczeniu *lectio divina*, którą należy rozumieć nie jako zwykłą praktykę pobożną, ale jako „ciągłą i intymną celebrację Przymierza z Panem poprzez modlitewne słuchanie Pism Świętych, zdolne przekształcić nasze serca i wprowadzić każdego z nas w sztukę modlitwy i komunii”. „Aby słuchanie słowa Bożego stawało się żywym spotkaniem” trzeba powrócić do „wiekowej i nadal aktualnej tradycji *lectio divina*, pomagającej odnaleźć w biblijnym tekście żywe słowo, które stawia pytania, wskazuje kierunek, kształtuje życie”.

W książce są opisy konkretnych form, w jakich *lectio divina* jest praktykowana dziś: w tradycji monastycznej i franciszkańskiej, we wspólnotach parafialnych i w ruchu kościelnym *Focolari*.



WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW

„Bratni Zew” sp. z o.o., ul Grodzka 54, 31-044 Kraków
tel. 12/428 32 40, tel./fax 12/428 32 41, www.bratnizew.pl

Renato Corti – Luciano Marzi – Sergio Stevan



Co mam czynić Panie?

Kierownictwo duchowe
a rozeznawanie powołania

Pożyteczne wskazówki



Renato Corti
Luciano Marzi
Sergio Stevan

Co mam czynić Panie?

Kierownictwo duchowe a rozeznawanie powołania

Wśród sposobów, jakimi zwykle posługuje się Bóg, aby podtrzymać i ukierunkować drogę młodzieńca, ma miejsce również kontakt z człowiekiem duchowym, który zna już ścieżki Boga i który otrzymał w obfitej mierze ów dar Ducha Świętego, który nazywa się „rozeznaniem”. Zgodnie ze starodawną tradycją tego człowieka określa się nazwą „ojca duchownego”. Nikt nie może podejmować się tego zadania bez przygotowania. Konieczne jest staranne przygotowanie i stała uległość Duchowi Świętemu. W Kościele Bożym istnieją takie osoby i pełnią cenną rolę wobec poszczególnych jednostek, które czerpią owoce z ich posługi dla siebie i dla całej wspólnoty kościelnej.

Gdy chodzi o ludzi młodych, powinni patrzeć na te osoby we właściwy, życzliwy i pogodny sposób, bez nieuzasadnionych obaw i szkodliwej powierzchowności. Gdy przychodzi szczere pragnienie odkrycia woli Bożej, wszystko dokonuje się w sposób konstruktywny, a owocem takiego spotkania jest radość, pokój i męstwo.

Pomoc, jaką pragnie zaofiarować ten tomik, może oświetlić drogę duchową, do której wezwani są przez Boga ludzie młodzi. Mowa jest w tej książeczce o powołaniu i o nawróceniu; objaśnione są również niektóre cnoty w chrześcijańskim rozumieniu. Autorzy proponują, by przeżyć to konkretnie na własnej młodzieńczej drodze wiary i powołania, przez pełne radości i szczere spotkanie z ojcem duchownym.



WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW

„Bratni Zew” sp. z o.o., ul Grodzka 54, 31-044 Kraków
tel. 12/428 32 40, tel./fax 12/428 32 41, www.bratnizew.pl

Giuseppe Colombero
Od słów do dialogu
Tysiąc sposobów
mówienia i słuchania



Giuseppe Colombero

**Od słów
do dialogu.**
**Tysiąc sposobów
mówienia
i słuchania**

Życie to rozmawiać i słuchać. Życie wszystkich ludzi to zaślubiny ze słowami. Kroczymy wraz z nimi od rana do wieczora. Towarzyszą nam jak oddech. Rozmawianie jest koniecznością i przyjemnością; jest jednak również wyzwaniem.

Każde spotkanie z naszymi bliźnimi obnaża nasz stosunek wobec słów, tych właściwych i tych niewłaściwych, tych, które jednoczą i które dzielą. I jedno i drugie zamieszkują w nas. My jesteśmy naszymi słowami. Nic tak nas nie przedstawia i jednocześnie nie zdradza jak słowa.

Prezentowana książka jest analizą tego aspektu naszego życia, bogatego i subtelного materiału komunikacyjnego, dzięki któremu komunikujemy się nawzajem: słów, odpowiedzi, słuchania, spojrzenia, chwil milczenia, uczuć, postaw etc. Zrodziła się z doświadczenia wielu spotkań i rozmów, z konstatacji, iż jakość naszego życia zależy w wysokim stopniu od słów, jakie sobie mówimy i od uczuć, z jakimi je wypowiadamy.

Każdy czytelnik z pewnością odnajdzie na niniejszych stronicach zarówno siebie jak i obszernie fragmenty swojego codziennego życia, jak gdyby były one stronicami jego własnej autobiografii.



WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW
„Bratni Zew” sp. z o.o., ul Grodzka 54, 31-044 Kraków
tel. 12/428 32 40, tel./fax 12/428 32 41, www.bratnizew.pl

